KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 6/80 1954



• «La Culture» • Revue mensuelle •

S. L. SHARP: **U. S. A. A EUROPA WSCHODNIA**

L. BRONCEL: **SABOTAŻ PROMETEUSZA**

A. J. ZIELICKI:
LIKWIDACJA POLSKICH SZKÓŁ W ANGLII

PRZEGLĄD NIEMIECKI

Noty biograficzne autorów

Jerzy RENCKI ur. 4 lipca 1926 w Warszawie. Członek Armii Krajowej od 1941 r. Brał udział w Powstaniu Warszawskim. Po wyjściu z obozu jeńców w Niemczech studiował na wydziale prawa Uniwersytetu Fryburskiego (Szwajcaria), gdzie opracował tezę doktorską na temat natury prawnej Rady Europy. Jeszcze w czasie swoich studiów pracował w organizacjach międzynarodowych, mających na celu zjednoczenie Europy. Był jednym z organizatorów szeregu kongresów młodzieży europejskiej: Strassburg 1949, Fryburg (Brisgau) 1950, Haga 1952, i Wiedeń w marcu 1954. Od dwóch lat jest sekretarzem generalnym Europejskiego Zgromadzenia Młodzieży Politycznej funkcjonującego pod egidą Ruchu Europejskiego. W chwili obecnej pracuje w sekretariacie międzynarodowym Ruchu Europejskiego.



Antoni Józef ZIELICKI ur. 25. 11. 1910 w Tarnopolu. Studiuje i otrzymuje stopień Magistra Filozofii w zakresie matematyki na U. J. K. we Lwowie. Pracuje jako nauczyciel we Lwowie. Instruktor harcerski. Prowadzi przez szereg lat jedyną w tym czasie we Lwowie drużynę harcerską złożoną z robotników i dzieci robotników. W 1939 jest w sztabie Z.W.Z. na okupację sowiecką. Aresztowany w czerwcu 1940 przebywa w więzieniu we Lwowie i Kijowie i przeszło rok w Moskwie w Lubiance i Butyrkach. Skazany na karę śmierci. Uwolniony na skutek umowy polsko-sowieckiej wstępuje do wojska i do końca 1944, jest zastępcą Szefa Oddziału Kultury i Prasy 2 Korpusu. Do września 1945 jest Szefem Oświaty Bazy 2 Korpusu. Organizuje Kursy Maturalne dla żołnierzy w Allesano, Matino i Casarano. Do grudnia 1947 jest w placówce Kultury i Prasy 2 Korpusu w Paryżu. Zajmuje się zagadnieniami emigracyjnymi i oświatowymi. Od roku 1950 wykłada matematykę w żeńskim gimnazjum i Liceum im. Paderewskiego w Anglii.

IMPRIME EN FRANCE

Imprimerie RICHARD, 24, rue Stephenson, PARIS (XVIII°)

U. S. A. a Europa Wschodnia

UWAGI „ANTY-AMERYKAŃSKIEGO” PISARZA

Poniżej drukujemy w przekładzie na język polski, artykuł p. Samuela L. Sharpa nadesłany do redakcji KULTURY. Mimo, że autor „Poland-White Eagle on a Red Field” z pewnych stwierdzeń stara się wycofać — jego obrona nie jest przekonywująca i nie odpiera zasadniczych zarzutów podniesionych przeciwko jego książce na łamach KULTURY.

P. Sharp stara się sugerować, że w gruncie rzeczy między nim a jego polskimi krytykami jest znacznie mniejsza różnica niżby wolno było sądzić. Nieporozumienie polega tylko na tym, że krytycy KULTURY są pogrążeni w „wishful-thinking” i swoje niedowarzone marzenia biorą za rzeczywistość polityczną — podczas gdy p. Sharp jest chłodnym zrównoważonym analitykiem, który widzi rzeczy „takimi jakimi one są”.

Przede wszystkim pragnęlibyśmy przekonać p. Sharpa, że jego pretensje do obiektywizmu są całkowicie nieuzasadnione. Jako regułę należy przyjąć, że nie ma obiektywnych ocen ani historycznych ani politycznych.

Wybitny historyk angielski, profesor C. A. Manning, z uniwersytetu londyńskiego, w swym studium pt. „The Sins of Sovereign States” trafnie i szczerze stwierdza: „Jeżeli mówimy, że nie posiadamy uprzedzeń oszukujemy samych siebie. Byłoby dobrze, by od czasu do czasu żądano od nas (historyków) byśmy nasze uprzedzenia i przesądy wyłożyli na stół. Jeżeli chodzi o mnie, dzielę świat na „grzeczne” kraje (good-boy-countries), których politykę instynktownie usprawiedliwiam — i na „niegrzeczne” kraje (bad-boy-countries) do których zamierzeń nie mam nigdy zaufania”.

Otóż nie ulega najmniejszej wątpliwości, że dla p. Sharpa, który „stawiał” na państwowość polską, na skutek przegranej, Polska stała się „bad-boy-country” i fakt ten zabarwia całą jego książkę.

Nie zamierzamy na tym miejscu tłumaczyć p. Sharpowi, że Polska nie jest spółką akcyjną z której udział — w razie klęski

— można wycofać. P. Sharp ,,stawia'' obecnie na Stany Zjednoczone i pod tym kątem widzenia rozpatrujemy jego studium.

Każda rozprawa polityczna czy historyczna jest nową interpretacją pewnego zespołu faktów. Nie pisze się bowiem książki politycznej, czy historycznej, jeżeli nie ma się nic do powiedzenia. O wartości danej pracy decyduje nie tylko metoda analityczna, lecz w znacznie większym stopniu, wnioski jakie autor wysuwa z przedstawionego materiału. Wnioski bowiem — z natury rzeczy nie są obiektywną rejestracją faktów, lecz są próbą indywidualnej oceny sytuacji.

P. Sharp czuł się najbardziej dotknięty stwierdzeniem, że jego studium oceniliśmy jako wystąpienie anty-amerykańskie. Zdajemy sobie sprawę z gatunkowego ciężaru tego zarzutu, lecz niemniej podtrzymujemy ten zarzut w całej rozciągłości.

Pomijając fakt, że p. Sharp jeszcze dziś uważa za właściwe składać publiczne podziękowania władzom komunistycznego reżymu w Polsce za uprzejmości świadczone pod jego adresem — to równocześnie w analizie stosunków polsko-amerykańskich stara się ze szczególną pedanterią podkreślić, iż obietnice amerykańskie były zawsze bezwartościowe, że Amerykanie nie dotrzymywali przyjętych zobowiązań i poświęcali sojusznika ilekroć dogadzało to ich interesom.

Na tak podmalowanym tle p. Sharp formułuje swą zasadniczą tezę, że Polska jest ,,a vital Russian interest and only incidentally or secondarily an object of American interest''. Jeżeli chodzi o Polskę jest to klasyczna teza polityki sowieckiej, *żywcem wyjęta z ust p. Mołotowa. I ta teza jest dominantą książki i faktu tego nie zmienią zapewnienia i ,,złagodzenia'', które na użytek polskich czytelników p. Sharp wprowadza w swej odpowiedzi drukowanej poniżej.*

Nie wydaje się nam, aby było możliwe w odniesieniu do największego państwa zagarniętego przez Sowiety w Europie wschodniej — w 1954 *r. reprezentować równocześnie tezę polityki sowieckiej i tezę polityki amerykańskiej. Sądzimy bowiem, że tezy te są sprzeczne. I dlatego studium p. Sharpa oceniamy jako wystąpienie anty-amerykańskie.*

Był okres czasu, kiedy rynek amerykański zalany był studiami, książkami, artykułami itp. których autorzy tłumaczyli uparcie i ,,realistycznie'' że Chiny są... ,,only incidentally or secondarily an object of American interest''. Cytowani autorzy posługiwali się bliźniaczo podobnym zespołem argumentów jak p. Sharp z tą tylko różnicą, że wówczas chodziło o Chiny a nie o Europę Wschodnią. Obecnie ,,Internal Security Subcommittee'' stwierdził w oficjalnym oświadczeniu (dotyczącym ,,Institute of Pacific Relations''), że owi autorzy zmierzali do... ,,keeping United States policy on a course favorable to Communists objectives in China'' (...utrzymania polityki amerykańskiej na linii korzystnej dla (realizacji) celów komunistycznych w Chinach).

W naszym przekonaniu jeżeli p. Sharp nie podda rewizji swoich poglądów w odniesieniu do Europy Wschodniej — za rok czy za dwa (a może wcześniej) jego książka zostanie sklasyfikowana identycznie.

REDAKCJA

I

Nie pcham się na łamy ,,Kultury'' po to, żeby się tłumaczyć, kłócić lub dawać rady. Jednakże, mimo reputacji zimnego drania, którą mi niektórzy krytycy wyrobili, nie mogę udawać, że nic mnie nie obchodzi jak się o mojej książce myśli, mówi i pisze. Oczywiście muszę pominąć pewne wystąpienia, w których granica między krytyką a donosem policyjnym została zatarta. Z donosem się nie polemizuje. Ale nie jest dla mnie rzeczą obojętną że ,,Kultura'' zaopatrzyła dwa omówienia mojej książki, przez pp. Mieroszewskiego i Jeleńskiego, we wspólny tytuł (na okładce), w którym jestem opisany jako ,,anty-amerykański'' pisarz. Wierzę, że wybór tego tytułu nie jest podyktowany złośliwością lub chęcią szkodzenia mi, lecz jest wyrazem szczerego przekonania redaktora iż moja książka rzekomo zaleca politykę, której rezultaty będą szkodliwe czy też nawet zgubne dla interesów Ameryki. Wolno i recenzentom i redaktorowi tak myśleć. Czy ja rzeczywiście daję takie rady — to inna zupełnie sprawa, o czym później. Na razie niech mi wolno będzie zauważyć, że określenie ,,anti-American'' w obecnym klimacie moralnym Stanów Zjednoczonych nie jest wyrazem czysto intelektualnej różnicy zdań. Przeciwnie, ma ono wcale specyficzny posmak, o czym myślę że redaktor ,,Kultury'' powinien był pamiętać.

Niektóre organy prasy polsko-amerykańskiej i organizacje zawodowców od spraw polskich, uważały za swój święty obowiązek wyjaśnić, że się ,,naprawdę'' nie nazywam Sharp, że widocznie mam jakiś osobisty ,,uraz'', do Polski, albo że — jak napisało *Ameryka-Echo* — od ,,naszych'' niczego dobrego spodziewać się nie można. Ze zmiany nazwiska — niemieckie nazwisko, spolszczone w pisowni i niemożliwe do wymówienia, narzucone moim przodkom przez pruskich okupantów Polski po trzecim rozbiorze — nie mam potrzeby się tłumaczyć. Co do ,,urazu'', wydaje mi się, że mój uraz nie różni się od tego co czuły w 1939 roku miliony Polaków, którzy ,,stawiali'' na państwowość polską i doznali bolesnego rozczarowania. Jeśli chodzi o ,,naszych'', odsyłam krytyków do omówienia mojej książki przez Melchiora Wańkowicza. Podkreśla on, że jedną ze spraw, w których ,,autor wstrzymuje się od ujemnych osądów, tam nawet gdzie mógłby to zrobić, zachowując pozory obiektywizmu'' jest sprawa żydowska, której — jego zdaniem — nie ,,nadużywam''.

Wśród krytyków mojej książki zupełnie specjalne miejsce zajmuje profesor Oskar Halecki, który uczcił mnie dwudziestostronicowym artykułem w *Review of Politics,* recenzją w innym

piśmie i listem do redakcji *New York Times*, protestującym przeciw bardzo przychylnemu omówieniu książki przez Sulzbergera. Wydaje mi się, że szanowny profesor jako dziecko identyfikował się z Janem Sobieskim i że nigdy z tej identyfikacji nie wyrósł. W rezultacie uważa się za jednoosobową wyprawę krzyżową przeciw wszelkiego rodzaju bisurmanom. Jego wysiłki są tak pozbawione umiaru, że mało korzyści przynoszą sprawie, w której obronie, w pełnym rynsztunku, idzie na Turka. Jego nawoływanie do tego, żeby moja książka jak najprędzej została „*replaced*" przez inną, ,,prawidłową'' książkę, też ma specyficzny posmak w obecnym stanie rzeczy w Ameryce. Mam wątpliwości co do tego, czy droga do obrony demokracji prowadzi przez bolszewicko-faszystowską metodę wycofywania z obrotu książek zawierających ,,nieprawidłowe'' poglądy i zastąpienie ich innymi, które otrzymały *imprimatur* profesora Haleckiego. Póki mogę, korzystam ze swobody słowa w Ameryce, która polega na uznaniu prawa nawet do nie-mienia-racji.

Jeszcze jedna sprawa zostaje do omówienia w tych wstępnych uwagach : problem *cui prodest?* Kilku recenzentów zwróciło uwagę na to, że komunistyczna propaganda może wykorzystać moją książkę dla swoich celów. Pan Mieroszewski nawet twierdzi, że to się już dzieje (na tej samej stronicy p. Jeleński opisuje ataki komunistów na mnie jako krwiożerczego Yankesa). Nawet jeśli to jest prawdą, nie mogę przyjąć za to odpowiedzialności. Komunistyczna propaganda może wykorzystać i wykorzystuje absolutnie wszystko, od przemówień Herberta Hoovera do statystyk bezrobocia w Ameryce. Czy proponują panowie aby Hoover przestał przemawiać, albo żeby nie ogłaszano ,,obiektywnie szkodliwych'' cyfr? Czy anty-komunizm naprawdę musi przejąć wszystkie bolszewickie chwyty? Osobiście nie wierzę że jest *saison morte* na prawdę; już jako młody dziennikarz w prasie żydowskiej odrzucałem argument ,,co goje powiedzą''.

Zanim skończę z osobistymi sprawami i ,,urazami'' Sharpa, jeszcze kilka słów pod adresem Melchiora Wańkowicza, który napisał bardzo ciekawe omówienie mojej książki w detroickim „Dzienniku Polskim''. Widocznie i ten odważny krytyk przejawów ,,kundlizmu'' wśród Polaków nie mógł utrzymać na smyczy małego kundelka, który wyskoczył w ostatnim zdaniu jego artykułu. Zasłaniając się cytatą z Biblii, Wańkowicz radzi mi abym się udał do ,,ziemi Judzkiej'' i tam prorokował a nie Amerykanom rady dawał. Mimo eleganckiej formy, znaczy to po prostu ,,Żydzie do Palestyny''. Ale to przecież p. Wańkowicz jest patentowanym sjonistą; ja chcę, póki można, ,,prorokować'' w Ameryce, naturalnej ojczyźnie trojga moich dzieci. Mimo tego małego kundelka, Wańkowicz wydaje mi się jedynym z krytyków polskich, który stara się wyjaśnić dlaczego książka, zawierająca w zasadzie niewiele nowego, natrafiła na tak negatywną reakcję ze strony Polaków. Tłumaczy to ,,kompleksem matczynym''. Daje przykład matki, która straciła ukochane dziecko i która pyta lekarza co było przyczyną katastrofy. Gdy

lekarz odpowiada, że autopsja wykazała ,,interesujące zmiany na wątrobie'', matka odrzuca to kliniczne wytłumaczenie. Może nieszczęśliwe matki nie powinny czytać raportów opisujących ich tragedie słowami klinicznej diagnozy, ale przecież nikt nie proponuje, aby ze względu na uczucia matek autopsje były pisane wierszem. Zdaje mi się, że z zupełną szczerością wyjaśniłem moje podejście przez użycie jako motta książki powiedzenia Sir Lewis Namiera : ,,Pisanie historii nie jest wizytą kondolencyjną''.

II

Najważniejszym zarzutem ze strony poważniejszych krytyków — zarzutem z którym się spotyka każdy pisarz realistycznej szkoły — jest rzekoma ,,przestarzałość'' mojego podejścia. Książka, powiada Mieroszewski, jest spóźniona o 140 lat. Wiek dwudziesty, poucza mnie Wańkowicz, nie jest wiekiem dziewiętnastym. Jeśli rozumiem o co chodzi autorom, w ich opinii tradycyjne ,,power-political'' podejście do spraw międzynarodowych nie nadaje się więcej do użycia jako instrument polityki, dlatego, że komunizm jest nietradycyjną, dynamiczną siłą, bądź też dlatego, że bomba atomowa i wodorowa zmieniły do niepoznania samą istotę stosunków międzynarodowych. Ziemia jest okrągła i dlatego nie ma spraw ,,marginesowych''; nie ma specyficznej sprawy polskiej, jest jeden wielki problem europejski, czy też wszechświatowy. Pan Mieroszewski nawet powiada, że ostatecznie nie ma wielkiej różnicy między położeniem Polski, totalnie okupowanej, a położeniem Francji, częściowo okupowanej przez partię komunistyczną. *,,Den Unterschied moechte ich Klavier spielen koennen''*, jak mawiali dowcipnisie kawiarniani. Przecież my wszyscy czujemy tę różnicę. Przecież Juliusz Mieroszewski pisze i ja z nim polemizuję w ,,Kulturze'', która ukazuje się we Francji, a nie może w obecnych warunkach wychodzić w Polsce. Właśnie ta *petite difference* stanowi różnicę między tym co jest możliwe, a tym co jest — lub wydaje się — niemożliwe. W tej ograniczonej sferze właśnie operuje polityka. Stany Zjednoczone mogą popierać Francję i ekonomicznie i militarnie; w sprawie polskiej mogą albo protestować, albo zdecydować się na bardzo radykalny krok do którego się jednakże nie palą. Dlaczego tak jest? Dlatego, że mimo pozorów polityka w wieku dwudziestym nie różni się tak bardzo od polityki w wieku dziewiętnastym. Panowie, którzy zarzucają mi przestarzały sposób myślenia, rozumują tak samo, jak Polski Rząd Narodowy w 1831 roku, który wyrażał zdziwienie, że mocarstwa, które przyczyniły się do uzyskania niepodległości przez Grecję i Belgię, nie pospieszyły na pomoc Polakom. Istotą argumentów moich krytyków (jeżeli przyjmiemy, że ich argumentacja nie jest tylko ,,racjonalizacją'', mającą na celu poprawić ich samopoczucie) jest fakt, że nie zdołałem pojąć, iż obecne stulecie

musi się stać albo wiekiem amerykańskim, albo wiekiem eurazjańsko-komunistycznym.

Co ja osobiście myślę o wartości tej tezy, jest całkowicie bez znaczenia. Co natomiast jest istotne, to fakt że ci, od których moi polscy przyjaciele oczekują realizacji amerykańskiego stulecia — nie wydają się myśleć tymi kategoriami i z całą pewnością nie wykazują jakiejkolwiek skłonności do efektywnego działania po tej linii. To wszystko zdesperowanym emigrantom może się wydawać beznadziejnie staroświeckie, lecz niemniej politykę zagraniczną nadal robi się w formie realnych posunięć a nie ogólnikowych stwierdzeń.

Tylko krańcowe zdenerwowanie może zaślepić czytelnika mojej książki w odniesieniu do faktu, że nie to, co głupio przypisują mi krytycy, stanowi sedno mojego studium, lecz to, iż Polacy są niezdolni przekonać tych, od których oczekują pomocy, że akcja zmierzająca do wyzwolenia Polski jest koniecznością dyktowaną ich własnym interesem. Tak jak ja to widzę, jest rzeczą całkowicie obojętną kto — z abstrakcyjnego punktu widzenia — ma rację a kto jej nie ma. Cordell Hull — który uważał się za wielkiego przyjaciela Polaków — stwierdza w swych pamiętnikach, że był urażony krytycyzmem z jakim spotkał się ze strony polskiej po powrocie z Moskwy w r. 1943. Poza wszystkim — pisze w cytowanych pamiętnikach — celem jego podróży było złagodzić różnice pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Rosją, a nie między Rosją a Polską.

Oczywiście można zadać pytanie czy tradycyjny sposób regulowania stosunków międzynarodowych w naszych czasach jest wystarczający? Lecz ten problem nie leży w zasięgu ksiażki, która przez jednego z recenzentów ,,Kultury'' została określona jako makiawelska. Choć komplement nie jest może w pełni zasłużony — jest prawdą, że opisuję rzeczy tak, jakimi one są, względnie jak je widzę i sądzę, że są, a w żadnym razie nie opisuję ich tak, jakbym osobiście chciał by wyglądały. W tym sensie — wbrew posądzeniom moich krytyków — nie musi koniecznie istnieć jakaś zasadnicza różnica pomiędzy nimi a mną. Różnica między nami polega na tym, że oni (to jest moi krytycy) piszą o Ameryce i o świecie takim, jakim pragnęliby żeby był — ja zaś piszę o rzeczach, jakimi one są w rzeczywistości i odmawiam wypowiadania moralnego osądu w tych sprawach nie dlatego, że jest niemoralny, tylko dlatego, że polityka jest amoralna.

Odpowiednia czy nieodpowiednia — zręczna czy głupia — dalekowzroczna czy samobójcza — amerykańska polityka zagraniczna w dalszym ciągu będzie działała w ramach pewnych zasadniczych prawideł gry i mimo, że pozory wskazywałyby przeciwnie — w rzeczywistości owe prawidła nie uległy zmianom. Jedno z tych zasadniczych prawideł odnosi się do hierarchicznego uporządkowania celów politycznych narodów. Podobnie jak my planujemy nasze sprawunki w stosunku do naszych finansowych możliwości, tak również każde państwo, które prowadzi polity-

kę zagraniczną dąży do podziału celów na istotne i nieistotne, a następnie do jeszcze dalszej specyfikacji zależnie od różnych stopni ważności i osiągalności danych celów. Szczęśliwi są ci, których cele — z takiej czy innej przyczyny — są zbieżne ze ,,sprawunkami'' wysokiego stopnia pierwszeństwa na ,,liście zakupów'' wielkiego mocarstwa. Biada tym, którzy z takiej czy innej przyczyny — słusznie czy niesłusznie — zostali pominięci. Jest obowiązkiem tych, którzy reprezentują daną sprawę, walczyć o przyznanie wysokiego stopnia pierwszeństwa ich żądaniom, lecz wyniki takiej akcji i zabiegów nie zawsze są proporcjonalne do podjętych wysiłków. Gdy studiowałem historię stosunków Polski z Zachodem uderzyło mnie owo tragiczne niepowodzenie Polaków w zdobyciu (dla ich celów politycznych) statutu problemu o wysokim stopniu pierwszeństwa w programie polityki zagranicznej ich możniejszych protektorów. Nie sadzę by moja analiza historycznej przeszłości w tym względzie była niewłaściwa. W żadnym wypadku nie sugeruję, że stosunki w przyszłości muszą koniecznie rozwijać się według tego samego schematu.

W zakończeniu przedmowy do mojej książki stawiam pytanie : ,,Czy Stany Zjednoczone przełamią tę tradycję ? Oto jest problem''. Dla każdego, kto zna język angielski tego rodzaju sformułowanie pytania wyklucza definitywną odpowiedź — za lub przeciw. W końcowym ustępie książki stwierdzam : ,,Jeżeli odrzucamy wiarę w fatum pre-determinowanego rozwoju — musimy przyjąć, że jest rzeczą możliwą ludzkim wysiłkiem przełamać układ, choćby nie wiedzieć jak trwały''. W przeciwieństwie do tego co twierdzą recenzenci ,,Kultury'' nigdzie nie sugeruję, że Stany Zjednoczone ,,uznają całą wschodnią Europę za wieczystą sferę wpływów Rosji''. W rzeczywistości nigdy nie używam słowa ,,zawsze'', a jeżeli już, to tylko w cudzysłowach, gdyż użycie tego słowa inaczej stałoby w całkowitej sprzeczności z oczywistymi faktami stosunków międzynarodowych. Nie twierdzę, że Stany Zjednoczone nie powinny wyzwolić Polski, ani nie twierdzę, że Stany Zjednoczone nie wyzwolą Polski. Twierdzę natomiast — ,,że Polska — może w konsekwencji polityki amerykańskiej zyskać lub stracić. Polska może być znów wolna — w przyjętym sensie tego słowa — lecz w żadnym razie nie jest to pewnikiem''. Któż — nawet spośród najbardziej gorąco czujących Polaków — odważyłby się w stosunku do przyszłości na coś więcej niż ostrożny optymizm ?

To co p. Mieroszewski oferuje Czytelnikom ,,Kultury'' nie jest istotnie przekonywującym dowodem, że Ameryka (kraj według Wańkowicza ,,skazany na wielkość'') w rzeczywistości podejmie uwolnienie Polski i całej Europy środkowo-wschodniej. On tylko z góry oferuje typ satysfakcji podobnej do tej, której dał wyraz Hitler gdy w roku 1944 zapewniał Niemców, że wraz z nim pogrzebani zostaną w ruinach. Ten typ samsonowej satysfakcji w istocie swej jest znacznie mniej optymistyczny niż moje ostrożne przypuszczenie, że Stany Zjednoczone, których

przyszłej linii postępowania nie usiłuję kształtować ani nawet zgłębić — mogą uczynić serię pewnych posunięć, w konsekwencji których, Polska może znów odzyskać wolność. Nie mogę pozbyć się wrażenia, że przynajmniej niektóre wnioski p. Mieroszewskiego są wynikiem raczej pospiesznego czytania tekstu mojej książki. Np. gdy cytuje stwierdzenie, że ,,istnieje nadzieja, iż korzystna pozycja do rozmów z Rosją — bez wojny — może być ustalona'', p. Mieroszewski przyjmuje, że owa nadzieja jest wyrażona osobiście przeze mnie, co skłania go do kwestionowania przyczyn mojego optymizmu. Każdy kto zada sobie trud przeczytania ustępu na stronie 325 mojej książki, może stwierdzić, że opisuję jedynie sposób myślenia tych, którzy sądzą, że porozumienie jest możliwe na drodze negocjacji. Co ja osobiście myślę na ten temat jest znów całkowicie bez znaczenia. Przypuszczam, że wielu zgodzi się ze mną — iż w drodze negocjacji — bez istotnego osłabienia jej potencjału — jest nieprawdopodobne by Rosja zaoferowała gotowość wycofania się z Polski. Nigdzie nie użyłem określenia, że wycofanie się Rosji z Europy nie leży w interesie Stanów Zjednoczonych. Przeciwnie powiedziałem, że ,,wolelibyśmy widzieć Rosję w ramach jej legalnie ustanowionych granic, niż być świadkami rozszerzania się jej terytorialnego i politycznego panowania w sercu Europy'' (str. 317). Niemniej na podstawie realistycznej oceny prawdziwej Ameryki a nie rozpaczliwie wyidealizowanego o niej pojęcia — nie mogę uznać planu zepchnięcia Rosji, choćby w przybliżone jej granice z 1939 roku, za jeden z konkretnych celów obecnej amerykańskiej polityki zagranicznej.

Moje rozumowanie może okazać się fałszywe. W takim wypadku byłbym raczej zdziwiony niż zmartwiony.

Całe zagadnienie amerykańskiej polityki w stosunku do Europy środkowo-wschodniej — gdy odrzucimy to, co nazywam szafowaniem słowami — można sprowadzić do konfliktu pomiędzy dwoma koncepcjami strategicznymi, z grubsza dającymi się określić jako koncepcja centralno-kontynentalna (Heartland) i koncepcja pobrzeża (Rimland). Według pierwszej koncepcji Europa zachodnia i wspólnota atlantycka nie mogą być bronione dopóki nie przeszkodzi się konsolidacji ogromnych mas lądowych centralno-kontynentalnych w ramach jednego suwerennego systemu. W ramach tego poglądu rola środkowej i wschodniej Europy nabiera siłą rzeczy wielkiego znaczenia. Lecz koncepcja ta — głoszona przez MacKindera i jego zwolenników — spotkała się z krytyką tych, którzy uważają, iż obrona pobrzeża jest całkowicie możliwa nawet w obliczu konsolidacji ziem centralno-kontynentalnych. Skoro kraje pobrzeża znajdują się w zasięgu amerykańskiej potęgi jest rzeczą całkowicie naturalną, że konkretna amerykańska strategia musi budować swe plany w oparciu o te oczywiste fakty.

W momencie, kiedy główny przedstawiciel amerykańskiej polityki zagranicznej nawet państwom zachodniej Europy grozi drastyczną reformą zasad strategii amerykańskiej — przypusz-

czenie, iż Stany Zjednoczone rozszerzą swoje zobowiązania w ryzykownym kierunku rewindykacji Europy środkowo-wschodniej jest naprawdę szczytem niczym nieuzasadnionego optymizmu.

Jakkolwiek tragicznie brzmi ów wniosek dla tych, którzy wiążą swe nadzieje z oswobodzeniem ziem Europy środkowo-wschodniej, jest rzeczą nieuczciwą dopatrywać się w (mojej) beznamiętnej diagnozie czegoś więcej lub czegoś innego nad to, czym ona istotnie jest.

Samuel L. SHARP

Notatnik nieśpiesznego przechodnia

KSIĄŻKI Z KRAJU

W pierwszych latach powojennych starzy znajomi przysyłali mi co pewien czas jakąś książeczkę z kraju. Potem przez kilka lat nie przysyłali nic, jak gdyby sądzili, że lektura ta nie będzie mi przyjemna. Obawy ich, jeżeli je mieli, były zresztą niesłuszne. Ilekroć jesienią widzę lecące z północy kaczki, myślą przenoszę się do znanych mi, pokrytych sitowiem wód, lśniących nieruchomo we mgle. Książka mówi oczywiście nierównie więcej niż odległy furkot skrzydeł. Mówi nie tylko to co zamierza powiedzieć. Patrząc na jej stronice słyszę odległy brzęk szklanek z herbatą i wieczorne rozmowy dawno nie widzianych znajomych i przyjaciół. Dzieli mnie od nich kilkanaście długich lat, ale wydaje mi się, że w niejasnym rozgwarze poznałbym jeszcze ich głosy. Książki, które teraz znów otrzymuję, utwierdzają mnie w tym miłym złudzeniu.

Dla czytelników, którzy nie byli w kraju podczas okupacji niemieckiej i dziewięciu lat następnych, bardzo ciekawą lekturą będą *Zmiany w krajobrazie* Hanny Mortkowicz-Olczakowej. Książka ta, wydana w końcu ubiegłego roku nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego, obejmuje 19 szkiców poświęconych budowie Nowej Huty i oświetlających różne aspekty tego przedsięwzięcia. Sądząc z wysokości nakładu — 5.000 egz. — i aktualności tematu w prasie krajowej, książka ta nie jest przeznaczona dla szerokiej publiczności. Jest to relacja świadka, który widział różne fazy i epizody budowy i który wrażenia swe wiąże w całość rozważaniami dostępnymi także dla osób pozostałych nieco w tyle za szybko toczącymi się wypadkami. Stojąc jak gdyby na granicy dwóch pokoleń, autorka ułatwia zrozumienie Polski obecnej czytelnikom patrzącym na nią z daleka oczami przedwojennymi. Można przypuszczać, że książka jej stanowi pewną sumę refleksji robionych w kraju przez pokolenie wychowane w okresie niepodległości.

Hanna Mortkowicz-Olczakowa jest córką wydawcy Stefana Żeromskiego, Jakuba Mortkowicza, którego siwa broda, ciem-

ne, wyraziste oczy patrzące uważnie spod szerokiego kapelusza i księgarnia przy ulicy Mazowieckiej stanowiły nieodłączną część klasycznego obrazu przedwojennej Warszawy. Jego córkę pamiętam jako młodą dziewczynę o złotych włosach i różowej cerze, potem jako młodą kobietę, żywą i wesołą. Na jej nazwisko figurujące na okładce książki patrzę jak na czterolistną koniczynę lub inny znak dobrej wróżby dostrzeżony na brzegu drogi. Sam bowiem fakt, że Niemcy nie spalili jej w piecu jak córki Szymona Askenazego i tylu innych rówieśniczek, i że z tego tragicznego okresu wyniosła widoczny z jej książki optymizm i życzliwą ciekawość spraw ludzkich, jest dobrą wróżbą, świadczącą o niezmożonej sile i ciągłości życia.

Nowa Huta jest zespołem — ,,kombinatem'', jak mówią dziś w Polsce — fabryk metalurgicznych, wznoszonym od 1950 na terenie gminy Mogiła o kilka kilometrów od Krakowa. W przedsięwzięcie to zainwestowano do końca 1953 dwa i pół miliarda złotych, zatrudniając 25 do 30 tysięcy robotników. Żelazne i stalowe wyroby Nowej Huty stanowić będą w najbliższych latach, jak nas informuje autorka, 15% produkcji metalurgicznej całego kraju. Maszyn i instalacji do budowy Nowej Huty dostarczył częściowo Związek Sowiecki.

Zmiany w krajobrazie nie są studium ekonomicznym i rozsiane po książce luźno cyfry nie dają odpowiedzi na pytania, jakie mogliby sobie postawić czytelnicy obyci z zagadnieniami gospodarki planowej. Autorka znajduje się pod wrażeniem lawinowego charakteru procesu budowy.

,,Pośpiech pracy przerzuca nas tak szybko z jutra w wczoraj na sunącej nieprzerwanie taśmie zdarzeń, że nie mamy czasu na rzut syntezy, na znalezienie miary porównań... Każda data chwilowych dokonań okazuje się nieważna wobec biegu następnych... Dlatego tak trudno jest pisać o wielkiej budowie w trakcie jej powstawania''.

Znacznie dokładniej informuje nas autorka o kształcie, jaki Nowa Huta przybrała w wyobraźni jej pokolenia.

,,Nowa Huta jako teren największej, najważniejszej, najbardziej różnorodnej i skomplikowanej budowy ostatnich lat, stała się dla nas symbolem tego opornego i trudnego, a jednak wytrwałego i potężnego rośnięcia wbrew minionym klęskom. Na jej terenie objawiają się najwyraźniej siły planomyśli, zorganizowanego wysiłku, mechanicznej i elektrycznej energii, które przetwarzają nie tylko rudę i kruszywo, ale także krajobraz i człowieka. Nowa Huta... jest nie tylko imieniem, ale węzłowym spięciem tych powszechnych i nieodwracalnych przemian, które odmienią charakter naszego kraju i z Polski rolniczej uczynią Polskę uprzemysłowioną''.

Uprzemysłowienie kraju — słowo to powracało u nas w rozmowach od czasu Szczepanowskiego, przybierało charakter wizjonerski w powieściach Żeromskiego, stało się natarczywe i pilne w okresie wielkiego kryzysu 1930-1936. Mortkowicz-Olczakowa wskazuje na jeszcze starsze tradycje, między innymi na ostatnie odkrycia archeologiczne, z których można wnosić, że

w okolicy Krakowa wytapiano żelazo już na progu epoki historycznej.

Okres wielkiego kryzysu, który jak żaden inny przyczynił się do rozpowszechnienia podstawowych pojęć ekonomicznych, odsłonił dramatyczną sytuację Polski rolniczej. Konkurując na wolnym rynku z krajami Nowego Świata o gospodarce ekstensywnej, Polska za swe produkty rolne nie mogła otrzymać żadnej godziwej ceny. Kraje przemysłowe, przywykłe aprowidować się na pół darmo, nie zrobiły żadnego wysiłku dla zagospodarowania rolniczej części Europy, odtrąconej wówczas przez Zachód w planie gospodarczym, jak później w planie politycznym. Z drugiej strony przyrost ludności wiejskiej nie znajdującej zatrudnienia w rolnictwie powiększał każdego roku zastępy ludzi nie widzących dla siebie w kraju żadnej przyszłości. Przyrastającą ludność można było zatrudnić przez rozbudowę przemysłu, wysiłki podejmowane w tym celu były jednak niedostateczne. Rozbudowy przemysłu nie umiano sobie wyobrazić bez pomocy kapitałów zagranicznych lub głębokich zmian strukturalnych i wielkich eksperymentów społecznych i gospodarczych, na jakie nie decyduje się zazwyczaj nikt, kto może decyzję odłożyć do jutra. Wojna i lata następne zmiotły z powierzchni kraju wiele rzeczy, które dawniej trzeba było postawić na kartę podejmując takie eksperymenty. Wzrosła jednocześnie ludność bezdomna i wysiedlona, którą należało natychmiast zatrudnić. W ten sposób powstały warunki do podjęcia próby rozbudowy przemysłu środkami, jakie były wówczas do rozporządzenia. W swej książce Mortkowicz-Olczakowa powraca wciąż do tego prologu budowy Nowej Huty. Ciągłość problematyki społecznej i ekonomicznej kraju jest główną myślą porządkową jej książki.

Przedsięwzięcie przewidujące równoczesną budowę dróg i kanalizacji, zakładów przemysłowych, elektrowni dostarczających dla tych robót prądu, mieszkań dla robotników, cegielni dostarczającej cegły itd. wymaga nie tylko przemyślanego w szczegółach planu, ale także nieustannej koordynacji dokonywanych prac. W barwnych stronicach autorka opisuje trudności i wysiłki koordynatorów, którzy w Nowej Hucie noszą tytuł dispeczerów, pożyczony z Ameryki przez Rosję i przywieziony stamtąd do Krakowa. Konieczność równomiernych postępów w różnych działach budowy objaśnia powstanie ,,norm'', od których wykonania uzależniony jest poziom zarobków poszczególnych ,,brygad'' robotników.

Robotnicy zatrudnieni przy budowie są w ogromnej większości siłami niewykwalifikowanymi, rolnikami z pobliskiego Podhala, wykolejeńcami wojennymi i bezrobotnymi z różnych części kraju. Procesowi szkolenia ich podczas wykonywanej pracy autorka poświęca miejsce odpowiadające wadze tego zagadnienia. Osobny rozdział poświęcony jest kobietom, wykonywującym w Nowej Hucie wiele prac najcięższych i roli ich w osiedlu przypominającym pod wielu względami Sicz zaporoską.

Z książki Mortkowicz-Olczakowej dowiadujemy się między innymi, że Podhale, którego część ludności wiejskiej ma znaleźć zatrudnienie w przemyśle, zostanie przekształcone na obszar pasterski. Nowa Huta ma dać zatrudnienie stu tysiącom robotników.

Współżycie ,,Krakowiaków i Górali'', jak ich nazywa autorka, to jest ludzi z różnych okolic, środowisk i zawodów oraz ich samorzutne inicjatywy kulturalne, tworzenie zespołów muzycznych i dramatycznych są przedmiotem osobnych rozdziałów.

Wiadomości o warunkach pracy i życia robotników nowohutnickich rozsiane są po całej książce w formie obrazów widzianych w miejscach pracy, w mieszkaniach stałych, hotelach robotniczych i innych mieszkaniach tymczasowych oraz rozmów z ich mieszkańcami. Z fragmentów tych odnosi się wrażenie, że warunki te są ciężkie, podobne do tych, jakie istniały w Polsce w okresie wielkiego kryzysu. Nowością jest towarzysząca im ,,muzyka przyszłości'' i zwiększone możliwości awansu społecznego, wynikłe z rozbudowy przemysłu i potrzeby szkolenia pracowników wykwalifikowanych różnych kategorii.

W paru miejscach autorka opisuje proces wciągania się robotników ze wsi w tryby wyścigu pracy.

,,Przybysze ze wsi, pisze, *długo chodzą oporni i chmurni, umykają na strony, aby się wymigać, przespać gdzieś z boku, nie dać się ogarnąć szaleńczemu tempu nowohutnickiego wyścigu. A potem dają mu się ogarnąć. Bo atmosfera tego szalonego i bujnego środowiska ma w sobie niezwykłą i przyciągającą siłę. Na którymś, niewidocznym punkcie przełomu sprawa rekordu, wykonania planu staje się własną sprawą robotnika. Zaczyna grać duma, ambicja, chęć sprostania najtrudniejszym warunkom dla dobra rosnącej budowy czy produkcji... Brygada, która dotychczas myślała egoistycznie tylko o swoich interesach i zarobkach, wobec trudnego zadania i propozycji wzmocnienia załogi, oświadcza z dumą : Nam tam nie trzeba pomocy. Dziady nie jesteśmy... Zrobimy sami co trza...''*

W mniejszej skali zjawiska takie znane były także w Polsce przedwojennej. W krajach uprzemysłowionych swoista mistyka pracy była przedmiotem różnych badań poświęconych jej naturze i możliwościom kierowania nią. W dawnym warszawskim Instytucie Organizacji Pracy spędziłem kiedyś parę tygodni na czytaniu literatury amerykańskiej i niemieckiej tego przedmiotu. W krajach, gdzie ,,szaleńcze tempo'' pracy trwało przez parę pokoleń, nie brakło też głosów pełnych sceptycyzmu i nawet goryczy. Niedawno czytałem np. ogłoszoną w 1949 rozprawę młodego socjologa niemieckiego Waltera Jaidego, rozwijającą myśl że *das deutsche Arbeitswunder* był w gruncie rzeczy rodzajem zbiorowej neurozy kompensującej brak bardziej zrozumiałych i ludzkich satysfakcji. Miejmy nadzieje, że Nowa Huta zostanie zbudowana i że obecny zapał do pracy wyda swe dodatnie skutki, zanim jednostronność tych tytanicznych wysiłków obudzi korygujący wszystkie szaleństwa sceptycyzm.

Rewolucje XX wieku są nie tyle zwycięstwami proletariatu, który jak dotąd nie wiele na nich zyskał, co zwycięstwami radykalnej inteligencji realizującej obecnie swe plany przebudowy świata. Niejednego więc zainteresuje obecny stosunk inteligencji do ludu pracującego w ciężkich warunkach materialnych. Nie mam tu na myśli rozważań pragmatycznych o przydatności i przysposobieniu ludu do dzieła wielkiej przebudowy. Jest to sprawa organizatorów i ,,inżynierów'' różnego typu. Książka Hanny Mortkowicz-Olczakowej zawiera zresztą liczne echa ich rozważań. Kontakt z ludem wywołał u inteligencji także różne odruchy mimowolne: uczucia sympatii, solidarności, obojętności, obcości lub nawet odrazy — *entre moi et ce sale magot, quoi de commun?* jak mówi pewien bohater Gide'a. Obok idyllicznych opisów ludu mamy także czarne stronice *Chłopów* Balzaka. Jaki jest stosunek do ludu inteligencji obecnej? Książka Mortkowicz-Olczakowej nie wykłada żadnej doktryny, jest pełna życzliwej ciekawości spraw ludzkich, powinna więc zawierać jakieś w tym względzie wskazówki.

Znajdujemy je w szkicu tytułowym o zmianach w krajobrazie. Passus dotyczący w nim ludu i inteligencji jest tak zawiły zarazem i charakterystyczny, że przytaczam go tu w skróceniu.

,,Widok z Obidowej a także ze stoków Tatr i Gorców jest bardzo piękny. Ogromny, falujący obszar Podhala leży wtedy w dole mgławoniebieski i złoty, a jego pologie stoki pocięte są całe w różnobarwne paseczki pól chłopskich... Ten piękny widok znalazł swe odbicie w wielu obrazach polskich pejzażystów. Malarze... zachwycali się od pokoleń malowniczością szachownicy pól... W ślad za Witkiewiczem mitologizowali górski obyczaj i styl stwarzając z niego rezerwat i wyłączając go tym samym samolubnie od deformujących wpływów społecznego i kulturalnego postępu. A przecież ta szachownica pól pociętych w wąziutkie pasy, to znaczy ,,sznury'', oznaczała po prostu straszliwą chłopską nędzę, niesłychane przeludnienie wsi... Ale stosunek sztuki był zazwyczaj obojętny dla spraw bytu — podziwiał i przyswajał sobie tylko zewnętrzność... Na Szlembarku... stałe współżycie grupy plastyków z tym malowniczym osiedlem w niczym nie zmieniło sposobów tej wegetacji... Malarze i graficy przyjeżdżali regularnie na parę letnich miesięcy i odjeżdżali z bogatym plonem swych dzieł. Chwalili sobie tę odrębność Szlembarku i ten prymityw, a więc i nędzę, z której ciągnęli wielorakie natchnienie plastyczne... Bujna natura i artystyczne skłonności podhalańskiego ludu łączyły go ze sztuką. Ale zbieracze i smakosze z miast... widzieli tę sztukę tylko pod kątem estetyki, odgradzali ją swoją oceną i nawet zachwytem od podstaw bytu, od warunków i perspektyw życiowych jej twórców: świątkarza, tkacza i zwykłego pastucha... Artyści walczyli nieraz pędzlem i rylcem z nędzą zagłodzonych i zapomnianych wiosek, ale przyjechawszy na ich teren nie sprzymierzali się z ich mieszkańcami we wspólnych dążeniach do odmiany''.

Stronica ta jest pełna niedomówień i niejasności. Trudno mi np. zrozumieć, co autorka ma do zarzucenia artystom. Malarze przyjeżdżający dawniej latem na Podhale byli przeważnie równie ubodzy jak miejscowi włościanie, sami pochodzili z ludu i z tej przyczyny znajdowali z nim łatwo kontakt, bez przeżyć i kon-

fliktów moralnych. Jeżeli patrzyli na otaczający ich krajobraz z punktu widzenia „estetycznego", wynikało to z ich rzemiosła. od miejscowej ludności. Ukształtowany ręką człowieka krajo-Nie wydaje mi się również, aby ten punkt widzenia oddalał ich braz podgórski był częścią dóbr niewymiennych wytwarzanych przez wszystkie cywilizacje rolnicze. W szczęśliwszych krajach widziałem gminy wiejskie, w których nawet ubożsi rolnicy posiadali na nasze pieniądze po kilkadziesiąt tysięcy dolarów oszczędności i gdzie chłopi milionerzy patrzyli na przybywającego z miasta z podejrzliwością posiadających dla ubogich. Role były odwrócone, ale układ i porządek pól, archaiczna architektura budynków, barwne stroje i styl życia były mniej więcej takie same jak na Podhalu. Większe lub mniejsze, zależnie od okolicy, ubóstwo rolników polskich było rzeczywiste, ale nie stanowiło ani treści, ani istoty ich życia. To ostatnie było tylko inne od życia ludzi miejskich. miało inne kryteria i inny porządek, częściowo tylko zależny od stopnia zamożności. Dramat wsi podhalańskiej polegał na tym, że mieszkańcy jej, jeżeli mieli inne ambicje, nie mieli z niej dokąd wyjść.

Kiedy autorka mówi, że malarze patrzyli na wsie podgórskie jak na rezerwat, „wyłączając je tym samym od deformujących wpływów społecznego i kulturalnego postępu" i że „odgradzali je swą oceną od podstaw bytu, od warunków i perspektyw życiowych", słowa jej przypuszczają nieznaną z potocznego doświadczenia potęgę myśli. Stąpamy tu najwidoczniej po terenie podminowanym ukrytymi kompleksami psychicznymi, znanymi częściowo z dawniejszej literatury o ambicjach społecznych.

Zbliżając się do ludu, inteligenci byli zazwyczaj wstrząśnięci brakiem w jego życiu tego, co uważali za znamiona swej własnej zamożności i swego awansu społecznego. Wrażliwsi z nich odczuwali zakłopotanie i zawstydzenie posiadających w obliczu wydziedziczonych. Kompleks zawstydzenia i winy, wraz z jego zjawiskami kompensacyjnymi, był najczęściej głównym jeżeli nie jedynym wynikiem przypadkowych spotkań inteligencji z ludem i przyczyną obustronnego skrępowania, bo i lud wyczuwał u swych miejskich przyjaciół to co Baudelaire nazywa *la secrète horreur du dévouement*. Lud nie jest dla obcych nigdzie całkowicie przejrzysty i obcowanie z nim wymaga pewnego przygotowania.

Kompleks winy wobec ludu, mający u nas dodatkowe umotywowanie we wspomnieniach pańszczyźnianych, posiada długą i bogatą historię, znaną tylko w celniejszych wyjątkach a zasługującą na bliższe zbadanie jako siła mogąca prowadzić zarówno do poczynań użytecznych jak i do błączenia po manowcach. Do manowców należy zapewne modna w latach wielkiego kryzysu społeczna *Greuelpropaganda,* zajmująca się opisem okropności nędzy wiejskiej. Mało z niej przyszło ludowi, była to bowiem raczej wewnętrzna rozprawa inteligencji ze swym kompleksem winy niż próba rzetelnego poznania ludu. Jego poczucie godności i niezależności osobistej, którego słusznym tytułem mogły

mu pozazdrościć inne grupy społeczne, jego zaufanie do własnych sił, a wreszcie i cała struktura naszej cywilizacji rolniczej zostały wówczas przeoczone.

Przytoczony wyżej ustęp z książki Mortkowicz-Olczakowej jest zapewne echem gorączki z lat wielkiego kryzysu. Gorzej byłoby, gdyby radykalna inteligencja nie potrafiła przezwyciężyć swych dawnych kompleksów. Lud polski mógłby bowiem pozostać równie odosobniony moralnie i odległy od warstw rządzących jak w czasach Rzeczpospolitej szlacheckiej.

◆

Powieść Anny Kowalskiej *Na rogatce* należy do innego rodzaju literackiego i jest w ogóle z innej gubernii. Czytałem ją już przed pół rokiem z największym zainteresowaniem. Lektura ta musiała skierować moją wyobraźnię na jakieś nowe tory, bo kiedy usiłowałem zapisać coś o niej w notatniku, spostrzegłem że żadne stosowne słowa nie przychodzą mi na myśl. Czytając ją dziś na nowo widzę, że i teraz nie mam do niej dostatecznego dystansu, aby sformułować jakiś koherentny sąd krytyczny. Myślę jednak, że na to będzie jeszcze czas, bo powieść ta będzie czytana przez długie lata, być może nie przez wielką publiczność, lecz przez literatów interesujących się zagadnieniami tego co po epoce geniuszów przywykliśmy skromnie nazywać rzemiosłem pisarskim.

Powieść Anny Kowalewskiej pisana jest w formie wspomnień z dzieciństwa spędzonego we Lwowie między 1901 i początkiem pierwszej wojny światowej, w rodzinie, która, jak wiele rodzin z Galicji Wschodniej, posiadała rozgałęzienia w różnych środowiskach społecznych. Z tych stosunków rodzinnych wynika obecność w opowiadaniu różnych elementów powieści obyczajowej i powieści historycznej, charakteryzującej oddalającą się w naszej pamięci epokę. Opowiadanie autorki nie mieści się jednak w żadnej z tych form.

Tworzywo jego składa się z tego co widzimy, kiedy zamknąwszy oczy dajemy się nieść płynnemu majaczeniu naszej pamięci. W czasach romantycznych nazywano ten stan marzeniem. Żeromski wspomina jeszcze ,,gubernię marzeń''. Obecnie jednak wyraz ten wyszedł niemal zupełnie z użycia. Słownik filozoficzny Baldwina przestrzega przed używaniem powszechnie niegdyś znanych wyrazów jak *marzenie, medytacja* lub *fantazjowanie* jako pozbawionych określonego sensu. Dekadencja ich musi być już dawna, bo przed przeszło stu laty płk. Ludwik Sztyrmer, płynący w wodach najczystszego romantyzmu, pisał w *Pamiętnikach pantofla* o ,,medytacji nad omletem'', jak gdyby w poczuciu że wyraz ten brzmi najlepiej w zestawieniach komicznych lub groteskowych.

Brak odpowiednich terminów nie zaprzecza istnieniu i nie zmniejsza rozmiarów samego zjawiska. Wystarczy zamknąć oczy i odłożywszy na stronę Lalanda i Carnapa przestać interesować

się znaczeniem wyrazów i użytecznością przedmiotów, aby rozpocząć znów przerwaną podróż po niezmierzonym obszarze naszej pamięci, którego granice odpowiadają mniej więcej granicom naszego poznania, lecz w którym rzeczy są ułożone w innym porządku. Świat ten ma zasięg szerszy niż literatura i posiada zapewne donioślejsze funkcje ogólne, nie wyłączając społecznych. Ze światem sztuki łączy go przede wszystkim nieokreśloność jego porządku, dająca niezliczone możliwości wyboru. W najlepszych powieściach czasów nowożytnych, czy to będzie Flaubert czy Joyce, odczuwamy niemal dotykalną bliskość tego pierwotnego tworzywa.

W rękach Anny Kowalskiej materiał ten traci swą niejasność i mglistość oddalenia. Fragment za fragmentem ukazuje się realny, świeży jak rosa poranna, dokładny jak martwa natura holenderskiego mistrza. Każdy z nich nadto zdaje się mieć własną kompozycję wewnętrzną.

Oto portret nauczycielki i kancelisty z cegielni, w stylu 1900:

„W dwa dni później zjawiła się panna Ida, jeszcze bardziej ururkowana i upudrowana niż zwykle. Wstążki, riuszki, kwiaty, świecidełka szumiały, szeleściły, lśniły. Cała była piękna, ale najpiękniejszy był chyba kapelusz, ogromny, z białej słomki, podbity niezapominajkami; jakieś tiulowe szarfy zwisały z tyłu, białe i niebieskie.

Ojciec mruknął : — Czupiradło — i wyszedł na miasto.

Panna Ida wyciągnęła z torebki różowy list i podała go matce. Sama zaś splótłszy ręce pod brodą, wpatrywała się w lustro rozmarzonymi oczyma.

— Piękny list — rzekła matka po chwili.

— Ach, czemuż to nie od dyrektora — westchnęła panna Ida i popatrzyła boleśnie na matkę".



„Przez cały czas nie zapominałam o Wysockim. Wypił swoją szklankę koziego mleka, którą mu Gilewska przyniosła, ale nie odchodził. Rozparł się wygodnie na ławce jak człowiek, który chce spędzić dłuższy czas na przyglądaniu się pięknej okolicy. Tuż nad jego głową zwisały kiście białego bzu; uśmiechał się, to stulał usta, jakby chciał przesłać kwiatom pocałunek, przymykał oczy, podobny do starej panny Michaliny, kiedy się modliła. Wystrojony był jak na niedzielę, w tabaczkowy kraciasty surdut. Chuda szyja sterczała w wysokim, zbyt luźnym kołnierzu śnieżnej białości. Twarz mieniła się zielonkawożółtym kolorem; niewiele kozie mleko przysparzało mu rumieńców".

Lub oto powiadanie strażnika akcyzy, urodzonego na emigracji :

— „A gdzie ci się najwięcej podobało ? Nigdy nic nie chcesz mówić !

— Sam nie wiem. Wszędzie pięknie : i w Wenecji, i w Genui. Ale chyba Neapol. Bo Rzym to nie. Najdłużej mieszkaliśmy pod Neapolem. U przyjaciela stryja. Doktór był jak i on. Eleganckie panisko, trochę tylko pomylony. Wciąż gadali o braterstwie ludów i takie różne fiksacje. Pomarańczy i wina było, ile kto chciał. I dziewczęta — zaśmiał się ojciec".

Realizm szczegółów ma w sobie u Kowalskiej dziwną właściwość : w tajemniczy sposób łączy nas jeszcze bliżej, powiedziałbym niemal niebezpiecznie blisko z niewidocznym lecz ciągle obecnym, falującym światem snów. W jednym zaledwie miejscu można dostrzec mechanizm tego złudzenia :

„Odeszłam cicho do pustego pokoju. I ja chciałam jakoś pożegnać się z mieszkaniem, ale nie wiedziałam jak. W szparze podłogi dostrzegłam zapałkę, podniosłam ją i wyskrobałam kółko na ścianie przy oknie. Nikt go nie zauważy, a ja będę wiedziała gdziekolwiek się znajdę, że ono tu cały czas jest".

Starsi czytelnicy pamiętają być może *Gruce,* przedwojenną powieść Anny i Jerzego Kowalskich. Ukazawszy się przed ćwierć wiekiem, powieść ta nie wywołała większego echa u czytelników i krytyki, mimo że była dziełem talentu świeżego, mającym już w sobie coś z uroku *Rogatki.* Między tymi dwoma powieściami talent autorki przeszedł drogę podobną do tej jaka dzieli brzoskwinię od węgierskiej „palinki", zachowującej zapach świeżych owoców. Są dzieła sztuki fascynujące przede wszystkim sugestią drogi przebytej przez artystę. *Na rogatce* zdaje się do nich należeć.

Otwierając nowy tom wierszy szukam w nim zazwyczaj, zanim przystąpię do dalszego czytania, tego co autor pisze o poezji. Po tej próbie często zamykam książkę. Cokolwiek o tym mówią sami autorzy, wydaje mi się, że wszystkie ważniejsze książki, warte powtórnego czytania, powstają z jakiegoś osobistego stosunku autora do jego procederu i głębszego przemyślenia sensu tego ostatniego. *Na rogatce* jest dziełem rzemiosła bardzo przemyślanego i od tej strony nastręcza czytelnikowi wiele refleksji, do których być może jeszcze powrócę.

Paweł HOSTOWIEC

Sabotaż Prometeusza

Wybitny pisarz angielski, Charles Morgan, dla określenia czasu akcji swojej nowej sztuki, *The Burning Glass*, użył słowa „wkrótce”. W momencie londyńskiej premiery nie mógł wiedzieć, iż rzeczywistość właśnie zbliża się do sytuacji na jakiej oparł swoją sceniczną fantazję, którą wprawdzie uznał za możliwą w niedalekiej przyszłości, ale jeszcze za nieprawdopodobną w teraźniejszości. Tymczasem fakty prześcignęły wyobraźnię. Kiedy bowiem dzięki przypadkowi dowiedziano się o rozmiarach wybuchu amerykańskiej bomby wodorowej na Oceanie Spokojnym, świat stanął wobec bardzo podobnego dylematu. Przeprowadzona przez Morgana analiza powikłań moralnych w sumieniu każdego odkrywcy nowych źródeł energii nabrała nieprzewidzianej aktualności.

Autor *The Burning Glass* chciał stworzyć przykład o laboratoryjnej czystości i przeprowadzić nad nim dyskusję, wolną od nacisku bieżącej polityki. Ale niedawne oświadczenie szefa amerykańskiej obrony cywilnej pokazało, jak dalece problem sztuki nie stanowi już fantazji, lecz należy do dzisiejszego świata. Val Peterson, obliczając ewentualne skutki bombardowania atomowego głównych miast amerykańskich podał prawdopodobną cyfrę zabitych na 9 milionów, rannych — na 22 miliony, i zakończył dramatycznym pytaniem : „Jak zdołamy pogrzebać dziewięć milionów zwłok ?”

Już to by wystarczyło, żeby zwątpić w dobrodziejstwa wiedzy i wzbudzić lęk przed wydzieraniem przyrodzie dalszych tajemnic. Morgan jednak nie ogranicza się do niebezpieczeństw ewentualnej wojny i wydobywa konflikt między całością dziewiętnastowiecznej wiary w bezwzględny pożytek rozszerzania władzy człowieka nad naturą, a wątpliwościami ogarniającymi dzisiejszych fizyków. Jako myśliciel poddaje rewizji kodeks etyczny uczonych i stawia pytanie : gdzie leży granica wie-

dzy, której człowiek, nawet zdolny do jej naruszenia, nie powinien przekraczać ze względów moralnych. Tym właśnie zajmuje się sztuka, na tym też polega istota starcia między wynalazcą Terrifordem, a wcielającym przyjęty sposób myślenia brytyjskim premierem ze sztuki *The Burning Glass*. Oczekujemy więc szlachetnego gestu nauki, ofiarowującej ludzkości nowe pole rozwoju i jednocześnie nakładającej na swoich kapłanów obowiązek milczenia i odmowy, równy zachowaniu tajemnicy spowiedzi, jeśli idzie o wykorzystanie wiedzy dla dzieła zniszczenia. Nic podobnego. Morgan unika głoszenia fikcji światowego zakonu nauki w dobie, kiedy istnieją dwa różne pojęcia sumienia. Unika także naiwnego idealizmu, który mógłby się sprowadzić do zasady nie sprzeciwiania się złu. Gdyby założeniem historii ,,płomienistego szkła'' pozostał truizm, że w ręce szaleńca nie wtyka się nabitego rewolweru, sztuka byłaby udramatyzowaniem prawdy równie powszechnie uznawanej, jak i mało praktykowanej. Krótko mówiąc, byłaby banalna. Morgan idzie dalej. Terriford zgłasza gotowość udzielenia sekretu w razie wojny, natomiast kategorycznie o d r z u c a wykorzystanie skoncentrowanej energii słonecznej dla celów pokojowych.

W ten sposób autor przeciwstawia się wszystkiemu, co może zwiększyć dysproporcję między zdolnością człowieka wpływania na warunki własnego życia, a jego władzą nad samym sobą. Jest to atak na przyjęty sposób myślenia. Jest to odrzucenie pozytywistycznego przeświadczenia o dobroczynności postępu materialnego, posunięte aż do żądania dobrowolnego wyrzeczenia się zdobyczy technicznych, które potrafiłyby rewolucyjnie przekształcić świat. Dotychczas moralnym obowiązkiem człowieka nauki było bezinteresowne dzielenie się uzyskanymi rezultatami i jeszcze w kwietniowej dyskusji przed mikrofonem radia brytyjskiego profesor Józef Rotblat, dawny współpracownik Penney'a i Oppenheimera, bronił tezy, że uczony jest sługą społeczeństwa w tym znaczeniu, że społeczeństwo bierze na siebie odpowiedzialność moralną za korzystanie z odkryć, dostarczanych przez wiedzę ścisłą. Morgan daje zasady innej moralności człowieka nauki, a Terriford jest przykładem jej działania w praktyce. Decyzja należy nie do obywateli, ale do wynalazcy, który powinien jednocześnie być filozofem, gotowym pogrzebać osiągnięte wyniki własnej pracy, jeśli uważa że mogą przynieść moralną szkodę. Toteż główny bohater *The Burning Glass* walczy o skuteczne ukrycie decydującej formuły, a asystent Terriforda, nie mogąc jej wydrzeć z pamięci, popełnia samobójstwo. Nie idzie tu wyłącznie o zabezpieczenie tajemnicy przed wrogiem, o pośrednie stwierdzenie, że w naszych czasach nauka dostarczyła środków niszczenia osobowości i że jedyną gwarancją milczenia ludzi aresztowanych czy porwanych jest albo grób, albo niewiedza. Postępowanie Terriforda wyrasta z przyjęcia kryteriów dobra i zła społecznego, odmiennych od panującego na Zachodzie humanitaryzmu. Istotnym zagadnieniem sztuki Morgana jest nowe postawienie problemu moralnego, bronione przed ata-

kami w przedmowie do książkowego wydania dramatu, i w odpowiedzi autora danej krytyce na łamach ,,Spectatora''.

II

Ani polityka, ani filozofia nie wyciągnęły jeszcze wniosków z faktu, że pełne użycie bomb wodorowych jest w stanie zburzyć naszą cywilizację. Po pierwszym wstrząsie przyszła kolej na zapewnienia, że nie znajdzie się taki człowiek, który zaryzykowałby ten rodzaj wojny. Jedynie radni miasta Coventry, zbombardowanego przez Hitlera, zapamiętali fakt dojścia do władzy patologicznego fanatyka i spokojnie skreślili z miejskiego budżetu kredyty na prowadzenie kursów obrony cywilnej. Szanując pieniądze podatników, uznali ten wydatek za bezcelowy.

Istnieje legenda, że fizycy pracujący nad rozwiązaniem zagadnień naukowych, koniecznych dla zbudowania bomby wodorowej, modlili się, aby w trakcie badań wyłoniła się jakaś nieoczekiwana zasada, przekreślająca szanse otrzymania zamierzonego rezultatu. Była to jakby prośba o interwencję Opatrzności, jednakże Opatrzność nie ograniczyła w tym wypadku wolnej woli człowieka. Dziś ludzie prawdopodobnie błogosławiliby tego, kto ujarzmiając równie potężną energię, dałby sposobność do zastosowania jej do celów pokojowych, a zamknął drogę użyciu w akcji masowego zniszczenia.

Morgan zwraca się właśnie przeciw tej tendencji. Jedna z postaci sztuki wyraźnie mówi, że wojna nie jest największym złem. Wynalazca Terriford przyjmuje na siebie ciężar decyzji, odmawiając zaś złożenia jej w ręce rządu, zachowuje sekret ,,płomienistego szkła'' : energia słoneczna n i e będzie użyta dla przekształcania gleb w płodną ziemię raju, a ,,płomień niebieski'' pojawi się jedynie w razie konieczności obrony wolności i demokracji przed agresją totalizmu.

Interesujące jest to odrzucenie próby stworzenia epoki dobrobytu materialnego. Nakaz etyczny Morgana opiera się na tej samej wierze, która upoważnia Terriforda do użycia środka masowej zagłady w obronie cywilizacji zachodniej. W pozornym absurdzie tkwi głęboka konsekwencja. Morgan bowiem słusznie przeczuwa, że radykalna zmiana stosunków materialnych i metod produkcji, prawdziwe uwolnienie od lęku przed niedostatkiem, byłoby przewrotem, wobec którego nawet rewolucja przemysłowa wygląda na nieśmiały krok naprzód. W ślad za zmianą podstawowych warunków bytu przyszłaby nowa filozofia życia, nowy układ stosunków i prawdopodobnie nowa moralność społeczna. Ograniczenie — używając terminologii profesora Toynbee — ,,wyzwania przyrody'' wyzwoliłoby tyle energii ludzkiej, że musiałaby ona znaleźć ujście w przebudowie świata. Kto więc broni naszej cywilizacji wojenną tarczą ,,płomienistego szkła'', brzmi wniosek Morgana, musi jej także bronić przed radykalną

rewolucją techniczną, jeżeli ceni obecną formę kultury i chce nadal zachować jej kształt.

Znamy tę postawę z huxleyowskiego ,,The Brave New World''. Huxley ośmieszał złoty wiek postępu, Morgan zaś sądzi, że doszliśmy do granicy eksperymentowania, poza którą uległaby naruszeniu sama ,,la condition humaine''. Huxley obawiał się, aby doskonała przeciętność nie zniweczyła indywidualności, aby planowość i organizacja nie usunęły twórczego działania biologicznego przypadku, nie łączył jednak opanowania sił natury z grożącym człowiekowi samozniszczeniem. Morgan, powtarzając właściwie linię argumentacji Huxleya, może dziś powołać się, jako na dodatkowy argument, na wystąpienie niebywałej zdolności popełnienia masowej zbrodni. Ma ona być dowodem, że odkrycia typu wynalazku Terriforda wprowadzają w stosunku człowieka do przyrody zasadniczą zmianę jakościową, nie zaś zwyczajne przesunięcie ilościowe.

The Burning Glass kieruje do Prometeusza wezwanie, aby zaprzestał wykradania niebieskiego ognia, ponieważ osiągnął skalę grzechu, mogącą wywołać zemstę bogów. U spodu tego szukania ratunku w rezygnacji z władzy człowieka nad przyrodą tkwią dwa motywy.

Pierwszym jest wyraźnie estetyzujący pogląd na życie i oderwanie mędrca, zamkniętego w wieży z kości słoniowej, od rzeczywistego obrazu sytuacji. Wydaje się, że Morgan podziela zdanie Pascala, iż byłoby o wiele mniej nieszczęść na świecie, gdyby ludzie siedzieli spokojnie w swoich pokojach, oddając się kontemplacji. Niebezpieczeństwa takiego stanowiska od razu rzucają się w oczy. Wielkie rewolucje wynikają ze zmian w sposobie myślenia, z powstawania nowych sądów, rodzących się właśnie w pracowniach myślicieli.

Nawet jednak ograniczenie treści uwagi Pascala do ,,czystej kontemplacji'', pośrednio zakłada istnienie kogoś, kto buduje klasztory ,,bezgrzesznej działalności'' i dostarcza ich mieszkańcom prostych konieczności życiowych. Możliwy jest zakon kontemplacyjny, ale nie kontemplacyjna ludzkość. Wśród zwykłych zaś śmiertelników, pochłoniętych zabiegami, aby — zgodnie ze słowami modlitwy uczonej przez Chrystusa — ,,zapewnić sobie dzisiaj chleb jutrzejszy'', pozostanie sprawa różnic w łatwości jego zdobycia. Tylko ich zmniejszenie, bez drastycznego zubożenia warstwy stale przechowującej i rozwijającej dziedzictwo kulturalne, umniejsza prawdopodobieństwo przewrotu. Wynalazek Terriforda, podobnie jak i perspektywa opanowania energii atomowej, posiada rzadką właściwość zmniejszenia ludzkiego trudu.

Drugim motywem zastrzeżeń Morgana jest lęk wyłamania się z kręgu tradycji biblijnej, z którą wiąże się klątwa: ,,będziesz pracował na chleb swój w pocie czoła swego''. Oba czynniki łączy swoisty egoizm ,,doskonałego faryzeusza'', który wobec celnika potrafi tylko odczuwać zadowolenie, że nie jest do niego podobny. Wynalazek Terriforda otwiera niezwykłe możliwości oddziaływania na sytuację po drugiej stronie świata, ale

w trzech aktach sztuki ani jedno słowo nie zdradza zainteresowania resztą, żyjącą tam, gdzie trwa „płacz i zgrzytanie zębów”. Kultura, której bezpieczeństwo ma zapewnić stałe pogotowie aparatów Terriforda, a której niezmienny kształt ma gwarantować jednoczesna rezygnacja z ich pokojowych możliwości, jest kulturą bezpłodną, nie szukającą ekspansji, pozbawioną poczucia misji i ambicji nawracania. Najlepiej przystawałaby do niej nazwa „chrześcijaństwa egoizmu”.

Prawdopodobnie źródłem obojętności wobec problemu rozszerzenia tej kultury, której autor przyznaje tak absolutną wartość, jest antyhumanistyczny brak wiary w człowieka. Postawienie olbrzymiej części Europy jak gdyby poza kręgiem właściwej ludzkości, dobrze idzie w parze z przyjmowaniem a priori, że obdarzenie człowieka warunkami materialnymi, przypominającymi biblijny raj, może doprowadzić wyłącznie do obniżenia skali wartości, tworzonych wśród zmagania się ludzi z ciężarem istnienia. Współczesna epoka może tłumaczyć skłonność do podobnego pesymizmu, ale Morgan przeoczył, że większość współczesnych problemów wiąże się ze stosunkiem człowieka do człowieka, a nie z relacją między człowiekiem a przyrodą. Co więcej, uniezależnianie człowieka od przyrody ściera samo ostrze walki między ludźmi.

Przeciw temu twierdzeniu Morgan wysunąłby argument prawie teologicznej natury, iż człowiek nie został stworzony jako istota mająca rozporządzać tak wielką władzą. Wolno na to odpowiedzieć — w sferze teologicznej — iż Opatrzność udziela ludzkości swych darów, a będąc wszechwiedzącą, przewidziała, że ludzkość kiedyś je otrzyma. Pozostaje problem obrócenia ich ku złu lub ku dobru, w tym zaś zakresie decydującym czynnikiem będzie zdolność twórcza kultury towarzyszącej wiekowi atomowemu. Jednakże autor *The Burning Glass* nie sięga poza wyobrażenie zachowania status quo. Prometeusz-Terriford zrzeka się powiększania władzy nad siłami przyrody gestem, któremu autor przypisuje cechy chrześcijańskiej pokory. W istocie sprawy jest to Prometeusz-konserwatysta, Prometeusz wyspiarskiego ideału izolacjonizmu, wpatrzony w dorobek pokoleń, w ład wytworzony stuleciami pokoju, a zapominający i o głodzie w Indiach i o tych, co pragnąc życia w warunkach Terriforda, muszą znosić niewolę. Jego moralne skrupuły, jego uparte „nihil novi” jest w rzeczywistości moralną impotencją wobec wielkości problemu. Pojawienie się podobnego symbolu, poświęcenie przez wybitnego autora sztuki dojrzałej i przemyślanej idealizacji „sabotażu” Prometeusza jest oznaką istnienia wewnętrznej sprzeczności w owej kulturze, którą Morgan wyniósł tak wysoko.

III

Krzysztof Terriford kieruje stacją eksperymentalną na południu Anglii, kontynuując badania swego ojca nad wpływem górnych warstw atmosferycznych na zmiany pogody. Według

pewnej hipotezy polaryzacja cząstek ionosfery może dać skutki podobne do działania olbrzymiej soczewki, skupiającej promienie słoneczne i rzucającej je na wybrane miejsce. Mniejsza o szczegóły techniczne i wyjaśnianie elektromagnetycznych ,,fal Terriforda''; idzie po prostu o doprowadzenie do regulacji naświetlania słonecznego i kontroli opadów atmosferycznych.

Nie trzeba podkreślać doniosłości takiego odkrycia dla obfitego zbioru płodów rolnych. Z początku nikomu nie przyszło do głowy zastanawiać się, czy uzyskanie pełnego dysponowania pogodą i regulacją klimatu jest rzeczywiście zbawienne. Etyka uczonego polegała na określaniu prawdy naukowej i przekazywaniu jej społeczeństwu; prawdopodobnie młody Terriford nie próbowałby uzyskać innego stosunku do tych tradycyjnych obowiązków wiedzy, gdyby nieoczekiwany skok naprzód w jego poszukiwaniach nie dał mu w rękę za jednym zamachem i panowania nad pogodą i dysponowania jak gdyby niebieskim miotaczem płomieni. Odpowiednie bowiem nastawienie aparatów przynosi ocieplenie wybranemu obszarowi ziemi, ale już użycie następnej formuły zmienia wszystko w popiół.

Porwanie Terriforda przez wywiad wrogiego mocarstwa stwarza niebezpieczeństwo poznania tajemnicy po przeciwnej stronie linii podziału świata. Jest to sytuacja tak dalece zagrażająca pozycji Zachodu, że Anglia i Ameryka posuwają się do groźby wojny. Pokazowe użycie aparatu Nr 6, wypalenie kręgu lasu na Syberii i doprowadzenie do stanu wrzenia wód azjatyckiego jeziora okazało się dostatecznym środkiem presji; Terriford wraca do domu, lecz właśnie tu autor dostarczył nieprzewidzianego przez siebie morału sztuki.

Jakże niesłychanie łatwo zasada użycia ,,płomienistego szkła'', jedynie w celach osłonięcia zachodniej cywilizacji, przeradza się w środek popierający ultimatum, zgodnie z regułą, że atak jest najlepszą formą obrony! Wystarczyło dalekie prawopodobieństwo, że przeciwnik stanie się zdolny do agresji, co przecież jeszcze nie oznacza że agresja dojdzie do skutku, aby premier przyjął tezę ,,my musimy uderzyć pierwsi''. Podkreśla to zasadniczą różnicę między dwiema potęgami, różnicę między polityką ekspansji, a polityką obrony linii podziału. Posiadanie decydującego środka interwencji przez Zachód nie jest w sztuce Morgana automatycznym zagrożeniem Wschodu, natomiast zniknięcie Terriforda przy udziale wschodnich agentów od razu stwarza na Zachodzie stan śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Nad chrześcijańską postawą bojaźni bożej Terriforda zjawia się poważny znak zapytania. Wynalazca bowiem znajduje moralne uzasadnienie utrzymania stanu rzeczy, w jakim zaledwie część ludzi odżywia się dostatecznie; nie wywołuje w nim moralnego niepokoju fakt niewolnictwa milionów. Skuteczność ultimatum w sprawie Terriforda jest właściwą miarą skuteczności ewentualnej presji w sprawie Europy Środkowej i Wschodniej. Ani jednak w sumieniu młodego uczonego, ani w sumieniu sędziwego premiera nie odzywa się głos związku z niedawnym ob-

szarem zachodniej kultury. Chrześcijański świat Morgana jest jedynie sferą anglosaskiej dominacji, tak samo jak piękny świat ładu i starej kultury. *The Burning Glass* jest wyłącznie światem kulturalnej świadomości wyższych warstw społeczeństwa. Sumienie Terriforda czuje odpowiedzialność za jego losy i godzi ją z doskonałą obojętnością na los krajów, do których nie dostaje się wiz turystycznych.

IV

Aby ułatwić sobie opowiedzenie tej paraboli moralnej Morgan wprowadził do akcji pewien sztuczny element. Bez tego fałszu sztuka musiałaby dojść do prawdziwego konfliktu wartości, czyli do starcia ideologii Wschodu i Zachodu. Autor starannie unika podobnej konfrontacji, która od razu ujawniłaby jego ograniczenie międzynarodowości chrześcijaństwa ukrytą barierą narodową i społeczną.

Pracujący w Anglii ekonomista, sprawca porwania Terriforda, jest figurą z sensacyjnego romansu, zwykłym płatnym agentem, co z góry zabezpiecza przed przeciwstawieniem Terrifordowi innego sposobu myślenia, innej bezinteresowności działania. Samo zaś odkrycie ,,płomienistego szkła'' jest tak daleko wynikiem szczęśliwego trafu, że usuwa to praktyczne prawdopodobieństwo osiągnięcia tej samej formuły przez przeciwników demokracji. Przy równych szansach zjawiłoby się pytanie, jakie środki mogą utrzymać stan równowagi lub też przechylić szalę na korzyść zachodniego świata. W takiej sytuacji, o wiele bliższej rzeczywistego położenia, pokojowe zastosowanie zdobyczy Terriforda byłoby nakazem chwili, zbawczym środkiem rozwiązania trudności gospodarczych i społecznych, wobec którego zbladłyby rezultaty wszelakich pięciolatek. Ale wówczas Terriford nie mógłby się popisać gestem wyrzeczenia, dokonywanym przez człowieka wolnego i sytego.

Pozornie wzniosły program etyczny Morgana jest zatem programem pojawiającym się jedynie w warunkach fikcji. Gdyby kultura zachodnia uwierzyła — w rzeczywistych warunkach — w egzorcyzmowany w *The Burning Glass* grzech pychy, w zasadę pokory wiedzy u elity, równoczesną z zasadą niedostatku w masach, byłby to jej koniec. Powstaje jednak pytanie, czemu tak zawsze oryginalnie myślący i subtelny autor wybrał fikcję, fałszującą istotę problemu. Odpowiedź musi leżeć w jego izolacjonizmie, w dziwnym poczuciu własności wobec wyznawanej kultury. Komunizm zawsze pamięta o innych, którym niesie swoją specyficzną ewangelię, natomiast o Morganie — na podstawie *The Burning Glass* — chciałoby się powiedzieć, że nie on należy do kultury zachodniej, lecz ona do niego. Tylko jaskrawa fikcja mogła uwolnić autora i głównego bohatera sztuki od odpowiedzialności za mniej wyspiarską resztę narodów, mniej oczytaną w Szekspirze resztę społeczeństwa. Demaskującego

zdania dostarcza wykrzyknik jednej z postaci : — ,,Chciałabym żyć i umrzeć przed tysiącem lat ! Dziś wydaje się, że utraciliśmy nawet możność wyboru między dobrem a złem''. To pragnienie niepodejmowania odpowiedzialności wyjaśnia sekret sabotażu Prometeusza. Powołano się na gniew bogów, na naruszenie odwiecznej równowagi między człowiekiem a naturą, by ominąć proste stwierdzenia :

Pierwsze : Terriford grzebie doniosłe odkrycie, ponieważ ani sumienie ani wyobraźnia nie dyktują mu wizji zastosowania zdobyczy nauki. Jest to Prometeusz kochający siebie i swój wąski krąg tytanów o wiele bardziej od ludzi, nieznających jeszcze światła i ognia. Drugie : prawdziwym dylematem współczesności jest fakt, że każde wielkie odkrycie, otwierające drogę pokojowych przemian, równocześnie stwarza możliwości masowego zniszczenia. Byłoby zrozumiałe, gdyby Morgan snuł wizję zakonu uczonych, tak podporządkowanych jednej prawdzie, że zamknęliby drogę technicznego postępu. Ale nawet podobnie naiwna fantazja nie uchroniłaby od wojen i rewolucji wywoływanych, jak chłopska zbrodnia, coraz liczniejszymi spadkobiercami tego samego kawałka ziemi.

Pierwsza bomba atomowa powstała na Zachodzie. Na Zachodzie zjawia się sztuka, wyrzekająca się panowania człowieka nad przyrodą. Na Zachodzie wybuchł krzyk sumienia po wybuchu bomby wodorowej. Nie było podobnej reakcji, kiedy Malenkow oznajmił 8 sierpnia 1953 roku eksplozję bomby wodorowej w Sowietach. Według znanego twierdzenia, przewaga broni atomowej uchroniła Europę Zachodnią bezpośrednio po wojnie przed pochodem sowieckiej ,,armii wyzwolenia''. A gdyby było odwrotnie ? Gdyby niemieccy specjaliści wyprzedzili amerykańskie laboratoria i dali pierwsze bomby atomowe Sowietom? Czy sowiecki Prometeusz zdecydowałby się na akt szlachetnego w pobudkach sabotażu, czy też tak bardzo wierzyłby w słuszność swojej sprawy, że oba narzędzia — i szczęścia w pokoju i szczęścia w wojnie — oddałby kulturze, w której żyje i w którą zapewne także wierzy ?

The Burning Glass w swej ideologii kwietyzmu, w swej postawie moralnej jest przecież usiłowaniem odwołania się do wiary. Odsłania zaś jej brak. Jest modlitwą małego serca. Stanowi apoteozę wzniosłego świata wybranych, głosi sztuczną tezę moralnej wyspy zabezpieczonej nadnaturalnymi środkami. Sztuka Morgana przypomina ideologię Kiplinga, oczyszczoną jednak z tego, co stanowiło jej historyczną siłę : z pojęcia ,,white man's burden — ciężaru białego człowieka''. Kipling oburzyłby się na tak nikłą, tak obnażającą swą słabość, pozostałość wiktoriańskiego imperializmu.

Zdzisław BRONCEL

Scylle i Charybdy ukraińskiej poezji *(Dok.)*

V

Najbardziej konsekwentnym kontynuatorem kijowskiego ,,neo-klasycyzmu'' jest niewątpliwie młodszy brat Zerowa, pisujący — jak już zaznaczyłem uprzednio — pod pseudonimem Mychajły Oresta. Urodzony w roku 1901, przeszedł (nieodłączny los ukraińskiego pisarza!) przez aresztowania, badania w N.K.W.D., więzienia i deportacje. Był zbyt młody, jako pisarz, w latach generalnej eksterminacji i to prawdopodobnie pozwoliło mu uratować się przed fatalnym końcem. Pierwszy jego zbiór wierszy, ,,Echa lat'', wyszedł we Lwowie pod okupacją niemiecką, ostatni, najdojrzalszy, ,,Gość i gospoda'', w roku 1952.

Jeśli w poprzednich zbiorach było jeszcze sporo werbalizmu, pustki, zatykanej bylejakimi słowami, tego, co u nas teoretycy awangardy piętnowali jako ,,automatyczne strofkarstwo'', ,,niekontrolowane liryczenie'', ,,tromtadratyzm tematyki'', ,,mechaniczność skojarzeń'', ostatnia książka stanowi (z minimalnymi wyjątkami) dowód całkowitej artystycznej samowiedzy i pełnego skarmonizowania przeżycia z jego poetyckim wyrazem.

Serce lipowym wita aromatem
zalana żółtem słońcem Fuggerstrasse.
Jak słodko być przez chwilę poza światem
i poza obcym, nieprzyjaznym czasem.

On płynie — gorycz wzbiera coraz częściej,
że tyle pustych miejsc przy stołach naszych.
I ciężka duma o straconym szczęściu
i szlak wygnańczy smutne oczy straszy.

Ani nas cieszą słynne w świecie miasta,
nie wzruszą się ich pięknem zmysły słabe
i serce jadem gorzkich słów przerasta :
Was frommt's, dergleichen viel gesehen haben?

Może, iż w czas ponury pożegnania
nikt nas na drogę nie pobłogosławił,
dusza pod męki popiołem się słania,
nie wierząc nawet, że ją przyszłość zbawi.

Lecz od udręki wolny dzisiaj jestem,
przez chwilę poza obcym, zimnym czasem.
I w serce lipy wieją swym szelestem
i tonie w słońcu cicha Fuggerstrasse.

Raz jeszcze w myśli młodość ma przemija —
o, tak, umarła — lecz dla mnie jedynie;
i jest obecna — wszystkich i niczyja...
i jasną strugą przez powietrze płynie.

Tak, jest obecna. W jasnych oczach świeci,
w beztroskich, ufnych oczach skryć się umie,
w dzwoniących głosach rozbawionych dzieci,
w liściastej gęstwie i w kasztanów szumie.

Radosny tułacz, wiem, że nie ominął
mej gorzkiej drogi Boży wiatr łaskawy
aż tam w obłokach, co na skrzydłach płyną
w wysoki błękit nietutejszej sławy.

Elegijny nastrój nieodłączny jest od liryki Oresta. Ale jest to elegijność przyrodzona, którą los bezdomnego wygnańca przesyca niekiedy większą goryczą, czy nawet protestem, ale jej w żadnym wypadku nie determinuje. W parze z nią idzie filozoficzna zaduma nad światem i sensem istnienia; wszechobecność przemijania ciąży nad tą liryką nieustannie, ale jej nie przytłacza, ani nie budzi w niej buntu czy lęku. Poeta idzie więdnącym zagajnikiem, słyszy szelest opadających liści, oddycha pełnią dojrzałości, która za chwilę ulegnie gniciu, i na korze spotkanych drzew zaciosuje swoje wędrowne znaki.

Jeszcze świąteczny zieleni się wieniec
i w świetle liście kasztanów i cisów,
lecz spójrz: powoli zaczyna czerwienieć
ukryty w ciszy owoc berberysu.

Co rok odchodzi lato i corocznie
czujemy z bólem tych odejść ukłucie.
Tak rzadko serce w pełnym szczęściu spocznie,
tak mało dla nas radości i uciech.

Bogactwo duszy! Radosne marzenie,
którym na zawsze dobry los nas darzy!
...Nagle na święcie światła i zieleni
stajemy smutni, pobladli i szarzy.

Mądre pogodzenie się z losem sprowadza na panteistyczne wiersze Oresta aurę łagodnego spokoju i równowagi: nie ma tu dysonansów, gwałtownych kontrastów, wyrywającego się ze ściśniętych ust krzyku, jaskrawych kolorów, za to mamy przed sobą wielką przezroczystość wysokiego nieba i czyste chłodne powietrze całkowitego uspokojenia. Podchwyciła tę cechę krytyka literacka, która w osobie profesora Dierżawina proponowała dla tomu Oresta tytuł ,,Przezroczystość'' (w polszczyźnie brzmi to raczej sztucznie, ukraińska ,,Prozorist'' jest znacznie lepsza).

Minęły dni słoneczne, kiedy przyszedł
czas, który w ustach ufność pragnień budził.
W obwarowanej przeczuciami ciszy
trwa smutnooki twych osiągnięć udział.

Tyś nieodrodnym synem listopada,
ze skąpstwa jego rozsądnie korzystaj...
Oto z chłodnących wierzchołków opada
spiżowych płodów prawda wiekuista.

Z tradycyjnym pojęciem klasycyzmu łączy się dyscyplina myślowa i formalna, oszczędność i jasność słowa, celna a daleka od rozrzutności metafora, nieomylna koordynacja wszystkich środków technicznych. Orest posiada wszystkie te cechy w identycznej proporcji. Ponieważ jednak toczący się w ukraińskiej prasie literackiej spór między obrońcami ,,klasycyzmu'' z Dierżawinym na czele, a zwolennikami stylu ,,organicznie-narodowego'' (tu ukłon należy się profesorowi Szerechowi), doprowadza bardzo często do zajmowania skrajnych stanowisk, utrudniających, lub wręcz paraliżujących wszelki obiektywizm, doszło do tego, że jedni przesadzają w pozytywnej ocenie Oresta, inni zaś po prostu odmawiają mu miana poety, traktując go jako epigona, ,,małpującego'' innych, czy też zgoła (jeśli wierzyć Todosiowi Ośmaczce) jako ,,plagiatora'' i ,,złodzieja''. Ale wraz z tym wkraczamy w dziedzinę jednego z największych nieporozumień w ukraińskim życiu literackim.

Na marginesie muszę podzielić się z czytelnikami pewną wątpliwością. Mam na myśli nie tyle czytelnika polskiego, co ukraińskiego, co o tyle ma sens i usprawiedliwienie, że ,,Kultura'' dociera i do Ukraińców. Ogłosiłem w swoim czasie w tejże ,,Kulturze'' szkic o ukraińskiej literaturze emigracyjnej. Zapewne, było tam sporo luk czy pomyłek, może były i niesprawiedliwe oceny, ale pisałem go z całą dobrą wolą. Na moje nieszczęście szkic ten został w całości lub we fragmentach przedrukowany przez niektóre czasopisma ukraińskie. Mówię — na nieszczęście, bo w ten sposób wspomniany przed chwilą ,,pogromca'' Oresta, pan Todoś Ośmaczka, dowiedział się, że jego poematy nie znalazły u mnie uznania. Po czym zapałał świętym gniewem i na kilkuwierszową o sobie wzmiankę odpowiedział na dwudziestu szpaltach kanadyjskich ,,Nowych Dni'', niszcząc

mnie osobiście, moje wiersze, a ponadto dopatrując się w moim artykule tradycyjnej polskiej intrygi, boć, atakując jego. Ośmaczkę, atakuje się w ogóle najwyższe wartości kultury ukraińskiej. Todosiem zajmę się szczegółowiej przy innej okazji, bo mi dostarczył iście klinicznego przykładu pewnych ukrytych kompleksów patologicznych, i w charakterze żaby, rozpiętej na laboratoryjnym stole, może okazać się pożyteczny. Polemika literacka z nim byłaby natomiast o tyle bezprzedmiotowa, że — jak na razie — skrajne wypadki paranoi i schizofrenii nie są włączane do poetyki, zaś jegomościa, który sam o sobie pisze, że jest wyjątkowym poetą w światowej skali, tylko dlatego nie uznanym, iż go (eheu, eheu!!!) nie tłumaczono na obce języki, najlepiej polecić miłosierdziu Bożemu. Ale i ja przy tej okazji poproszę o litość. Czy zadanie pisarza, który uparł się od czasu do czasu informować polską czytającą publiczność o literaturze ukraińskiej, polega na chwaleniu wszystkiego w czambuł? Mogę się pomylić w tej czy innej ocenie — nie ja pierwszy i nie ostatni. Ale czy naprawdę ujemna opinia o tym czy innym ukraińskim poecie powinna, jak w artykule Ośmaczki, wydrukowanym w ,,Nowych Dniach'', utożsamiać się z nowym zamachem ,,lackoho woroha'' na niepodległy Kijów? Zamachem tym nikczemniejszym, że obejmującym i Ośmaczkę, siedzącego w charakterze narodowej relikwii na szczycie Złotej Bramy! A ja anim się spodziewał, że pisząc o nim, popełniam świętokradztwo i bluźnierstwo!

VI

Zaraz po wojnie powstała w Niemczech, gdzie skupiała się podówczas lwia część ukraińskich pisarzy, organizacja literacko-artystyczna pod nazwą MUR. Jej zadania określono w następujący sposób: ,,MUR powinien stać się ideowo-organizacyjną federacją wszystkich literackich kierunków'', z tym, że mogą one istnieć obok siebie, a nawet rywalizować i przeciwstawiać się sobie nawzajem. Rychło przecież powstały komplikacje i konflikty, które z biegiem czasu doprowadziły do rozłamów, a wreszcie i do całkowitej likwidacji MUR-u.

W zaciętych polemikach, związanych z tym okresem, a sporadycznie rozwlekanych i na dzień dzisiejszy, zbyt często spotykano się na marginesach zagadnienia, a — jak to często bywa w takich wypadkach — momenty polityczne a nawet osobiste grały za dużą rolę. Na niepowodzeniu zaciążył przede wszystkim nadmierny pośpiech. Upierano się, by z czwartku na poniedziałek określić jakiś ogólny i — jakżeby nie! — wszystkich obowiązujący styl literacki, wynikający ,,organicznie'' z psychiki i kultury narodowej. Szalały najrozmaitsze interpretacje; pozwy, wyroki, kondemnaty, banicje, manifesty i uniwersały mnożyły się, jak grzyby po deszczu. Styl ,,organiczny'' stał się i ,,wańką-wstańką'' w rękach prestidigitatorów i czekiem bez pokrycia, którym legitymowali się przysięgli grafomani, i czapką-niewid-

ką na rozczochranej głowie wciąż jeszcze powracającego widma parafialnej pseudo-ludowości. W imieniu tegoż nieistniejącego stylu można było udowodnić właściwie wszystko: potępić neoklasyków i postawić na piedestale Ośmaczkę i Barkę, albo właśnie na odwrót — stawiać neoklasyków za wzór, odrzucając Barkę i Bahrianego; przekreślać współczesną literaturę albo ogłaszać ją za równą literaturze Zachodu, a nawet proponować surrealizm jako najwłaściwszy wyraz epoki, choć gdzie indziej przestał on w ogóle cokolwiek ,,wyrażać". Jak powiedziałem, cały ten mętlik wynikł z nadmiernego pośpiechu; w rozgorączkowaniu zapominano, że prawdziwy styl narodowy nie tworzy się w referatach i teoretycznych dyskusjach, a przede wszystkim, że odgrywa on rolę mianownika, a w żadnym wypadku nie może być uzurpatorskim licznikiem, ani nawet sumą wszystkich istniejących liczników.

Główna batalia między regimentarzem ,,narodowych organiczników", Jurijem Szerechem, i marszałkiem ,,europeizantów", Włodzimierzem Dierżawinym, skończyła się bez przelewu krwi. Miecze skrzyżowały się raz i drugi, a następnie zawisły w powietrzu. A właściwie mówiąc, nie było o co wyruszać do boju. Bo jeśli Szerech oświadczał przy jakiejś okazji, że ,,w literaturze ukraińskiej należy kultywować wszystkie style i wszystkie rodzaje", zaś jego przeciwnik z całą słusznością odnawiał stary postulat Jowszana — ,,trzeba stanąć na stanowisku wyłącznie estetycznym i przykładać do literatury jej własną miarę", zaś kiedy indziej podkreślał oczywistą prawdę, że ,,w narodowej literaturze w s z y s t k i e style są narodowe" — to gdzie właściwie była różnica, domagająca się aż wyciągania szabel z pochew? Otóż różnice były i to poważne — w ocenie poszczególnych zjawisk literackich. Tu dochodzimy do sedna rzeczy: kryteria artystyczne były niewspółmierne i takimi w krytyce emigracyjnej pozostały po dziś dzień. Fakt, że bajkopisarstwo Manyły w o g ó l e mogło wzbudzać jakieś dyskusje literackie, stanowi tego dowód najjaskrawszy.

Neoklasycyzm był literaturze ukraińskiej nie tylko potrzebny ale i k o n i e c z n y. Oczywista, krytyk, który każde zjawisko chce podciągać siłą swego autorytetu pod klasycystyczne kryteria, popełnia błąd i wyrządza szkodę. W wypadku Oresta klasycyzm jest zrozumiały sam przez się, bo wyraża autentyczną postawę autora; w wielu innych wypadkach staje się wynikiem pozy, mimikry, ulegania estetycznemu terrorowi. Z drugiej strony, anatemy rzucane z z a s a d y na kontynuatorów ,,chwylowizmu (*) grzeszą taką samą jednostronnością. Każda

(*) ,,Chwylowizm" łączy się z nazwiskiem wybitnego prozaika ukraińskiego, Mykoły Chwylowego, który pod naciskiem żądań partyjnych popełnił samobójstwo na początku trzydziestych lat. Wiele w jego koncepcjach ideowo-literackich tłumaczy się okolicznościami, w jakich powstawały; to i owo nie utraciło aktualnej wartości i po dziś dzień. Na temat Chwylowego i ,,chwylowizmu" pisano już parokrotnie na łamach ,,Kultury".

tradycja literacka ma prawo obywatelstwa, chodzi tylko o to, czy się ją podejmuje w sposób twórczy, czy epigoński.

Przykład : Wasyl Barka stanął szeregiem swoich wcześniejszych utworów na linii Tyczyny i wyglądało na to, że ją będzie kontynuować właśnie twórczo. Jeśli stało się inaczej, winy nie ponosi zasada : zawiniło wykonanie. Nie co, ale jak. Ciekawe — Bażan nie znalazł kontynuatorów. A szkoda! — w jego liryce pierwszego okresu otwiera się wiele perspektyw, prowadzących ku nie byle jakim horyzontom. Takich ścieżek, zaledwie wydeptanych u swoich początków, jest znacznie więcej. Zatrzymam się na jednej z nich. Chodzi o coś bardzo ważnego, bo ni mniej ni więcej, tylko o barok ukraiński.

Jego ciężar gatunkowy odczuwa się we współczesnej poezji ukraińskiej jedynie sporadycznie. Silnie dochodził do głosu u Małaniuka z okresu ,,Ziemi i żelaza''. Gdyby Antonycz nie zmarł tak młodo, zapewne po przezwyciężeniu zrozumiałego w tym wieku rozwichrzonego imażynizmu doszedłby do baroku. Tkwi w nim bardziej całym swym temperamentem artystycznym niż świadomością Jurij Kosacz. U młodych i najmłodszych świeci raczej nieobecnością. U niektórych przybiera formy parodii.

Ta nieobecność — czy też obecność fragmentaryczna — baroku we współczesnej poezji ukraińskiej wydawała mi się zawsze zjawiskiem paradoksalnym. Nie będę zastanawiać się nad powodami, bo zresztą i niedostateczna znajomość przedmiotu na to mi nie pozwala, wystarczy wskazać na fakt. Bo przecież i merytorycznie i historycznie barok ukraiński aż prosi się o świadome podjęcie i twórczą kontynuację... Bliższe przyjrzenie się literaturze hiszpańskiej i polskiej w całości wydaje się potwierdzać taką opinię. Pozornie nie ma to nic do rzeczy, ale tylko pozornie. Literackie studia porównawcze dają niekiedy najlepszy klucz do wielu zagadnień — i tak właśnie jest w tym wypadku. Barok hiszpański był logiczną konsekwencją długotrwałego obcowania z kulturą arabską (nie zapominam i o innych źródłach, ale nie obchodzą nas one w tej chwili); barok polski musiał przyjść i przyszedł w najbujniejszym wydaniu na wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej, gdzie spadek grecko-bizantyński poddany był smalącym wichrom eurazjatyckim. Gdy Juliusz Słowacki w ,,Beniowskim'' i dramatach doby mistycznej włączył do swej twórczości motywy ukraińskie, natychmiast podjął całe bogactwo tradycji barokowej, a to, że ,,Principe Constante'' Calderona de la Barca spotkał się wówczas z konfederatami barskimi, z Sawą i Wernyhorą, a także — podkreślam — z Semenką ze ,,Snu srebrnego'' Salomei'', stanowi dowód nieomylnego instynktu artystycznego u krzemienieckiego poety, a przede wszystkim właściwego wyczucia stylu. Oczywista, Słowacki, przenosząc barok w dobę romantyzmu, komentował go po swojemu, dawał jego nową, współczesną wersję, ale stylistycznej integralności to nie naruszyło w najmniejszym stopniu. I ten właśnie styl decyduje bardziej niż cokolwiek o jego uniwersaliźmie ar-

tystycznym, co zgodnie podkreślają najwybitniejsi slawiści współcześni, z profesorem Backvisem na czele (*).

Rzecz prosta, nie tematyka zadecydowała u autora ,,Beniowskiego''. Narzuciła się ona spontanicznie, ale zadecydować nie mogła. Tematykę ukraińską znajdujemy już w młodzieńczych utworach Słowackiego, ale tylko jako czystą anegdotę. ,,Żmija'' mógł wyjść spod pióra któregokolwiek z licznych w ówczesnej Europie bajronistów i to niezależnie od jego narodowości. Wschodnia polskość i ukraińskość Słowackiego — pamiętam o wszystkich możliwych zastrzeżeniach — objawiły się w całej pełni w zetknięciu z barokiem. Sądzę, że właśnie tak należy rozumieć ,,organiczność'' stylu ,,narodowego''.

VII

Powiedziałem, że we współczesnej poezji ukraińskiej barok występuje raczej sporadycznie. Wśród wymienionych przykładów zabrakło nazwiska Bażana. Skorygujmy ten brak. Zaryzykuję twierdzenie, że gdyby Kompartia nie wykończyła Bażana jako twórcy, dałby on swoistą wersję ukraińskiego baroku. Co najmniej, posiadał wszystkie dane ku temu. Bujna wyobraźnia, uchwycona w rygor architektoniczny, bogactwo szczegółów, podporządkowanych idei całości, skłonność do artystycznego brutalizowania, świadoma deformacja, zatrzymująca się na granicy karykatury czy groteski — toż to typowe elementy barokowego stylu; wszystkie te elementy znajdziemy w najlepszych utworach Bażana (**). I czyż jego zamiłowanie do orientalizmu (Bażan dał świetne przekłady z poezji gruzińskiej, perskiej, tiurskiej i uzbeckiej) nie stanowi jeszcze jednego wymownego dowodu?! Zdaje się, że to niemiecki historyk, Werner Weisbach, pierwszy określił barok jako ,,sztukę kontrreformacji''. Chciał przez to przede wszystkim podkreślić jego charakter religijny, pojęty nie jako z góry powzięte założenie, ale jako wynik klimatu psychicznego i duchowego.

Otóż dla mnie barok jest czymś więcej, niż ,,sztuką kontrreformacji''. Jest sztuką uniwersalizmu chrześcijańskiego w znacznie większym stopniu, niż jakakolwiek inna, z gotykiem włącznie, nie wspominając już pseudo-gotyku kirch protestanckich. Proszę zwrócić uwagę z jaką łatwością, w sposób najzupełniej naturalny mazepińska Ukraina przyjęła architekturę baro-

(*) Myślę, że kiedyś, gdy czas i odzyskana niepodległość złagodzi kompleksy antypolskie, twórczość Słowackiego owego okresu doczeka się solidnych studiów ze strony ukraińskiej. Jak na razie trzeba się zadowolić krótkimi wzmiankami Jewhena Małaniuka i Światosława Hordyńskiego (w czasopiśmie ,,Kijów'').

(**) Żałuję, że nie mam pod ręką moich przedwojennych przekładów ,,Ghetta w Humaniu'', a zwłaszcza ,,Nocy Hoffmana''. Zacytowane uprzednio poezje Bażana nie ilustrują w dostatecznym stopniu mojej o nim opinii.

kową. Jezuickie kolegiaty niczym nie rażą na tle wołyńskich Ołyk czy miasteczek białoruskich. I nie o pejzaż tu chodzi, bo pejzaż nie decyduje o wszystkim. Ostatecznie pejzaż niektórych zakątków Wołynia i — powiedzmy — Ile-de-France nie różni się tak bardzo. Rzecz w tym, że uniwersalizm barokowy podawał dłoń i bizantyzmowi i innym stylom orientalnym (*). U jego fundamentów tkwiła ta sama idea, która, choć później wypaczona, doprowadziła jednak do Unii Florenckiej i Brzeskiej. W zestawieniu z nią włoski renesans i jeszcze bardziej pseudo-klasycyzm Oświecenia — to po prostu zachodnio-europejskie partykularyzmy.

A teraz — proszę się nie śmiać — wysunę „rewolucyjną" tezę, że poezja typu dawnego Bażana, zatem barokowa i n p o t e n t i a, nie tylko nie zaprzecza poezji typu kijowskiego „neo-klasycyzmu", ale ją organicznie uzupełnia. Renesans w swojej czystej treści stanowił całkowicie sztuczne przedłużenie starożytności, bowiem przeżytego czasu cofnąć nie można; barok — to autentyczna klasyczność chrześcijańska. W tym więc sensie spod kolumn Partenonu jest znacznie bliżej do pierwszego lepszego jezuickiego kościoła, niż do włoskiej Santa Maria Maggiore. W barokowym Baturynie szkolna łacina i greka hetmana Iwana Mazepy czuły się u siebie w domu. I analogicznie — między zimnymi sonetami Zerowa i wybuchową liryką młodego Bażana istnieje bliższy i ściślejszy związek, niż to się wydaje wielu powierzchownym obserwatorom. Ale całe zagadnienie wymagałoby czegoś więcej od kilku luźnych uwag na marginesie i n f o r m a c y j n e g o szkicu.

VIII

Temat narodowy w jego patriotyczno-politycznym aspekcie panuje w całej poezji emigracyjnej. Zjawisko dobrze zrozumiałe u każdej emigracji, ale nie zawsze uzasadnione artystycznie. Podobnie jak wielu poetów przyjmuje zdeterminowany styl, zamiast dopracowywać się stylu własnego, tak prawie każdy z nich (wyjątki należą do białych kruków) składa dań narodowej sprawie. Wszyscy chcą wieszczować, choć nie każdego na to stać. Z pomocą przychodzi sztanca, gotowy odlew. Chór wygląda pokaźnie, ale wielka poezja nie ma nic wspólnego ze zbiorowymi popisami wokalnymi. Od razu też poznać, czy ktoś śpiewa „sobie a Muzom" (ową Muzą może przecież być z pełnym powodzeniem Nike Samotracka klęski i nadziei), czy też pilnie śledzi porusze-

---

(*) Podczas moich młodzieńczych wędrówek kajakiem po Polesiu trafiłem w jakiejś zapadłej wiosce (niestety, nazwa wyleciała mi z głowy) na malowidło ścienne w miejscowej cerkiewce, przedstawiające Sąd Ostateczny. Prymitywny malarz dał w granicach techniki bizantyjskiej typowo barokowy obraz. Wiem, że w starych cerkwiach na Podolu było wiele malowideł podobnego typu.

nia batuty dyrygenta. Podobnie, na innym terenie, nie trudno zorientować się, czy ktoś pisze sonety, bo je pisywali „neoklasycy", czy też dla tego, że najpełniej wypowiada się za ich pośrednictwem.

Ale tonacji głosu, a przede wszystkim szczerości jego brzmienia jeszcze nikt nie podrobił. Z punktu widzenia artystycznego nie ważne jest, jakim celom służy „propagitka": usprawnieniu stachanowskiej rywalizacji, czy chwale udręczonej ojczyzny. W jednym i drugim wypadku mamy do czynienia z tandetą, która nie ma najmniejszych szans przetrwania. Niepodrabianie narodowa — niech będzie i polityczna! — tematyka u Małaniuka, Olżycza, Telehy brzmiała naturalnie, a ponadto zawsze miała swój własny, indywidualny wydźwięk. Autentyczność katastrofizmu tegoż Małaniuka, czy nieco później Hordyńskiego nie podlega najmniejszej wątpliwości, jak — znowu inny aspekt — nie podlega żadnym zastrzeżeniom przyrodzony klasycyzm Oresta.

Zresztą los narodowy, postawa wobec niego nie musi szukać natychmiastowego wyrazu w plakacie, manifeście; może być równie dobrze — albo lepiej — nagrana na samotny flet, jak na dętą orkiestrę.

Zraniony dzień odchylił skroń na zachód,
jak kniaź schyliwszy tarczę swą czerwoną.
Trysnęły krwi rubiny ponad dachy
i wody stawu od czerwieni płoną.
Wiatr jak westchnienie ciszy i żałoby,
kadzidłem dymi jesień. O, jak dobrze!
Wieczór na oczy zsuwa ciemny kłobuk
i smutny odprawuje obrzęd.

A harc był huczny! Grzmiała przestrzeń sina.
Mój Boże! Dźwięczną słyszę surmę...
Niech i ja, gdy przyjdzie ma godzina,
z równą radością umrę.

Ten drobny wiersz Darahana, jakże oszczędny w słowach, a jak nabrzmiały od treści, wiersz, który na pierwszy rzut oka może wydać się zwykłą liryczną impresją, więcej mówi o postawie pokolenia i jego tragedii, niż niejeden opasły tom, deklinujący na wszystkie sposoby słowo — Ukraina.

Jak się zdaje, poezja patriotyczna znalazła się w ostatnich latach w ślepej uliczce. Przypomnijmy w kilku słowach okres przedwojenny. Pod opiekuńczymi skrzydłami doncowskiego „Wistnyka" kohorta poetów propagowała woluntaryzm, który z jednej strony potrącał o Zaratustrę, z drugiej — kumał się — *avant la lettre* — z patetycznym egzystencjalizmem. „Tragiczny optymizm", przebudowa narodowej psychiki według „gotyckiego" czy „waregskiego" wzoru, przyjęcie jako jedynej rzeczywistości „okrutnej, wilczej epoki" — to były dominujące hasła. Łypa, Małaniuk, Mosendz, Olżycz stali w pierwszym sze-

regu, ale była to postawa szczera, niewymuszona psychicznie, więc dawała w wyniku autentyczną poezję. Stefanowycz uderzał w tony epokaliptyczne :

Cała w bogactwie zboża :
klątwa się z niego poczyna.
Tu sąd, zagłada i pożar —
Apokalipsy równina;

już czas, byś księgę otwarł
zbożem na czarnych kartach,
otwarta księga żywota,
krwawą czerwienią otwarta.

Apokaliptyczny pochód dziejów ponownie stratował Ukrainę. „Tragiczny optymizm'' zmełł się w kłach ,,wilczej epoki''. Łypa zginął w partyzantce, Olżycz i Teliha w hitlerowskich katowniach; Mosendz i Kłen umarli w skrajnej nędzy na emigracji. Ze starej gwardii pozostał na placu jeden Małaniuk. Charakteryzując jego ostatni tom, użyłem określenia — ,,wielkie uspokojenie''. Niekiedy przecież powojenne poezje autora ,,Pierścienia Polikratesa'' sprawiają wrażenie również zwątpienia i rezygnacji. Poetycko zawsze pięknej, ale — rezygnacji.

O, serce zbyt kruche! O, duszo przeklęta, z kamienia !
Czy widzisz , To świat wasz się kończy — i mrok już i zamęt.
Epoka odchodźi, wyroku swojego nie zmienia.
I gdzie wasz przytułek? I kto wam zostawił testament ?

To plucha jesieni rdzą zżera i barwy i nuty,
i znika już wszystko, rozpływa się wszystko z tumanem.
A tu barbarzyńca pozostał, w żelazo zakuty,
i ziemi synowie, porwani przez wichry w nieznane.

Tak epoka, którą poeta już znacznie wcześniej widział pod znakiem ,,ślepego Homera i ogłuchłego Beethovena'', nie uległa nasyceniu dymem pobojowisk i hukiem katastrof i przedłuża się w apokaliptycznej wizji niemal w nieskończoność.

Gdy zawiodła dawna postawa, gdy z krwawej burzy nie wynurzyła się ani oczekiwana ,,scytyjska Hellada'', ani obwarowany wareżskim żelazem nowy ,,stepowy Rzym'', gdy miniona, a wciąż odnawiająca się w bolesnym wspomnieniu tragedia zasypała wędrowne drogi popiołem gorzkich elegij, trzeba było zdobyć się na wysiłek tworzenia nowej wizji i ,,nowego humanizmu'' na miarę strasznych przeżyć i dopiero nadchodzących, kto wie, czy nie straszniejszych jeszcze wydarzeń.

To niełatwe, zwłaszcza w warunkach emigracyjnego życia zagadnienie łączy się bardzo ściśle z problemem literackich pokoleń.

IX

Wymieńmy najwybitniejszych żyjących poetów ukraińskich, którzy, przebywając na emigracji, zachowują swobodę działania i pisania. Małaniuk, Stefanowycz, Laturyńska — skrystalizowali się jako twórcy na długo przed wojną; można od nich oczekiwać nowych osiągnięć, trudno natomiast przypuszczać, aby osiągnięcia te stworzyły rewolucyjny etap na rozwojowej drodze ukraińskiej poezji. Nieco młodsi — Krawciw, Hordyńskyj — odzywają się niezwykle rzadko, a przy tym i u nich może być mowa, jak się zdaje, jedynie o doskonaleniu dobrze już opanowanego warsztatu. Mychajło Orest jest typowym przykładem poety-samotnika. Wszyscy oni — niektórzy dość dawno — przekroczyli pięćdziesiątkę (bodajże z wyjątkiem jednego Hordyńskiego). Stanowią pokolenie — w dość umownym tego słowa znaczeniu — całkowicie dojrzałe, które wyszło na emigrację z dostatecznym zasobem wiedzy i doświadczenia, aby zdobyć się na własną postawę i samoobronę.

Zupełnie inaczej wygląda sytuacja ,,młodych''. Ująłem przymiotnik m ł o d y w cudzysłów, bo na emigracji — nie tylko ukraińskiej — jest to pojęcie bardzo względne. Trzeba zdać sobie sprawę z tego, że np. u nas nazywa się młodymi pisarzy, którzy istotnie nimi byli w roku... 1939. Czas jak gdyby przystanął na miejscu; nie starzejemy się, choć tak już zestarzeliśmy się, bowiem czujemy instynktowny strach przed skonfrontowaniem naszego wieku z prawdziwymi osiągnięciami.

Nie zdziwmy się zatem, że ukraińska młodzież poetycka liczy sobie przeciętnie dobrze ponad trzydzieści lat. W lwiej części należą oni do generacji, która próbowała pierwszych kroków na Ukrainie Sowieckiej, w przeddzień drugiej wojny światowej. Karpenko-Krynycia, Ołeh Zujewskij, Kaczurowśkyj, Weretenczenko, Łeonid Łyman, Jar Sławutycz, Łeonid Połtawa, Michajło Sytnyk. Wszystkich ich łączy dość zdezorientowane (przy braku solidnej krytyki) poszukiwanie właściwej formy poetyckiej, ale nade wszystko indywidualnej i narodowej prawdy, która by poprzez trudność czy nawet niemożliwość aklimatyzacji na obczyźnie, smutek i samotność, żrącą nostalgię i zwątpienie doprowadziła do pewnego portu. Ich uczucia patriotyczne szarpią się między gniewem i rozterką, raz po raz nawracają do ,,tragicznego optymizmu'' i doncowskiego woluntaryzmu, albo znów próbują osiągnąć — tymczasowe, bo przedwczesne — uspokojenie na melancholijnych szczytach panteistycznej pokory. Zachód, gdzie znaleźli chwilowy przytułek, nie budzi w nich zaufania ani szacunku; pewności rychłego powrotu do porzuconych ojczystych larów i penatów nie zastąpi przejęty od poprzedniego pokolenia bojowy ton, jakże często przeradzający się w bezsilną, nadrabianą schrypłym patosem buńczuczność.

Problem tej młodzieży literackiej, oderwanej od rodzimego gruntu, a nie umiejącej znaleźć sobie miejsca na Zachodzie, poruszył ostatnio Jurij Szerech w znamiennym artykule pt. ,,Po-

kolenie bierze fałszywy ton" („Nowe dni", styczeń 1953). Jest w nim sporo przesady i zbyt ostrych ocen krytycznych, a głównie typowo profesorskiej pedanterii, ale samo postawienie centralnego zagadnienia słuszne i celne. „Nienawiść tych poetów — pisze Szerech — do sowieckiego systemu nie podlega wątpliwości. Ale tam był ich grunt. Spotkanie z Zachodem wykazywało ich nieprzygotowanie i bezradność... Z niemożności wejścia w świat zachodni rośnie ich do niego podświadoma nienawiść i równie podświadoma tęsknota za światem pozostawionym w domu. Dwie nienawiści, miłość do znienawidzonego, zazdrość, a przede wszystkim całkowity brak jakiegokolwiek gruntu, więcej — powiedziałbym : brak powietrza — stwarzają stan permanentnego braku równowagi, duszności, niemożności normalnego, głębokiego oddechu, wykrzywienia całego duchowego życia. I tu zaczyna działać sowiecki pogląd na literaturę. Istnieje ona nie po to, by dusza przemawiała do duszy, ale po to, aby przyswajać sobie oficjalnie przyjęte poglądy. Zatem doszlusujmy do jakiejkolwiek partii i piszmy tak, jak życzą sobie redaktorzy jej organów prasowych. Tym bardziej, jeśli często jest to jedyna możliwość, by dostać się do druku, a nawet — rzecz niesłychana! — otrzymać jakieś żałosne honorarium. Jednak sprawa polega nie tylko na wygodnictwie i nie tylko na resztkach sowieckiego podejścia do literatury. Chodzi o to, że wszystko to samemu poecie daje złudzenie jakiejś działalności i to pożytecznej literackiej działalności. To wypełnia próżnię w duszy i w czasie. To na krótkie chwile rodzi złudzenie realnego otoczenia i trwałego gruntu pod nogami. Zapomina się, że prawdziwy twórca nigdy nie idzie za hasłem „Śpiewaj, poeto, z nami do wtóru!", że jest on właśnie dlatego twórcą prawdziwym, iż śpiewa własnym tonem, iż narzuca swój głos otoczeniu".

Poprzednio jeszcze Szerech zwrócił uwagę na „wspólną cechę przedstawicieli tego pokolenia", jaką jest według niego „brak pozytywów". „Są szczerzy, dopóki ironizują, płaczą, nienawidzą, znieważają. Gdy tylko dochodzi do pozytywów, zaczynają przemawiać fałszywym głosem. Śpiewają na ton najbliższego partyjnego otoczenia. Wykonywują społeczne zamówienie". Winę tego stanu rzeczy przypisuje Szerech po części krytyce literackiej, a również i samemu sobie. Podkreśla, że gdy ukazywały się tomy wierszy, bezwzględnie szczerych, a wypowiadających bez ogródek istotę przeżywanego dramatu, odzewu nie było. Tak np. stało się z wydaną w 1948 roku niewielką książeczką Leonida Połtawy, pt. „Żółte karuzele", która „była krzykiem poety o pustce dokoła niego. Tak i pozostała krzykiem w próżnię. Nikt nie odkrzyknął się, nikt nie wyciągnął do poety ręki... Zbiorek zanadto odcinał się od urzędowo optymistycznego stylu ukraińskiej literatury tak w kraju, jak na emigracji".

Tak się złożyło, że właśnie mam pod ręką ostatni tom wierszy poety, którego dotychczasowa twórczość dała Szerechowi asumpt do napisania jego oskarżającego artykułu. „Ukraińskie ballady" Połtawy.

Owej ,,urzędowej'', pod wymagania partyjnego środowiska podciąganej poezji tu raczej nie znajdziemy, a jeśli, to bardzo niewiele. Za to sztanca patriotyczna w pierwszej części zbioru świeci częstą obecnością. Łatwizna felietonowych przeciwstawień : pierścień z syberyjskiego złota na palcu angielskiej lady — Ukrainiec Ostap, zamarzający na śniegu. Wyciąganie za włosy tematyki i problematyki narodowej, co zwłaszcza razi w wierszach bardziej osobistych. Natomiast druga połowa zbioru ma znacznie większy ciężar gatunkowy i zaraz o niej pomówimy.

Ale wróćmy do diagnozy Szerecha. ,,Brak powietrza'', ,,podświadoma nienawiść'' do Zachodu i ,,niemożność wejścia do niego'' — wszystko to znajduje w ,,Balladach Ukraińskich'' dość jaskrawą ilustrację. Cytujmy. ,,Syn twój błądzi po świecie, syn twój szuka przyjaciół, ale nie ma odzewu, wiernych przyjaciół nie ma. I milknący nocny Paryż. Samotność. Pokój i cienie. I lampa pochylona jak kłos''; ,,w zaułku Europy wiatr zamiata po ziemi, rozwiewając popiół piaszczystych idej...''; ,,w obcym kraju można żyć tylko w pieśni, ale nigdy nie można żyć naprawdę, ani kochać...'' Nawet spotkanie z ukochaną w paryskim parku prowokuje takie wyznanie : ,,Dziwne nasze spotkania : pocałunki i słowa nie nasze, jak gdybyśmy je chcieli zachować dla innych, piękniejszych spotkań...'' Oczywista, chodzi o przyszłe spotkania na U k r a i n i e. Zachód europejski Połtawa widzi wyłącznie w kategoriach eschatologicznych. Już sam tytuł jednego z cyklów zbioru ma pogardliwy wydźwięk: ,,Po Europach'' — forma ta wyraźnie implikuje i niechęć i pogardę. Nad Lipskiem, Wiedniem, Paryżem, wszędzie, gdzie poeta postawi wędrowną stopę, rozciąga się ,,europejska noc''. W sumie — coraz ostrzejsza tęsknota, coraz większa obcość, coraz krótszy, wichrem zabijany oddech. Czyżby nie było żadnych innych perspektyw ?

Otóż książka Połtawy jest tragicznie pesymistyczna, ale nie ma w niej beznadziejności. Bo chociaż ,,w oczach coraz mniej oczu, a w duszy coraz więcej, coraz więcej samotności'', ,,nie straszno nam dogasać, jeśli nasze ciepło choć w jednej duszy, choć na chwilę zajęło się ogniem''. I śmierć nie straszna, bo jeszcze nie czas, bo zbyt wiele jest do przeżycia i dokonania. To nie żaden biologiczny optymizm, który u silnych, zdrowych jednostek potrafi iść w parze z pesymistycznym odczuciem świata. To wyraźnie zarysowany moralny stosunek do siebie samego i swego powołania artystycznego. Więc i o ślepej uliczce nie może być mowy, choćby wszystkie pozory najbardziej o tym świadczyły. A cały sztafaż patriotyczny? W najlepszych wierszach Połtawy, czy w najlepszych tych wierszy fragmentach (zbiór jest bardzo nierówny) żywioł liryczny i problematyka narodowa zrastają się już w organiczną całość, znika frazeologia, triumfuje szczerość i jej adekwatny wyraz. Zapewne, daleko jeszcze do całkowitej krystalizacji, ale możliwości wyraźnie już zaznaczone. Solidniejsze umiejscowienie poetyckiego warsztatu — i w ściśle artystycznym i po prostu życiowym, nawet material-

nym sensie — ułatwiłoby całą resztę. Bo koczownicze życie jedynie pogłębia rozterkę wewnętrzną. Jeśli już nie można zapuścić korzeni w żaden obcy grunt, to przynajmniej trzeba zarzucić kotwicę tak, by mocno sięgnęła dna.

Pokój i radość ci,
ziemio, co życie pochwalasz
nad morzem wiekuistym,
nad pracowitym morzem!
Pokój i radość, narodzie,
zupełny jak morska fala —
i w najtrudniejszej walce
żadna cię siła nie zmoże!

Pokój i radość tobie,
Odesso zielonooka,
czarnomorko urodna
w ptasich skrzydeł zakolach.
Dla ciebie, jak i dla narodu,
burza i cisza głęboka
i ty, jak naród,
nigdy nie padasz do kolan!

Oto brzegi i woda,
jak dłonie, krzepko ściśnięte.
Szumi morze,
jako szumiało w wieków minionych chluście;
jakaż radość,
gdy się zapieni słonym odmętem,
jakaż radość poczuć
potężny fal jego uścisk!

I dla tego cię kocham,
zmienno-niezmienny żywiole,
duszo mej ziemi,
przygodo zielono-sina!
Minęła radosna noc.
Zorza skrzydła rozwija sokole.
Znowu budzi się dzień —
Znów się
wieczny początek
zaczyna.

W ten sposób Połtawa znajduje wyjście z fatalnego koła dręczących go mar i przywidzeń. We wspomnieniu czarnomorskiego wiatru, w pełganiu świeczki samotnych paryskich nocy objawia mu się zwykła, nieskomplikowana prawda wieczystego przemijania i odnowy, nierozerwalnego związku żywych z martwymi i śmierci z życiem, które z niej powstaje. To za mało na światopogląd, to wystarcza jako punkt wyjścia. I w tym jednym

jedynym punkcie diagnoza Szerecha, skądinąd całkowicie słuszna, ponosi porażkę. Ale jest to porażka doniosła, bo przecież chodzi o sprawę jak najbardziej zasadniczą.

Dni za dniami jak fale
po ziemi płyną,
plemiona i ludy przechodzą,
znikając, jak cienie;
listowie na drzew konarach
umarłą się sypie gęstwiną,
ażeby z wiosną powrotną
jeszcze radośniej zielenieć.

X

,,Ale czas już przejść od analizy do rady — kończy swój artykuł Szerech. — Oświadczyć poetom tego pokolenia, czego mają się uczyć, choć już nie są tacy młodzi? Tak, to byłoby słuszne, ale oni sami to wiedzą (chociaż, najwidoczniej, postępują inaczej). Powiedzieć im, że sztuka nie powinna obawiać się, jeśli trzeba, przeciwstawiania własnemu społeczeństwu? Wiedzą, zapewne, i o tym. Wydaje mi się jednak, że jedynym prawdziwym wyjściem z sytuacji byłoby znalezienie gruntu pod nogami. Emigracja sama przez się takiego gruntu nie daje. Trzeba ją uzupełnić tym, co można znaleźć w kraju, z którym los związał pisarza. Dosyć przebywania na wyspie — należy zanurzyć się w falach otaczającego życia. Nie trzeba bać się o swoją ukraińskość. Nie zatraci się — chyba że w ogóle przestanie się być pisarzem''.

Wszystko to święta prawda. Ale jeśli kultywowanie absolutnej izolacji psychicznej w stosunku do obcego otoczenia musi się zemścić skostnieniem i — prędzej czy później — wyjałowieniem, kontakt z ziemią, na której się wyrosło, jest również bezwzględnie konieczny. Dla pisarza to nie tylko tęsknota, ani tematyka, to przede wszystkim s t y l. Polski emigrant, Słowacki, który całe życie dojrzałe spędził poza krajem i spoczął na paryskim cmentarzu, żył za pan brat z Szekspirem, Dantem i Calderonem, ale spacerując nad Sekwaną słyszał na co dzień szum rodzinnej Ikwy. W języku krytyka literackiego można to wyrazić mniej więcej tak: trzeba umieć znaleźć właściwy stosunek między problematyką narodową a uniwersalną i, kultywując te warianty stylu narodowego, które indywidualnie najbardziej odpowiadają, szukać powiązań z tradycjami piśmiennictwa zachodnio-europejskiego. W praktyce wszystko sprowadza się do tego, by usprawiedliwionej tęsknoty i postokroć słusznego żalu nie wstawiać między siebie i otaczający świat, jak grubą szybę akwariów, w jakim żadna ryba głębinowa nie wytrzyma. Inaczej: skazywanie się na podwójną emigrację — przymusową

z własnej ojczyzny, d o b r o w o l n ą z kraju wygnania, równoważne jest wyrokowi śmierci.

A więc znowu zagadnienie stylu. Wszelka próba teoretycznego syntetyzowania byłaby również niemożliwa, jak śmieszna, a ponadto groziłaby wpadnięciem w manię ,,szufladkowości'', którą lepiej zostawić zbieraczom motyli i filatelistom. Ci przynajmniej mają sprawę ułatwioną.

Sądzę, że w poezji ukraińskiej ostatnich czterdziestu lat nie ma takiej tendencji czy kierunku, które by nie posiadały swojej projekcji w przyszłość. Byleby uniknąć tej zabójczej mechanizacji tematu i formy, która najzdolniejszych sprowadza na manowce. W omówionym przed chwilą zbiorze Połtawy znalazłem parę szczęśliwych prób kontynuacji bażanowskiej ,,barokowej romantyki'', czy jeśli ktoś woli, ,,romantycznego neo-baroku'' (nie ośmielam się proponować ,,neo-romantycznego neo-baroku'', bo to już byłby zwykły dziwoląg). Konkretnie ,,Moneta Mefistofela'' ma kilka poetycko pustych miejsc, ale jako całość sytuuje się — i to wcale nie po epigońsku — na przedłużeniu linii bażanowskiej ,,Nocy Hoffmana''.

A gdzie się podział spadek wczesnego Tyczyny? Czyżby nikt z młodych nie zechciał zbliżyć się ku ustom ,,Słonecznych klarnetów''?

Rafael brzegiem Tybru szedł
w czerwcowych zmierzchów łunie
— to szum, to sen, lelujny szept,
ljoluni ja ljoluni.

Zadrżało serce. Schylił skroń:
o, jakiż czar w jej śpiewie!
— czy lju czy nie — załamie dłoń,
a on i drży i nie wie.

I bliżej pieśń. I spoza drzew
gołębiem jasność sina.
Kto jesteś, panno? Jak się zwiesz?!
(nieśmiało): Fornarina.

Rafael ujął ją za dłonie,
milczącą wziął w ramiona.
I zapłakała. A on do niej:
Madonna!

Był okres, gdy Wasyl Barka zapowiadał twórcze podjęcie polifonicznej muzyki Tyczyny i to w sposób równie naturalny, jak daleki od zwykłego naśladownictwa. Oto przykład:

Słoneczniki modlą się ogniem żywym.
Grom w chmurach czyta Pismo. Straszy.
Topola szepcze: Jakiż przeraźliwy
twój płacz, Izajaszu!

Słoneczników modlitewne złoto.
Matka niemowlę zabija... Głód nadszedł.
Topola krzyknęła: Widzisz, oto
mój raj, Izajaszu!

Nie wiadomo dlaczego Barka zszedł rychło z pięknie zapowiadającej się drogi, by zagubić się w zupełnie nieudanych stylizacjach starokozackiej poezji epickiej i w wątpliwej wartości elukubracjach filozoficzno-ewangelicznych. Właściwie i w tym pozostał wierny tradycjom Tyczyny, ale w znacznie gorszym wydaniu; mam na myśli bardzo zły poemat pt. ,,Skoworoda'', w których nie znajdziemy ani śladu świeżości i oryginalności lirycznej ,,Słonecznych klarnetów''. Dla spokoju sumienia muszę zaznaczyć, że parę drobnych wierszy Barki, nadesłanych mi w maszynopisie (,,Trojandnyj roman''), zdaje się wskazywać, że poeta ten jeszcze nie powiedział swego ostatniego słowa.

To tylko parę luźnych uwag, być może pożytecznych na tle ogólnej dyskusji na temat ,,organicznego stylu narodowego'' w poezji ukraińskiej. Cóż jeszcze dodać? Przychodzą mi na myśl dwa wiersze Maksyma Rylśkiego, których zacytowanie będzie, jak sądzę, nie od rzeczy. Dręcząc się w porewolucyjnym, podsowieckim Kijowie, gdy się jeszcze nie znało późniejszego, zorganizowanego terroru, ale już można było przeczuć jego nadejście, Rylśkyj ewokował wizję dalekiego Paryża.

Zaklęte w głazy stare dzieła,
a każdy kamień — wieczny ślad
miłości, która przeminęła,
i zmarłych, nieśmiertelnych lat.

Kawiarnie, wieże, zjawa żywa,
Rabelais, Rimbaud i sen, i żal —
i ktoś w nieznane mnie przyzywa,
uśmiechem szczęścia wabiąc w dal.

Fijołki, widma od Wersalu
i karmin ust i zabaw czad,
i cierpki czar dawnego balu
skroś smutek trąb i skrzypiec jad.

Taki był sen, który znakomitemu poecie przyśnił się w rozbitej granatami, odartej z chwały historycznej stolicy, pohańbionym i upośledzonym Kijowie. A rzeczywistość?

Samogon snem cię zmorzył twardym
i trwasz w pijanym, brudnym śnie...
A tam gołębie i mansardy,
tam Paryż, słońce, wolna pieśń!...

,,Tam Paryż, słońce, w o l n a pieśń!'' Gdy któryś z gorzkich spadkobierców Rylśkiego dotarł do wyśnionego Paryża i przyjrzał mu się w blasku świeczki dymiącej w emigranckiej mansardzie, cóż zobaczył, cóż dostrzegł?

Autor ,,Ukraińskich ballad'' stoi przy cynku w barze przy placu Bastylii. Otoczenie widzi w kategoriach zbliżającej się nowej katastrofy i eschatologii. Usta pali mu persyflaż i namiętne oskarżenia. Wróży rychłą zagładę światu, który nie potrafił go przygarnąć i nie miał mu niczego do ofiarowania.

,,Czekajcież! Kamienie ruszyły już w pościg
i biegną, spiętrzając się cieniem ponurym —
to już wyrastają na placu Wolności
kremlowskie bastiony, strzelnice i mury!''
A wtedy zza lady, gdzie tuman i pustka
i wina, znaczone pieczęcią Bastylii
— Tyś spił się! — ktoś w dymie tytoniu się schylił.
zapachem zgnilizny dmuchnąwszy mi w usta.

Więc tak! Zadnieprzański poeta zobaczył po jednej stronie ,,tuman i pustkę'', po drugiej — zbliżający się cień zwycięskiego Kremla. A jego ostrzegającą wizję przyjęto jako majaczenie pijanego. Tak wyglądało spotkanie, o którym przed trzydziestu laty marzył Maksym Rylśkyj.

Ale nie w barach paryskiej dzielnicy Świętego Antoniego szukać wschodnim emigrantom prawdziwej Europy. A wreszcie pozostały ,,zaklęte w głazy stare dzieła'' i ,,miłość lat'', wprawdzie ,,zmarłych'' a jednak ,,nieśmiertelnych''. I jeszcze coś, na co najdroższa cena okazuje się tania: ,,wolna pieśń''. Na samym skrzyżowaniu największych klęsk i katastrof modlił się do niej Rylśkyj:

Nie zdradź mnie, cicha i łagodna,
moja ostatnia i jedyna!
Z mych własnych rąk wypiłem do dna
zatruty kubek złego wina.

Ten posąg czułe serce strzegł ci
surowym pięknem białych linii,
jakbyś w noc Pańskiej Rezurekcji
wzruszony znalazł się w świątyni.

Patrzę ku białej, ku łaskawej,
którą Apollo błogosławił,
gdy wszystkie ludzkie mroczne sprawy
na naszym brzegu pozostawił.

A proste fałdy jasnej togi,
surowej twarzy czysty profil
wróżą dymiący czad pożogi
i serc i królestw katastrofy.

Ale ja znam twój uśmiech czuły —
kamienna! — znam twój ciepły uśmiech.
Tak czasem z chmur, co świat zasnuły,
wybiegnie blask, nim w mroku uśnie.

Wtedy ożywa zimny marmur
i tulą boskie dłonie białe
tego, co z kurzu i alarmu
wybiega jednostajnym cwałem.

Ze wszystkich sióstr tyś mi najbliższa,
w modlitwach ciebie tylko wzywam:
— W jesiennym dniu, gdy wicher gwiżdże,
ogrzej mnie, ogrzej, litościwa!

Litościwa muza dawno już opuściła Maksyma Rylśkiego, a jeśli zagląda, to ukradkiem. Odstraszyła ją luksusowa willa z sowieckim lokajem (zapewne agentem N.K.W.D.) na ganku i bolszewickie ordery i nagrody imienia Stalina. Niechże będzie łaskawsza dla tych wszystkich, którzy pragną znaleźć związek między własną tęsknotą i bólem narodowym a wielkimi tradycjami kulturalnymi zdradzającej samą siebie Europy. Niech wejdzie i do nędznej paryskiej mansardy i do fabrycznej hali amerykańskiej i do samotnych pokoików wielkich miast Argentyny i Kanady. Niech sprawi, aby podwójni emigranci poczuli się jak u siebie na tym Zachodzie, za prawo należenia do którego ich umęczona ojczyzna zapłaci jeszcze niejedną daninę krwi i żelaza, zanim wśród ruin mazepińskiego Baturynu znów zadźwięczy arystotelowska greka i horacjańska łacina.

Józef ŁOBODOWSKI

P.S.: *Wprawdzie podkreśliłem, że artykuł ten został pomyślany jako informacyjny, jednak konieczność skoncentrowania się wzdłuż pewnych linij orientacyjnych zmusiła mnie do potraktowania po macoszemu szeregu poetów, zwłaszcza jeśli chodzi o młodsze pokolenie. Dotyczy to również, choć w ograniczonym stopniu, doboru wierszy, których przekłady zamieściłem w charakterze ilustracji. Niekiedy decydował pod tym względem zwykły oportunizm — sporo przekładów miałem gotowych — lub konieczność — materiał oryginalny, którym rozporządzałem przy pisaniu. Powstały zatem nieuniknione w takich wypadkach pominięcia i laguny. Postaram się odrobić moje grzechy przy najbliższej okazji.*

J. Ł.

Fragmenty z dziennika

Sobota.

Wybitnie mądre	*Niezwykle głupie*
Głęboko moralne	*Rażąco niemoralne*
Absolutnie realne	*Szaleńczo nierealne*
Bardzo szczere	*Bardzo nieszczere*

Taka jest dwutorowość moich doznań podczas czytania Mascola (Dionys Mascolo : *Le Communisme,* révolution et communication ou la dialectique des valeurs et des besoins) (*). Książka przenikliwa i groźna w swojej wojowniczej monotonii. Cel specjalny tej pracy, to wydobycie na plan pierwszy w marksiźmie teorii potrzeby, jako bazy materializmu dialektycznego. Lecz przy tej okazji Mascolo krzyżuje ostrze z intelektualizmem współczesnym, z całym obszarem myśli niekomunistycznej, a ciosy jego są celne gdyż swojego wroga ma w sobie — on, typowy intelektualista Paryża, Madrytu lub Rzymu, bywalec tychże kawiarni, wielbiciel tychże poematów, słuchacz tej samej muzyki, smakosz tych samych smaków i hodowca nie innych myśli...

Lecz dlatego — to książka napisana z czujnością, ani na chwilę niesłabnącą, która przewiduje wszystkie zarzuty. Jak zabezpiecza on swoje pozycje ! *Primo :* ta książka nie przemawia do ciebie głosem komunisty, lecz właśnie głosem niezależnego intelektualisty, który zrozumiał komunizm; ale zarazem (wobec tego, że taka niezależność niezbyt godzi się z Diamatem) nie jest to dzieło klasycznego intelektualisty, a tylko człowieka, który ,,jest dość intelektualistą, aby nie być komunistą i dość komunistą, aby nie być intelektualistą''. Tu zatem Mascolo organizuje sobie własne stanowisko między komunizmem a intelektualizmem klasycznym. *Secundo :* tu obowiązuje najwyższy poziom myślenia, tu się myśli na serio i naprawdę — więc nie tylko krytykuje się Rosję Sowiecką, ale nawet nie ukrywa się faktu, że komunizm jest najcięższym i najkrwawszym z zadań.

(*) Gallimard, Paris. 1953.

Ale mówi się: to jest nieuniknione; nikt tego nie zahamuje; to jest moralnie i materialnie konieczne; to imperatyw historii i sumienia. *Tertio* : największą i nigdy nie słabnącą energię wkłada się w wykazanie, że komunizm jest alfą i omegą dzisiejszości, rewizją wszystkich wartości w skali dotąd niespotykanej — zasadniczym przewrotem wszystkiego — jedyną możliwą rewolucją i rewolucją, obejmującą wszystkie możliwe rewolucje — że jesteśmy w tym tak zupełnie, iż niemożliwe staje się wszelkie ,,poza'' — i ten to punkt widzenia nadaje tekstowi siłę czegoś nadrzędnego, ogrom wieloryba, który dźwiga na sobie świat. I Mascolo niczego bardziej się nie wystrzega, jak rozpowszechnionego wśród inteligencji komunizującej błędu, który, przyznając komunizmowi charakter idei, wprowadza go jako ideę, jedną więcej. Nie, komunizm nie jest ideą, nie jest żadną prawdą, jest tylko czymś co człowiekowi umożliwia prawdę i ideę. Komunizm, to tylko wyzwolenie człowieka z tych materialnych uzależnień, które dotąd nie pozwalały mu myśleć i czuć prawidłowo, zgodnie z jego prawdziwą naturą. *Quarto* : miażdżąca teza o współrzędności ducha i materii, ta myśl fascynująca i objawicielska, ukazuje się tutaj jak Bóg ukazał się Mojżeszowi — i dyktuje prawo.

To wszystko nie jest rewelacją — ale działanie tych objawień, które już wielekroć mi się przejadły, staje się znów dotkliwe, ponieważ zostały one przepuszczone przez pryzmat umysłu takiego mniej więcej, jak mój, kultury, jak moja — i tu mówi do mnie ktoś mi bliski, na tych samych, co ja, wychowany mistrzach — kto jednak, idąc po wspólnej ze mną drodze, doszedł do innego miejsca, skąd odmienna roztacza się panorama. Dlaczego? Jak to się stało? Kto z nas dwóch zmylił kierunek? A i to trzeba wyznać, że ludziom, jak ja, o wiele trudniej oprzeć się komunizmowi, gdyż złączeni są z nim całą swoją tendencją myślową do tego stopnia, iż ta myśl komunistyczna jest prawie ich własną myślą — która gdzieś, w jakimś jednym punkcie, zniekształca się i odtąd staje się obca i wroga. Nie trudno być pogromcą komunizmu gdy się wierzy w Trójcę św. Nie trudno — gdy się oddycha minioną pięknością. Łatwo — gdy się jest wiernym eksponentem swego środowiska, gdy się jest hrabią, kawalerzystą, ziemianinem, handlowcem lub przemysłowcem, inżynierem lub lekarzem, członkinią Stowarzyszenia Ziemianek, konserwatystą lub finansistą, Sienkiewiczem lub antysemitą. Ale ja? Ja domagający się ludzkości bez fetyszów, ja, ,,zdrajca'' i ,,prowokator'' w mojej ,,sferze'', ja, dla którego kultura współczesna jest mistyfikacją... gdy ręka moja zdziera z mej twarzy i z innych oblicz maski, gdy to samo pragnienie niefałszowanej rzeczywistości żyje we mnie i tak intensywnie, gdy kocham te bolesne narodziny nowego świata i witam go, torującego sobie ścieżki już od dwustu prawie lat, zdobywającego jedną pozycję za drugą... jakżeż mogę być w sprzeczności z komunizmem? Sądzę, doprawdy, iż na własny rachunek i może w sposób bardziej własny i autentyczny niż wielu z nich, komunistów, przebyłem wstępne fazy tego procesu. Utrąciłem w sobie Boga. Nauczy-

łem się myślenia bezwzględnego. Nauczyłem się, co więcej, piękność moją odkrywać w burzeniu dawnej piękności, a miłość w rozstawaniu się z dawnymi miłościami. Inne więzy, które mogły mnie krępować, natury majątkowej, towarzyskiej, socjalnej, dawno już opadły. Dziś nie ma czci, ani autorytetu, ani przywiązania, które by mnie hamowały, jestem wolny, wolny, wolny i etcetera wolny ! Dlaczego odrzucam komunizm ?

Niedziela.

Eichler wyjechał na wieś i przeniosłem się na kilka dni do jego mieszkania. Zanotowałem już w tym dzienniku, że wolę nie lubieć sztuki — to znaczy, że czekam, aby ona mnie się narzuciła — nie należę do osób, które uganiają się za nią... Otóż obrazy Eichlera zaczęły narzucać mi się ze ścian tego wąskiego pokoju jakąś treścią, której nie byłem w stanie odgadnąć. W tym człowieku i w jego malarstwie, które jest bardzo do niego podobne — i bardzo, uporczywie własne — i czyste, doprowadzone do maksymalnego wyrazu w skali niezwykle wąskiej swojego stylu, tkwi jakaś tajemnica ,,biologiczna'', której nie mogę odgadnąć. Podejrzewałem go o histerię, tymczasem, przy bliższym poznaniu, odkryłem w nim naturę mocną i zrównoważoną. Tak czy owak, te barwy, te linie, z takim uporem (będącym cechą sztuki) powtarzające jedno i to samo w wielorakich kombinacjach formy, nasunęły mi myśl o ,,jedwabistej zdradzie'' i w braku czegoś lepszego uczepiłem się tego określenia. Zdrada ? Jaka zdrada ? Czy można dociec ? Każdy z nas przez inną furtkę wymyka się życiu i milion drzwi prowadzi na bezmierne pola zdrady. Ale (myślałem, siedząc naprzeciwko tych form dwulicowych) jakaż bezsilność teorii wobec istnienia — i Eichler wydał mi się jak woda przeciekająca Mascolowi przez palce, jak wąż ginący w trawie, jak mrówka, jak owad w migotliwym listowiu na wietrze.

Poniedziałek.

Mógłbym wysunąć przeciw komunizmowi pewne zarzuty natury intelektualnej.

Filozofia ta z wielu względów nie trafia mi do przekonania — przede wszystkim zaś dlatego, że, w moim pojęciu, komunizm jest nie tyle problemem filozoficznym lub etycznym, ile technicznym. Mówicie, iż na to, aby duch zaczął prawidłowo funkcjonować, potrzeby ciała muszą być zaspokojone ? Twierdzicie, że wszystkim zapewnić trzeba minimum dobrobytu ? Gdzież gwarancja, jednak, że system wasz zdoła zapewnić dobrobyt ? Czy mam jej szukać w Rosji Sowieckiej, która dotąd nie może się wyżywić bez pracy niewolników — czy w waszych rozumowaniach, gdzie mowa o wszystkim, lecz nie o technicznej sprawności systemu ? Jeżeli komunizm jest materializmem i po-

przez zmianę warunków materialnych chce wpłynąć na ducha, dlaczegóż tyle prawicie mi o duchu a tak mało o tym, w jaki sposób byłoby możliwe owo przezwyciężenie materii? Dyskusja, która powinna się toczyć między specjalistami od produkcji i organizacji, przewekslowana została na tory ogólne, jak gdyby chodziło o jakąkolwiek zwykłą filozofię. Ale póki nie zostanie wyjaśniona możliwość techniczna komunizmu, wszelkie inne rozważania są tylko marzeniem.

Lecz gdyby nawet czarno na białym z waszych kalkulacji wynikało, że system wasz podwoi czy też potroi ilość dóbr na głowę, wyzwalając człowieka z nędzy, to jednak ja osobiście nie byłbym zdolny sprawdzić tych obliczeń — gdyż ta sprawa techniczna wymaga technicznej wiedzy o świecie, której ja, nie będąc specjalistą, nie posiadam. Więc mógłbym jedynie uwierzyć wam — ale, równie dobrze, mógłbym uwierzyć innym specjalistom, których obliczenia wykazują coś wręcz przeciwnego. Mamże na tak kruchych podstawach oprzeć mój akces do rewolucji, która rujnuje całą dotychczasową organizację, stworzoną dla opanowania natury? Przełknąwszy gładko, na dodatek, wszystek gwałt, który tym poczynaniom towarzyszy?

Czwartek.

Miałbym, na gruncie intelektualnym, wiele innych argumentów przeciw komunizmowi.

Ale czy nie byłoby właściwsze z punktu widzenia mojej osobistej polityki, gdybym nie pisał o tym i nawet nie zastanawiał się nad tym?

Artysta, który da się uwieść na tereny tych spekulacji mózgowych, jest zgubiony. My ludzie sztuki, ostatnio zbyt potulnie pozwoliliśmy, aby nas wodzili za nos filozofowie i inni naukowcy. Nie potrafiliśmy być dostatecznie odrębni. Nadmierne poszanowanie dla prawdy naukowej przysłoniło nam własną prawdę — w zbyt gorącej chęci zrozumienia rzeczywistości, zapomnieliśmy, że nie jesteśmy od rozumienia rzeczywistości, lecz tylko od jej wypowiadania — że my, sztuka, jesteśmy rzeczywistością. Sztuka to fakt, a nie komentarz doczepiony do faktu. Nie do nas należy tłumaczenie, wyjaśnienie, systematyzowanie, dowodzenie. Jesteśmy słowem, które stwierdza: to mnie boli — to mnie zachwyca — to lubię — tego nienawidzę — tego pożądam — tego nie chcę... Nauka pozostanie zawsze abstrakcyjna, lecz głos nasz to głos człowieka z krwi i kości, to głos indywidualny. Nie idea, lecz osobowość jest dla nas ważna. Nie urzeczywistniamy się w sferze pojęć, lecz w sferze osób. Jesteśmy i musimy pozostać osobami, rola nasza polega na tym, aby w świecie, coraz bardziej abstrakcyjnym, nie przestało rozlegać się żywe, ludzkie słowo. Myślę więc, że literatura zanadto poddała się w tym stuleciu profesorom i że my, artyści, będziemy musieli

wywołać skandal aby zerwać te stosunki — będziemy zmuszeni zachować się wobec nauki bardzo arogancko i bezczelnie, aby odeszła nam ochota do niezdrowych flirtów z formułami naukowego rozumu. Nasz własny, indywidualny rozum, nasze osobiste życie i nasze uczucie trzeba będzie przeciwstawić w najostrzejszej formie prawdom laboratoryjnym.

Może więc byłoby lepiej, abym nie usiłował zrozumieć marksizmu i pozwolił, aby to zjawisko przenikało mnie o tyle tylko, o ile jest ono w powietrzu, którym oddycham.

Ale taka ucieczka intelektualna oznaczałaby, że nie jestem w stanie oprzeć się mu jako konkretna osoba. Raczej więc muszę wejść w to obce mi królestwo, ale jak najeźdźca, który proklamuje własne prawo. To muszę powiedzieć : mnie nie wiele obchodzą argumenty i kontr-argumenty, ten kontredans, w którym mędrcy gubią się równie łatwo jak ostatni laik. Ale, mając bezpośrednie wyczucie człowieka, przyglądam się waszym twarzom, gdy mówicie, i widzę jak teoria wykrzywia wam twarz. Nie jestem powołany do stwierdzenia słuszności waszych racji — mnie o to idzie, aby wasza racja nie przemieniła wam twarzy w mordę, abyście pod jej wpływem nie stali się odstręczający, nienawistni i nie do przełknięcia. Nie jestem od kontrolowania idej, a tylko od bezpośredniego stwierdzenia jak idea wpływa na osobę. Artysta jest tym, który mówi : ten człowiek mądrze gada, ale on sam jest głupcem. Albo : najczystsza moralność płynie z ust tego człowieka, ale strzeżcie się, gdyż on sam, nie mogąc nastarczyć własnej moralności, staje się szują.

Co o tyle jest, sądzę, wartościowe, że idea w oderwaniu od człowieka nie istnieje. Nie ma innych idej, jak ucieleśnione. Nie ma słowa, które by nie było ciałem.

Poniedziałek.

Dramat Mascola i jemu podobnych...

Ten proces duchowy, z którego on wynika — cóż za wspaniałość ! Nic bardziej wstrząsającego niż widok zrywania przez ludzkość wszystkich kotwic w ciągu ostatnich dwóch stuleci, aby ze statyki przejść w absolutną dynamikę — od człowieka i świata danych do człowieka i świata podległych nieustannemu stwarzaniu się — niczym okręt wypływający z portu na pełne wody. Zburzywszy sobie niebo, zburzywszy w sobie wszelką stałość, sami sobie objawiliśmy się jako nieobliczalny żywioł, a nasza samotność i jedyność w kosmosie, to niesłychane rozpętanie się naszego człowieczeństwa w przestrzeni niewypełnionej niczym, oprócz nas, może zdumiewać i przerażać. Śmiałość tego parcia nie ma paraleli. Ludzie, biorący udział w tym procesie, jak Mascolo, jak ja, jak cała prawie inteligencja europejska, słusznie mogliby doświadczać najokropniejszych lęków i skrupułów, gdyby rzecz nie miała charakteru czegoś nieuniknionego.

A jeśli komunizm stał się dla wielu zjawiskiem tak fascynującym, to ponieważ stanowi on najsilniejszą, jak dotąd, materializację inteligencji — to tak jak gdyby zaklęcia najświatlejszych duchów wywołały w końcu z niebytu siłę społeczną, czyli z ludzi złożoną, zdolną do konkretnego działania. Ten wilk musiał być wywołany z lasu — teraz idzie o to, aby nas nie pożarł.

W Mascolu uosabia się dramat inteligencji, która spłodziła komunizm aby dać mu się pożreć. W całej tej myśli odkrywa się gra dwóch elementów, doprowadzonych do wielkiego natężenia, a wzajemnie się wykluczających : siły i słabości. I tu chyba kryje się klucz zagadki — dlaczego ta myśl wydaje się zarazem moralna i niemoralna, mądra i niedorzeczna, trzeźwa i pijana.

Myśl ta, zburzywszy, jak się rzekło, stary porządek metafizyczny — ujrzała się sam na sam ze światem. I był to świat niezmiernie łatwy — zdawałoby się — do opanowania przez myśl ponieważ zniknęły wszystkie hamulce, które myśl hamowały, ponieważ stała się ona jedynym arbitrem rzeczywistości. Mascolo przeto poczuł się panem świata (stąd duma i poczucie potęgi, wiejące z tej książki). Ale, z drugiej strony, gdy Mascolo z wyżyn swoich ogarnął cały świat spojrzeniem, okazał się on czymś tak oszałamiająco wielkim w swoim zróżnicowaniu, nie dającym się wyczerpać w swoim ruchu, iż, zaprawdę, Mascolo, ów władca, poczuł się zgubiony w świecie, a myśl jego zaczęła mu dyszeć ciężko z przerażenia (stąd panika tej książki). Lecz z chwilą gdy Mascolo oderwał wzrok od świata, aby skonfrontować się z własną myślą, znalazł się w kleszczach tej samej sprzeczności. Oto, z jednej strony — ta myśl to jedyny i najwyższy sędzia, przewodnik ludzkości, organizator materii. Ale, z drugiej strony — rzecz nieczysta, uzależniona od bytu, poddana materii, coś co zaledwie może być nazwane ,,myślą'' w dawniejszym znaczeniu tego słowa. Więc i na ten widok doznał on zarazem najwyższego upojenia mocą i najbardziej katastrofalnego poczucia przygniatającej niemocy. Cóż robić, tedy? Czy uwierzyć w siłę myśli i porwać się z nią na świat ? Czy też, nie ufając nadmiernie rozumowi, pozwolić światu aby sam się stwarzał ? W tym drugim wypadku rozum już nie pyta, jaki ma być świat, a tylko zwężając pole swojego zasięgu : jak ja mam postępować w świecie ? I staje się tym czym był od wieków, to jest narzędziem rozeznania jednostki, w skali życia indywidualnego. I w tej zredukowanej skali czuje się pewniejszy.

Lecz Mascolo wybrał pierwszą z tych dróg. Dlaczego ? Przede wszystkim dlatego, że — na pozór — myśli, która uzależnia się od materii, nie pozostaje nic innego jak przetworzyć materię, że dla heglisty, który jest marksistą, nie ma po prostu innej drogi, jak tylko ta, która wiedzie do reformy warunków myślenia, a zatem do reformy świata. To jednak nie zdołałoby, samo przez się, skłonić myśli Mascola do tak szalonego skoku na świat cały, ta myśl indywidualna, jeśli choć trochę pozostało w niej poczucia proporcji, nie zdobyłaby się na czyn tak zuchwa-

ły. I tutaj, aby zrozumieć sytuację Mascola, musimy wziąć pod uwagę, że jego myśl nie jest bynajmniej jego własną myślą, tylko myślą zbiorową, wynikiem tysiącletniego procesu, na który złożył się bezlik indywidualnych osiągnięć. Gdy używam rozumu aby zdecydować, czy mam wsiąść do tramwaju, nie potrzebuje uciekać się do owej wiedzy zbiorowej — sam wiem, co mam robić. Gdy jednak mam rozstrzygnąć jaka powinna być ludzkość, nie mogę dokonać tego inaczej, jak tylko posługując się myślą skumulowaną bibliotek. Problem, dotyczący ludzkości, może być rozwiązany tylko myślą ludzkości, nie — jednostki. Ale ta myśl ludzkości, potężniejsza od naszej własnej, upaja nas i oszałamia — pcha w dziedzinę rozstrzygnięć pozaindywidualnych.

Mascolowi zdarzyło się co następuje: że, aby opanować świat, uciekł się do myśli silniejszej, niż własna; ale tej właśnie myśli nie jest w stanie opanować i ona to, teraz, rzuca go na świat.

Poniedziałek.

Góry. Cordoba. Przybyłem tu, do Vertientes, dziś rano i osiadłem w pięknym ,,châlet'' Lipkowskich. Wzrok odrywa się od koni, kur, psów, krów, aby utonąć w przestrzeni, wypełnionej skomplikowaną geografią górskich łańcuchów i grzbietów. Panorama.

Czeka mnie jazda do Mendozy.

Wtorek.

Ta przygoda Mascola, wyżej opisana, ujawnia się w jego języku, który jest całkowicie oderwany od rzeczywistości namacalnej, nasycony do cna abstrakcją, podobny w tym do wszystkich języków, jakimi przemawia intelekt. Znajdziecie tu te samą wyższą szkołę jazdy, polegającą na zachowaniu pozorów swobody gdy, naprawdę, dokładamy kurczowych wysiłków aby nie spaść z siodła. Ale co chwila staje się to tak głębokie, że Mascolo w tym tonie, tak subtelne, że Mascolo wikła się we własnej pajęczynie, tak ogólnikowe, że może mieć sto innych znaczeń i tak precyzyjne, że to robota zegarmistrza zawieszonego nad przepaścią. Gdy czytam Mascola, mniej interesuje mnie myśl sama, którą już znam skądinąd, więcej — rozpaczliwa walka myśliciela z myślą. Ileż wysiłku ! Ale pomnóżcie te wysiłki autora przez wysiłki jego czytelników, uprzytomnijcie sobie jak te góry sylogizmów najeżdżają inne, słabsze umysły, które czytają piąte przez dziesiąte po to aby rozumieć dziesiąte przez dwudzieste, jak w każdej z tych głów myśl Mascola zakwita innym nieporozumieniem. Więc gdzież jesteśmy ? W krainie siły, światła, precyzji, czy też w brudnym królestwie niedostateczności ?

Siła	*Słabość*
Jasność	*Ciemność*
Metoda	*Chaos*
Triumf	*Klęska*

Jak blisko sąsiadują ze sobą te dwie litanie — dwie siostry! A bardziej jeszcze dziwi i niepokoi, że to przed nadmiar cnoty myśl stacza się w grzech. Głupia przez nadmiar mądrości. Słaba wskutek nadmiaru siły. Ciemna, bo nazbyt spragniona jasności.

Przyjrzyjmy się jeszcze sytuacji Mascola.

On zabrnął... ale mógłby się wyratować... gdyby zachował wolność — wolność, która pozwala nam wycofać się, gdyśmy zabrnęli. Ta możność odwrotu, to ,,sfolgowanie'', wydobycie się z nadmierności w wymiar bardziej ludzki, swobodniejszy — oto dla mnie jedyna prawdziwa wolność. Ale dziś nawet wolność stała się sztywna i nadmierna. Otrzymałem list, zawierający pochwałę, która tak bardzo mi zasmakowała iż poznałem od razu jak dalece trafia w sedno moich aspiracji. ,,Wolność, jaką pan daje w swoim dzienniku, jest prawdziwsza od profesorskiej, wysilonej wolności Sartre'a''. To zestawienie ukazało mi znienacka różnicę pomiędzy wolnością, do której aspiruję tutaj, a tamtą wolnością — intelektualną, i tak ,,wysiloną'', że w istocie staje się nowym więzieniem. Ale moja wolność, to ta zwykła, codzienna, normalna swoboda, potrzebna nam do życia, będąca sprawą instynktu raczej niż mózgowej medytacji, wolność, która nie chce być niczym absolutnym — swobodna, czyli byle jaka, swobodna nawet w stosunku do własnej swobody. Sartry i Mascole zdają się zapominać, że człowiek jest istotą stworzoną do życia w sferze średniego ciśnienia, średnich temperatur. Znamy dziś chłód śmiertelny, znamy ogień żywy, ale zapomnieliśmy sekretów letniego wietrzyka, który orzeźwia, pozwala oddychać.

Wolność ! Na to aby być wolnym potrzeba nie tylko chcieć być wolnym — potrzeba chcieć być wolnym nie za bardzo. Żadne pragnienie, żadna myśl za daleko posunięta nie zdoła przeciwstawić się ekstremizmom. Ale Mascolo zabił w sobie wolność z chwilą, gdy swoje zwykłe, bezpośrednie wyczucie wolności poddał racjom intelektualnym. Jeżelibyśmy zapytali tego niewolnika, czy jest wolny, odpowie, że tak, że oczywiście — bo wolny jest ten tylko, kto rozumie swoją zależność od dialektycznego procesu historii itd., itd. Więc jakżeż ta wolność wyrozumowana może bronić go przed intelektem, jakżeż ta koncepcja wolności ma zapewnić mu swobodę wobec innych koncepcji — i o tym, aby cokolwiek mogło spowodować w nim jakieś rozluźnienie, nie ma mowy.

Mascolo przeto nie może się cofnąć — musi iść ciągle, naprzód — jest to tak, jak gdyby jechał na rowerze: jeśli stanie, przewróci się. I Mascolo jest zmotoryzowany, to już nie rower, lecz motocykl — naładowany myślą zbiorową i zbiorowym cierpieniem, pchany dynamiką proletariatu. Pchany całym mecha-

nizmem kultury i cywilizacji, który polega na nieustannym piętrzeniu, na kumulacji. Czy sądzicie, iż mogłoby go powstrzymać podejrzenie, że z przyśpieszoną szybkością pędzi ku zadaniu nad siły ? Mylicie się grubo : to człowiek, który stracił swoje centrum. Jeżeli zadanie jest nad siły, to dla niego oznacza tylko, że on musi siebie samego przerobić, aby być na wysokości zadania — i stąd on dla siebie jest tylko narzędziem, stąd Mascolo jest dla Mascola jedną więcej przeszkodą do przezwyciężenia. I dlatego książka jego jest pisana bardziej jeszcze dla niego samego, niż dla innych : tu Mascolo przerabia Mascola, odcinając mu, przede wszystkim drogi odwrotu. Tak pędzi on na kosmos, pobudzając siebie do pędu. A im bardziej kosmos staje się olbrzymi i nieuchwytny w całej przeraźliwej płynności swojego bezmiaru, tym bardziej kurczowo zaciskają się te palce. Gdyż ta istota ludzka podobnie jak wszystkie inne ludzkie istoty pragnie świata skończonego. Cała dialektyka rozwoju, stawania się, uzależnienia, jest tu subtelnym kłamstwem mającym przysłonić jedyną istotną żądzę — skończoności. Rozwala formę po to aby nadać nową formę — istnieć bez formy nie może — i, jakaby nie była ta forma, z chwilą, gdy ją wybrał, musi doprowadzić ją do pełnego urzeczywistnienia. Dlaczego powiedział A ? Nie wiadomo. Ale, gdy powiedział A, musi powiedzieć B.

Środa.

Wiatr i kłęby chmur, które z południa walą na szczyty. Samotna kura na trawniku... dziobie...

Być konkretnym człowiekiem. Być indywiduum. Nie dążyć do przemiany świata, jako całości — żyć w świecie, przerabiając go o tyle tylko, o ile to leży w zasięgu mojej natury. Urzeczywistniać się zgodnie z moimi potrzebami — potrzebami indywidualnymi.

Nie chcę powiedzieć, że tamta myśl — zbiorowa, abstrakcyjna — że Ludzkość, jako taka, nie jest ważna. Ale musi być przywrócona równowaga. Najbardziej nowoczesny kierunek myślenia to ten, który znów odkryje pojedyńczego człowieka.

Witold GOMBROWICZ

Na średniowiecznym progu

3. ROZDZIAŁ I RÓWNOUPRAWNIENIE.

Różne po ludziach chodzą przypadki. Ten się w rzece utopi, tamten zwali się na równej drodze, innemu znowu złe psy spodnie stargają. Nie sposób wszystkiego wyliczyć, wszystko przewidzieć.

Ale w języku polskim przypadków jest ilość określona, raptem tylko siedem. Nazwy mają ciężkie, niezdarne, ale na to nie ma rady : mianownik (*Warszawa* jest stolicą Polski), dopełniacz (nie znam *Warszawy*), celownik (*Warszawie* na tym szczególnie zależy), biernik (*Warszawę* znam dość dobrze), wołacz (*Warszawo ma!*), narzędnik (zasłaniają się *Warszawą*) i miejscownik (mieszkam *w Warszawie*). Też same przypadki występują i w liczbie mnogiej, ale tu już nie możemy posłużyć się Warszawą, bo ta jest jedna, jedyna. Weźmy więc *niewiasty*, które szczęśliwie łączą w sobie jedyność z mnogością nieprzejrzaną : *niewiasty, niewiast, niewiastom, niewiasty, o, niewiasty !, niewiastami, o niewiastach.*

Przypadki wyróżniają się końcówkami — podobnie i życiowe przypadki sądzimy po tym, czym się kończą: ,,w kożdej rzeczy końca patrzaj'' — mówił już Biernat z Lublina. Obok końcówek występują niekiedy także i zmiany w pniu, np.: *pies, psa, kot, o kocie.*

I w średniowieczu była w polskim taka sama ilość przypadków, tych gramatycznych, tylko końcówki były nieco inaczej rozłożone, bo, skoro całe życie było inne, to przecież — wedle stawu grobla — i przypadkom także wypadało przynajmniej trochę inne mieć szaty.

Ograniczymy się tutaj do trzech przypadków liczby mnogiej rodzaju żeńskiego i męskiego : do celownika, narzędnika i miejscownika.

Owóż język średniowieczny przestrzegał tu surowo rozdziału między obu płciami. Żeby było bardziej interesująco, możemy

w tym dopatrywać się refleksu surowszego rozdziału obyczajowego, aczkolwiek będzie to stanowczo niesłuszne.

Celownik męski kończył się, jak i dzisiaj, na *-om*, żeński zaś na *-am*: ,,uczyńmy człowieka ku obliczu a ku podobieństwu naszemu, aby panował *ryb-am morskim i ptak-om*'' — ,,cztła'' Sońka Holszańska w swojej Biblii (*cztła* wtedy mówiono nawet o królowej, ba, i Matka Boska *,,cztła''* — w Rozmyślaniu — ,,księgi Izajasza proroka''). *,,Syn-om a dziewk-am* (*) przykład dał'' — śpiewał Sandomierzanin. Ów surowy rozdział przetrwał nawet nieco średniowiecze, bo jeszcze wiek XVI znał *-am* w rzeczownikach żeńskich. No, ale nie wytrwały białogłowy przy swoim. Zmienny to naród i niestały. *-am*, zwolna i nieśmiało, zaczęły zarzucać już nawet w piętnastym stuleciu, za pierwszych Jagiellonów, a od początku XVII wieku mamy już w celowniku pełne równouprawnienie obu płci pod znakiem końcówki *-om*. Dajemy jałmużnę *bab-om* i *dziad-om* żadnej między nimi finansowej ani gramatycznej nie czyniąc różnicy.

Podobnie stało się w narzędniku i miejscowniku tejże samej liczby mnogiej.

W średnich wiekach narzędnik większości rzeczowników męskich miał końcówkę *-y* lub *-i*: *,,między kapłan-y''* lubiła się obracać hoża królowa Sońka, wielce bogobojna, bo straszył ją judzki król Dawid w swoim Psałterzu floriańskim, że ,,wieliki Gospodzin i chwalny barzo; groźny jest *nade* wszymi *bog-i''*. Mniejszość — nie poddani króla Dawida, ale mniejszość rzeczowników męskich — miała końcówkę *-mi*: ,,z *krol-mi''* (Biblia Sońki), ,,przed *ludź-mi''* (Kazania gnieźnieńskie). Niewiasty miały końcówkę *-ami*, jak i dziś: *niewiast-ami*. Owóż, kiedy już płeć piękna prawie zupełnie przywłaszczyła sobie pierwotnie jedynie męskie celownikowe *-om*, mężczyźni, żeby dłużnymi nie zostać, sięgnęli w połowie szesnastego wieku po żeńskie narzędnikowe *-ami*. W siedemnastym wieku *dziad-ami*, jak *bab-ami*, było formą niepodzielnie panującą. Tak i tutaj, acz w odwrotnym kierunku, do równouprawnienia doszło, tylko nie tak pełnego, nie tak całkowitego, jak w celowniku. Kłócą się z równouprawnieniem *księża* woląc być *księż-mi;* przyjaźń, powiadają, wyjątkowa rzecz, więc: *przyjaciół-mi* bywamy; przyjaciele *braci* namówili i jest *brać-mi; ludź-mi* byliśmy już w XIV wieku. *Pieniędz-mi* za *księż-mi* idzie, oczywiście nie dla pradawnego związku stwierdzonego przysłowiem ,,kto ma księdza w rodzie, temu bieda nie dobodzie'' (**).

Miejscownik również padł ofiarą niewieściej ekspansji. W średniowieczu męski miejscownik liczby mnogiej kończył się na *-ech*: *,,o żydzi-ech''* opowiadał Sońce Stary Testament a w Psałterzu floriańskim przyjaciel królowej Saby głosił, że ,,nie

(*) *Dziewka* — 'córka', por. dzisiejsze francuskie *fille*, mające znaczenie i 'dziewczyny' i 'córki'.

(**) *mi* znane jest dziś również i w kilku rzeczownikach żeńskich wśród których nie ma jednak żadnego osobowego.

jest rowiennik tobie *w bodz-ech,* Gospodnie" (,,pośród bogów nie ma Bóg sobie równego"). Autor Rozmyślania medytował ,,*o biskupi-ech*" i powoływał się na to, co ,,pisał Mojżesz *w proroc-ech*" (to jest w Księdze Proroków).

Targały jednak mężczyznami już na przełomie XIV-XV wieku jakieś poważne niepokoje miejscownikowe. Nie byli zadowoleni ze swego *-ech.* Na początek próbowali *-och* biorąc sobie *-o* z celownikowego *-om,* końcówki, jak już widzieliśmy, bardzo energicznej i ekspansywnej. Odpowiadała im bardziej o tyle, że nie wymagała zmiany ostatniej spółgłoski pnia, jak to trudne *-ech* (porównaj parę ,,*o bodz-ech*' i ,,*o bog-och*". I przez całe dwa wieki mieli mężczyźni obocznie dziwną, dla nas dziś i niezwyczajną końcówkę *-och* : ,,*w* prawdziwych *ludzi-och*" (Rozmyślanie), ,,*o nieprzyjaciel-och*" (Psałterz puławski, XV w.), ,,spytał *o* jego *uczennik-och*" (Rozmyślanie), ,,*o dworzan-och*" pisał Orzechowski a ,,*o potomk-och* Marcin Bielski (XVI wiek). Ale i ta końcówka nie podobała się mężczyznom (a mówią, że to ,,kobieta zmienna jest"!), więc poddali się niewiastom i dziś, niewieścim wzorem, mówimy i *o żołnierz-ach tułacz-ach,* i *o szewc-ach - partacz-ach* i *o ludzi-ach, bogach, królach* — wszystko pod płci pięknej dyktando.

-ech zostało nam na pamiątkę w *na Węgrz-ech, we Włosz-ech* i *w Niemcz-ech,* a jeszcze nieledwie wczoraj włóczyliśmy się *po Prusi-ech.* Ale o ludziach mówimy — *o Węgr-ach, o Włoch-ach,* o übermenschach — *o Niemc-ach.* Tylko z *-och* nie zostało ani śladu. Chyba że się komuś jakiś przypadek zdarzy, ale to wybitnie niegramatyczny. Wówczas i *och* mamy, i *ach,* a nawet i *ech* się trafi. Tylko że to już takie sobie przypadki : ten się w rzece utopi, tamten się zwali na równej drodze, innemu znowu złe psy spodnie stargają...

Mamy więc dziś, w jaskrawym przeciwieństwie do średniowiecza, zwłaszcza tego czternastowiecznego, prawie zupełne równouprawnienie między obu płciami w trzech przypadkach liczby mnogiej pod znakiem jednej końcówki pierwotnie męskiej (*-om*) i aż dwu żeńskich (*-ami* i *-ach*).

4. ,,DALI JI ZABICI".

W Roku Pańskim 1461, pod koniec trzynastoletniej wojny z krzyżactwem, gdy część ziemi pomorskiej do Polski wracała, wydarzyła się w Krakowie ponura awantura. Porywczy kasztelan wojnicki, Jędrzej Tęczyński, niezadowolony z płatnerza Klemensa, u którego sobie był zamówił piękną zbroję, pobił go do nieprzytomności. Wzburzyli się krakowscy mieszczanie. Musieli już po uszy mieć tej szlacheckiej swawoli. Gniewem uniesieni, skrzyknęli się i w okrutny sposób zamordowali kasztelana. Smutnie się to dla nich skończyło, bo z wyroku sądu sejmowego sześciu z nich przez ścięcie stracono. Nie dość na tym. Jakiś szla-

checki brat brzydko ich opisał w pieśni charakteryzując Tęczyńskiego przede wszystkim jako rycerza-patriotę :

> ,,Chciałci krolowi *służyci,* swą chorągiew *mieci,*
> A chłopi pogańbieli dali ji (*) *zabici*''.

-ci, -ci i *-ci*... Dawny bezokolicznik tak się właśnie kończył. Dzisiejszy, skrócony o *-i, bardzo dawnej* Polsce wydałby się psem bez ogona, ale nam poręczniejszy.

,,Nikt za mię nie chce *umrzeci*'' — skarżył się grzesznik z XV wieku, tak jakby w ogóle można na to było znaleźć zastępcę!

Pisała panna w odpowiedzi na wierszowany list młodzieńca, że ,,przez toż, moj namilejszy, racz *wiedzieci,* iż miłość to w sobie ma, iże rzadko albo nigdy w wiesielu bywa, telko zawsze w smutku, w tęskności i też niewymownej sierca boleści trwa i przemieszkawa''. Aż dziw, że to przecież tylko XV wiek! Oczywiście, wszystkie panny wszystkich wieków na te smutki, tęskności i ,,sierca'' niewymowne boleści szły względnie chętnie, ale : nie nasza to już sprawa i nie będziemy się w to bliżej wdawać.

Powróćmy-ż do naszego barana! Do bezokolicznika jeszcze nie ostrzyżonego. Gdybyśmy tak sobie, z nagła, samo samiuteńkie *ici* usłyszeli, to raczej by się nam św. Idzi przypomniał. Ale gdy ,,dusza nie śmie na sąd *ici*'' czytamy w Skardze umierającego (wiek XV), wiemy, że *ici* to średniowieczne *iść*. Ale *Idzi* nadal się pląta : ,,Czy idzi czy chodzi, to na jedno wychodzi'' — mawiają niektórzy. Że też się tak nasz święty do tego biednego czasownika przyczepił! I to bez żadnego zgoła powodu!

Tak samo zresztą jak — właściwie bez powodu — średniowieczni Polacy bezokolicznik obcinać zaczęli już w okresie Kazań świętokrzyskich czynność tę kończąc dopiero gdzieś pod koniec XV wieku. Że przytem sześciu krakowskim mieszczanom głowy obcięto, to w zamieszaniu zawsze o takie rzeczy łatwo. Zresztą nie trzeba było *zabijaci* krewkiego kasztelana!

5. U STÓP KRZYŻA.

Tak płakała pod krzyżem polska Matka Boska piętnastego wieku :

> ,,Synku! *Bych* Cię nisko miała,
> Nieco-ć *bych* Cię wspomagała :
> Twoja głowka krzywo wisa, — to-ć *bych* ją podparła,
> Krew po Tobie płynie, — to-ć *bych* ją utarła;
> Picia wołasz, — picia-ć *bych* Ci dała,
> Ale nielza dosiąc Twego świętego ciała!''

(*) Tj. 'go (jego)', dawny biernik.

Cóż jest owo *bych?* Odmieniało się to tak (ja) *bych,* (ty) *by,* (on) *by,* (my) *bychom,* (wy) *byście,* (oni) *bychą.* Funkcję miało dwoistą : nowszą, zależno-posiłkową — tworzenie trybu niezbyt ściśle zwanego dziś warunkowym, wespół z imiesłowem na *-ł* — oraz dawniejszą, samodzielną, o której właśnie szerzej wypadnie się rozwieść.

Był mianowicie w wiekach średnich odrębny czas oznaczający przeszłość a zwany przez gramatykarzy z grecka *aorystem.* Od *mołwici,* ,,mówić'' (*), formy jego były takie :

(ja) *mołwich,* (ty) *mołwi,* (on) *mołwi,*
(my) *mołwichom,* (wy) *mołwiście,* (oni) *mołwichą.*

Obok aorystu istniał jeszcze na utrapienie starych Polaków inny czas przeszły, który gramatykarze ,,zmołwili'' się, tym razem z łacińska, imperfektem nazywać,nie dla niedoskonałości jego, bo wszelkie ludzkie dzieło jest niedoskonałe, ale że oznaczał niedokonaną czynność.

Od słowa *byci* formy jego były następujące :

(ja) *biech,* (ty) *biesze,* (on) *biesze,*
(my) *biechom,* (wy) *bieście,* (oni) *biechą.*

A od *mołwici :*

(ja) *mołwiach,* (ty) *mołwiasze,* (on) *mołwiasze,*
(my) *mołwiachom,* (wy) *mołwiaście,* (oni) *mołwiachą.*

Oba te dziwolążne czasy zaświadczone są nieco szerzej w najdawniejszym ze znanych zabytków języka polskiego, w Kazaniach świętokrzyskich pochodzących z pierwszej połowy XIV wieku, a więc z okresu Włodzisława Łokietka i Kazimierza Wielkiego, oraz w Psałterzu floriańskim z przełomu XIV — XV wieku.

Dajmy głos świętokrzyskiemu kaznodziei, wielkiemu wielbicielowi aorystów :

,,Król Ezechiasz i wszyciek lud jego... *idziechą, pośpieszychą się* do kościoła na modlitwę przed Boga wszemogącego, *poczęchą* (**) się modlić, iżby je Bóg zbawił ot (***) mocy krola pogańskiego.''

Mówi kaznodzieja także :

,,*zapłakachą...* wszym sircem i obietnicę Bogu *wzdachą''.* Opowiada owieczkom swym, oniemiałym z podziwu : ,,*widziech* angieła bożego''.

To, co byśmy dziś, zda się nam, gładziej i prościej wyrazili, mówiąc, iż ,,te słowa wypowiedział Ojciec święty, któremu na imię było Symeon'', świętokrzyżanin formułuje ,,imperfektnie'': ,,a są ta ista słowa zmowiona oćcem świętym, jemuż *biesze* Symeon''.

(*) W Cierlicku na Śląsku Cieszyńskim, gdzie zginął Żwirko i Wigura w katastrofie lotniczej po przeleceniu Atlantyku, jeszcze dziś jest *mołwić* i *wymołwa.*

(**) *Poczęchą* pochodzi od *począć.*

(***) *Ot* nie jest błędem korekty, lecz dawną postacią *od.* Jeszcze dziś *ot*-wieramy drzwi.

„Karmie jich *biechą* w uściech jich" — śpiewał król Dawid w Psałterzu („pokarmy ich były w ustach ich"). Żalił się na ludzką złość — „krew niewinną *potępiachą*" — że „krew niewinną potępiali". Mimo że „we słupie obłoka *mołwiasze* k nim" Gospodzin.

Ciężko i niezdarnie brzmią dziś te formy w uszach naszych, przede wszystkim że niezwyczajne, a trochę może i stąd, że szorstkiej głoski *ch* używamy niekiedy w zgrubieniach jak: *brachu* (znane już w XVI w.), *flacha, kicha, lacha, micha, Moch* (Moskal), albo w zgrubiałym sufiksie *-uch: dzieciuch, paluch, staruch, uparciuch*... Gładsze wydają się nam formy drugiej i trzeciej osoby liczby pojedynczej aorystu: „angieł boży *zstąpi* do Galaa ku synom izraelskim" (K. św.), boć te brzmią jak znana nam forma trzeciej osoby liczby pojedynczej czasu teraźniejszego lub przyszłego: *mówi, zmówi*. Ale już nie imperfectum, gdzie występuje szelestliwa końcówka *-sze*: „ślepy... *siedziesze*... podle drogi", jak kaznodzieja przekłada łacińskie „caecus sedebat secus viam".

Oba czasy mieszają się ze sobą już w epoce Kazań świętokrzyskich tak ze względu na częściową zbieżność końcówek, jak i dla bliskości znaczenia. Ponadto nie są nawet zbyt częste. Gorzkie łzy musiał wylewać za młodych lat Kazimierz Wielki, kiedy mu ojciec, Łokietek, wyrzuty czynił, że za mało aorystu i imperfektu w jego domowych wypracowaniach, a co już się zbierze na jakąś formę, to tak nieszczęśliwie trafia, że się bakałarze godzinami za łby wodzą: jeden mówi, że lepszy byłby imperfekt, a drugi aorysty doradza... (*)

Oba czasy zniknęły z mowy polskiej w ciągu XV wieku, za panowania pierwszych Jagiellonów i tylko aoryst od *być* przetrwał w pobożnym życzeniu *oby*, w spójnikach *by, aby, gdyby, iżby* i *żeby*, oraz w trybie warunkowym.

Tylko że dzisiejsza Matka Boska inaczej już, choć równie gorzko, u stóp krzyża płacze:

„Twoja główka krzywo zwisa, toć *bym* ją podparła".

Bo tylko *by* w trzeciej osobie liczby pojed. trybu warunkowego i *byście* — w drugiej osobie liczby mnogiej — dawne zachowały brzmienie... Tak to *tempora mutantur* gramatyczne... Ale płacz ten sam Bożej Matki rozbrzmiewa poprzez wieki całe. Tylko ten płacz jest wieczny...

Stanisław WESTFAL

(*c. d. n.*)

(*) Oczywiście to nie historia!

Archiwum polityczne

Zjednoczenie bez treści

,,Siły nasze wyczerpane na dwa pokolenia naprzód, a myśli nasze nie domyślane na dwa pokolenia wstecz''.

Cyprian Norwid.

Po roku żmudnych pertraktacji papierki w sprawie zjednoczenia zostały wreszcie podpisane, ale w chwili, gdy piszemy te słowa, zjednoczenie nie weszło jeszcze w życie. Urodziło się, metryka jest już w aktach, ojciec zaraz potem wyjechał za ocean, a tymczasem noworodkiem opiekują się czynniki, które chcą go same o tyle podchować, aby, gdy ojciec wróci, dziecię było już nieco sformowane. Myśl o tym, aby ,,powrót taty'' w ogóle nie nastąpił, wyziera wcale wyraźnie z niejednych oczu.

Zamierzamy rzucić poniżej trochę światła na to wszystko, co na tle przeszło rok trwających zabiegów zjednoczeniowych zarysowało się, a co określić można jako dalszą ewolucję fałszywych pojęć politycznych. Wydaje nam się, że z ostatniego roku płyną głębokie nauki dla politycznego myślenia polskiego.

PAŃSTWO NA WYGNANIU

W artykule pt. ,,Fetysze i Fikcje Emigracji'', wydrukowanym w ,,Kulturze'' we wrześniu 1953, mówiliśmy o rządzie emigracyjnym. Tutaj powiedzmy przede wszystkim kilka słów

---

Powyższy artykuł jest dalszym ciągiem ,,Fetyszy i fikcji emigracji'', drukowanych w ,,Kulturze'' we wrześniu 1953 *roku* (Nr 9/71). *Zamiarem Redakcji jest próba syntezy polityki polskiej na emigracji. Pracę nad tym zagadnieniem zamierzamy kontynuować.*

o państwie na emigracji, gdyż może w żadnym z lat powojennych nie spotkało się tylu twierdzeń o ważności kontynuowania państwa na wygnaniu, co właśnie w roku ostatnim.

Czy państwo może być na emigracji? Na pytanie to odpowiadamy negatywnie. Rząd emigracyjny to, przy pewnych założeniach, rzecz sensowna. Państwo na emigracji — to zawsze nonsens. Twierdzimy, że państwo jest nierozerwalnie związane z *własną* ziemią. Państwo może być albo *na* własnej ziemi, albo *pod* własną ziemią, jak nas nauczyła ostatnia wojna. W żadnym jednak razie państwo nie może być na *obcej* ziemi. Gdy kraj zostaje okupowany, ,,adres'' państwa nie ulega zmianie. Nie można ,,przenieść'' państwa zagranicę, tak jak nie można przenieść go na księżyc. ,,Państwo zagranicą'' może istnieć tylko w wiernych sercach albo mętnych głowach obywateli, którzy za nim tęsknią. ,,Państwo na wygnaniu'' jest zjawiskiem mistycznym, nie — rzeczywistością polityczną. Z faktu, że Prezydent Rzeczypospolitej przebywa na emigracji, nie wynika, że istnieje państwo na wygnaniu. Prawda ta ujawniłaby się jaskrawo, gdyby urzędujący Prezydent zmarł przed zamianowaniem następcy. Z faktu, że istnieje fundusz pod nazwą Skarb Narodowy, nie wynika, że organizacja polityczna emigracji jest państwem : zasadniczymi elementami państwa są ludność, terytorium i władza najwyższa, nie jest takim elementem żaden fundusz, choćby najbardziej pożyteczny. Skarb, podobnie jak waluta, nie jest źródłem lecz *pochodną* realnej państwowości. I jeszcze jedno : jeżeli państwo jest na wygnaniu, to gdzie jest jego stolica ? (*)

Dlaczego więc ciągle mówi się o państwie na wygnaniu? Prawdopodobnie dla dodania emigracji ducha. Jest to jednak zła metoda pokrzepiania. Nie podtrzymuje ona duchowo-politycznej wspólnoty emigracji, przeciwnie : podkopuje ją, gdyż dziesięć razy na dzień wywołuje u każdego świadomość sprzeczności pomiędzy słowami a rzeczywistością. Należy zarzucić tę infantylną teorię i zastąpić ją przez stworzenie poważnej koncepcji politycznej dla odbudowy niepodległości. Chodzi o program, nie o slogany. Rzeczywiście, nie wiadomo dlaczego i po co Polacy zbudowali teorię, która zniekształca rzeczywistość i pozwala rządowi emigracyjnemu ,,urzędować'' bez żadnego starania się o to, aby stał się Rządem Dusz. A tymczasem największą właśnie prawdą, stojącą przed każdym rządem emigracyjnym, jest nieubłagana alternatywa : albo będzie Rządem Dusz, albo wreszcie — niczym. Trzecia możliwość — rząd jako Klub Miłośników Konstytucji — nie istnieje.

Te fałszywe pojęcia urabiają błędny stosunek wielu Polaków do wielu spraw. Gdy Centralny Komitet Zagraniczny P.P.S. oświadcza, że ,,nie może mieć zaufania do osób, które współ-

---

(*) Optyczne złudzenie, że państwo na wygnaniu jest rzeczywistością,, można zrozumieć u jednej tylko kategorii ludzi : u ,,urzędników państwowych'', płaconych ze Skarbu Narodowego. Dla nich ,,państwo-pracodawca'' nie jest oczywiście mistyką.

działały *w zamachu stanu* w czerwcu 1947 i potwierdza swoje stanowisko, że wstępnym warunkiem zjednoczenia politycznego jest ustąpienie p. Augusta Zaleskiego" — jest to tylko śmieszne. Gdy w epoce bomby wodorowej i opanowania znacznej części globu ziemskiego przez totalizm sowiecki Rada Narodowa ,,zajmuje się przez dłuższy czas na serio wnioskiem nagłym w sprawie natychmiastowej zmiany herbu państwowego" (słowa Zygmunta Nowakowskiego), jest to nader smutne. Gdy jednak, w tej najbardziej skomplikowanej epoce historycznej, ,,Orzeł Biały" uważa legalizm za ,,najważniejszy atut i podstawę w walce o odzyskanie praw naszych na gruncie międzynarodowym", to, łagodząc słowa Norwida, powiemy : jest to myśl niedomyślana na jedno pokolenie wstecz (*).

Do tego dochodzi notoryczne przecenianie działalności ,,ustawodawczej" Rady Narodowej, które sprzyja niedocenianiu pracy politycznej na odcinku zagranicznym. Oto ambasador Grzybowski dając bilans prac IV Rady Narodowej, konstatuje m. in. z zadowoleniem, że nie występowały na jaw ostrzej zaakcentowane spory polityczno-programowe, którym rzekomo nie sprzyjają czasy dzisiejsze. Ze swej strony sądzimy, że jest wręcz przeciwnie : właśnie czasy dzisiejsze wymagają ostrej walki o najlepszy program. W porównaniu z ważnością sprawy programu politycznego wszystko inne jest w tej chwili nic nie znaczącym drobiazgiem. Dynamizm Rady Narodowej w sprawach ustawodawczych i personalnych przy braku intensywnych zainteresowań dla spraw istotnych, stanowi poważny zarzut pod jej adresem.

Z tym wszystkim wiąże się sprawa ewolucji zainteresowań politycznych ,,szeregowego" emigranta. Jest to sprawa niewątpliwie ważna dla dalszego rozwoju polskiej pracy niepodległościowej na emigracji. Otóż pewne jest, że tylko w atmosferze *istotnej* działalności politycznej ewolucja ta może być pomyślna. Nie przeceniajmy znaczenia burzliwych manifestacji polskich w londyńskim Albert Hallu i na innych masowych zebraniach na emigracji. Dla prawdziwej oceny postawy szerokich mas emigracyjnych o wiele ważniejsza jest odpowiedź na pytanie : ,,czy przeciętny emigrant, pośród trosk codziennych, choć raz na dzień myśli o rzeczach, które gorąco oklaskuje na owych zebraniach?"

SPRAWA MIKOŁAJCZYKA

Sprawa Mikołajczyka wysunęła się w rokowaniach zjednoczeniowych jako punkt bardzo ważny — tak ważny, że omal nie była przyczyną rozbicia się rokowań. Nie ma oczywiście nic w tym szczególnego, że sprawę uznano za ważną : *jest* ona bowiem ważna. Dziwne jest tylko to, że była sprawą *sporną,* będąc

(*) Że tak jest istotnie, udowodniliśmy w naszym pierwszym artykule ,,Fetysze i fikcje". Te dwa artykuły stanowią całość.

— tak prostą. A druga rzecz znamienna polega na tym, że zarówno zwolennicy jak przeciwnicy dopuszczenia Mikołajczyka do zjednoczenia operowali argumentami, które stwarzały klimat dyskusji o wartościach moralnych. Naszym zdaniem sprawy tego typu (Petain, Laval, Hacha, Mikołajczyk) lepiej jest rozważać na gruncie prawnym albo politycznym. Pierwsza metoda oznacza, że winowajcę należy powiesić, o ile wina w świetle kodeksu została mu udowodniona a okoliczności umożliwiają wykonanie wyroku. Druga metoda oznacza, że należy odrzucić polityka, który na to swą działalnością zasłużył. Natomiast rozważanie spraw tego rodzaju w atmosferze zarzutów natury moralnej zwykle ani nie sprzyja sądom spokojnym i obiektywnym, ani też najczęściej nie zapewnia im dostatecznej powszechności w opinii narodu zainteresowanego.

Mikołajczyk jest katastrofalnie złym politykiem. Zrekapitulujmy jego wielkie błędy :

1. — Nie zrozumiał tej podstawowej prawdy, że w pewnych sprawach ustępstwa na rzecz totalizmu, zwłaszcza jeżeli są robione przez czynniki oficjalne, w szczególności przebywające poza terenem kraju — muszą być z góry kompletnie chybione i z reguły szkodliwe. Kto by Hitlerowi oddał Gdańsk, by kupić pokój, straciłby Gdańsk, nie zapewniłby pokoju, bo totalizmowi niemieckiemu nie chodziło o Gdańsk, ale o całą Polskę (*). Mikołajczyk, który oddał Rosji Lwów i Wilno, żeby uratować niepodległość, stracił Lwów i Wilno, nie uratował niepodległości, bo Rosji chodziło o zawładnięcie całej Polski. Nie zrozumiał Mikołajczyk, że jego ustępstwa i kompromisy w stosunku do totalizmu nie mogły dać korzyści, czasem osiągalnych w pertraktacjach z państwem nietotalistycznym, dla którego kompromis, w pewnych warunkach, może być pożądanym interesem. Podróż Dmowskiego do Wittego w roku 1905 w celu przekonania go, żeby dla ,,uspokojenia'' Polaków oddał władzę cywilną w ich ręce, miała pewne szanse, nie była nonsensem. Wyjazd Mikołajczyka do Stalina w roku 1945 dla znalezienia kompromisowego wyjścia z sytuacji był szkodliwym nonsensem, bezapelacyjnie i stuprocentowo z góry skazanym na przegraną.

2. — Założeniem Mikołajczyka, gdy przyjął stanowisko wicepremiera w rządzie Bieruta, musiało być przekonanie, że on, Mikołajczyk, zdoła uchronić Polskę od narzucenia jej siłą totalizmu komunistycznego, że w pewnej mierze zdoła tam ugruntować demokrację zachodnio-europejską. Innymi słowy naiwny Mikołajczyk chciał przeprowadzić politykę swoistego *containment* w stosunku do komunizmu w kraju, o którego losach politycznych decyduje wojskowa siła Sowietów. Ten fakt ilustruje poziom myśli politycznej Mikołajczyka.

(*) Z tego zdania nie należy wyciągać żadnych wniosków w sprawie oceny polityki Becka.

3. — Mikołajczyk przypisywał ,,wyborom'' w Polsce rolę istotną. Prowadził niepoważną walkę w ramach koncesjonowanej opozycji. Sądził, że wynik wyborów będzie miał wpływ na system polityczny kraju. Nie czytał widać w życiu ani jednej książki Lenina, który uczył, że nie ten ma rząd, kto ma większość, ale ten ma większość kto ma rząd. Nie zrozumiał Mikołajczyk, że wybory mają zdrowy sens i skutek tylko wówczas, gdy stanowią organiczną część systemu demokratycznego. Są bezsensem i nie grają żadnej pożytecznej roli w systemie totalistycznym. Co więcej : grają w nim rolę szkodliwą, bo sam fakt ich odbycia oszukuje opinie demokracji zachodnich co do istnienia wolności, której... nie ma.

4. — Mikołajczyk nie umie być *podmiotem* w polityce : ani wobec wrogów, ani wobec sojuszników. Co więcej : w ogóle nie rozumie tego zagadnienia, które jest najważniejsze ze wszystkich zagadnień, związanych z praktycznym prowadzeniem negocjacji państwa słabszego z państwem silniejszym. W pertraktacjach takich państwo słabsze oczywiście nie powinno uprawiać tromtadrackiej argumentacji, ale na to żeby w ogóle osiągnęło jakąkolwiek korzyść, a raczej największą korzyść osiągalną, musi mieć subiektywne poczucie moralno-politycznej równości partnerów : nawet najmniejsze państwo wobec największego. Nie rozumiejąc tej prawdy podstawowej, Mikołajczyk nie mógł w ogóle prowadzić i w gruncie rzeczy nie prowadził — żadnej polityki *polskiej,* dublował tylko politykę Anglosasów w sprawie polskiej. Wiadomo powszechnie jak bardzo tym ostatnim zależało na zaakceptowaniu przez rząd polski postulatów Stalina. Polityka Mikołajczyka powinna była, w danej sytuacji, polegać na zdecydowanym odmawianiu zgody na te postulaty, na możliwie największym utrudnianiu ,,sprzymierzeńcom'' ich polityki antypolskiej, na żądaniu realizacji praw Polski, na protestowaniu przeciwko uchwałom szkodliwym dla Polski. Mikołajczyk powinien był rozumieć różnicę polityczną pomiędzy żądaniem uznania słusznych praw a pojękiwaniem z powodu ich naruszania. Powinien był rozumieć, że wprawdzie protest reprezentuje minimum wydajności politycznej, ale w danej sytuacji stanowił maksimum możliwości działania. Tego wszystkiego nie rozumiał, nic podobnego nie robił. Natomiast : poczynił Sowietom koncesje terytorialne w zakresie połowy terytorium polskiego, pozbawił Armię Polską wypróbowanego Naczelnego Wodza, generała Sosnkowskiego, nakazał A.K. ujawnianie się wobec Sowietów, co doprowadziło do jej masakry, a przede wszystkim i nade wszystko — ułatwił międzynarodowe uznanie reżymu Bieruta i zdjęcie sprawy polskiej z terenu międzynarodowego. Prawda, że ostatecznie Mikołajczyk nie mógł wygrać tej batalii, i nikt inny by jej nie wygrał gdyż siły antypolskie były zbyt wielkie, ale również jest prawdą, że odmawiając polskiego *placet* — mógł przynajmniej uratować pewien kapitał polityczny dla sprawy polskiej. Żaden mąż stanu nie rezygnuje ze stworzenia kapitału politycznego na jutro gdy jest to jedyna rzecz, którą może uratować dziś. Mikołajczyk po-

zbawiony jest jednak wszelkiej zdolności samodzielnego działania politycznego dla obrony interesów swego kraju. Ta niezdolność wynikała częściowo z naiwnej jego wiary w przyrzeczenia Rosji i Aliantów, z liczenia na ,,demokrację'' międzynarodową, z upatrywania w dowodach tak zwanej ,,dobrej woli'' Polski czynnika politycznego, z infantylnej wiary w możność połączenia funkcji wicepremiera bierutowego z funkcją przywódcy opozycji itd.

5. — Ale najtragiczniejszym błędem Mikołajczyka — obok nieuzasadnionej, bezcelowej i szkodliwej kapitulacji wobec wrogów i pseudo-przyjaciół — było Powstanie Warszawskie. Powstanie, które rozpoczęto z upoważnienia premiera Mikołajczyka, powstanie, które jak ktoś słusznie powiedział, było wymierzone militarnie przeciwko Niemcom, politycznie przeciwko Sowietom, demonstracyjnie przeciwko Anglosasom, a faktycznie — przeciwko Polsce. Ruiny Warszawy obciążają byłego premiera Mikołajczyka. Od historycznej odpowiedzialności za ten akt ,,wyczerpywania sił narodowych na dwa pokolenia naprzód'' Mikołajczyk nie może się uchylić. Nie byłoby tych ruin i tej klęski, gdyby umiał on myśleć politycznie.

Przed Mikołajczykiem cztery drogi stały otworem :

1. — Mógł i powinien był pozostać zagranicą i wytrwać w zdecydowanym oporze wobec polityki antypolskiej, nawet doprowadzając do otwartego konfliktu politycznego z Rosją i ,,sprzymierzeńcami''. Byłoby to bardziej wydajne w sensie politycznym niż kapitulacja. Tego Mikołajczyk nie zrobił choć tylko to było wskazane.

2. — Skoro już pojechał do Polski, mógł próbować stać się tam prawdziwym Petainem : ratować kogo i co się da. Tego nie zrobił. Nikogo i nic nie uratował.

3. — Skoro nie chciał być Petainem, powinien był w Polsce posunąć politykę opozycyjną *poza* granice koncesji Bieruta, dać się zaaresztować i przez ofiarę osobistą stworzyć dla Polski pewien kapitał polityczny. Tego nie zrobił. Spłoszony przez Bezpiekę, uciekł z Polski.

4. — Skoro uciekł i wrócił na Zachód, powinien był wyciągnąć tu wnioski polityczne ze swoich nieudanych prób udobruchania Rosji i napisać książkę w duchu reorientacji politycznej. To może miałoby pewne znaczenie pozytywne. Ale i tego nie zrobił. Przeciwnie, dalej uważa, że prowadził dobrą politykę, i nadal jego osoba jest czynnikiem rozbijającym emigrację.

Na czym więc polegała polityka Mikołajczyka ? Była to polityka czysto kapitulacyjna w imię zupełnego zidentyfikowania interesów polskich z interesami bieżącej polityki amerykańsko-angielskiej w przekonaniu, że protektorzy amerykańsko-angielscy nie dadzą Polsce zginąć ze względu na jej zasługi wojenne i ze względu na jego, Mikołajczyka, ,,dobrą wolę'', wykazaną w stosunku do Rosji. Ale w polityce nie ma wdzięczności, albo

też wyraża się ona drobiazgami nic nieznaczącymi. Takim drobiazgiem było re-eksportowanie Mikołajczyka na Zachód przez ambasadę amerykańską w Warszawie.

W roku 1946 pisałem : ,,P. Mikołajczyk wsiadł świadomie do pociągu, którego maszynistą jest Stalin. W korytarzach tego pociągu p. Mikołajczyk czasem usiłuje posunąć się w kierunku zachodnim. Ale cały pociąg wraz z nim jedzie na wschód — coraz głębiej w niewolę''.

Jest rzeczą zrozumiałą i uzasadnioną, że społeczność polska na emigracji nie chce widzieć Mikołajczyka wśród swoich działaczy politycznych gdyż znów mógłby robić głupstwa, o których Talleyrand powiedział, że są gorsze od zbrodni.

KOMPLEKS PROCEDURY

Gdyby w latach pierwszej wojny światowej zapytał kto 18-letniego młodzieńca ,,o co chodzi Piłsudskiemu?'' — usłyszałby niewątpliwie odpowiedź, że Piłsudski ,,ostro'' stawia sprawę niepodległości, że ,,rzuca polski miecz na szalę'', że przejściowo współdziała z Austrią, która zapewnia względnie największy zakres swobody w polskim działaniu politycznym, że czeka aż obie strony wojujące będą wykrwawione, a wtedy małe siły polskie na polskiej ziemi przeważą szalę, i polskie rządy w kraju zostaną ustalone. Polacy wiedzieli też, co i jak chciał osiągnąć Dmowski. Znali idee Władysława Studnickiego. Ale dziś, po czternastu latach emigracji i po roku rokowań zjednoczeniowych, nikt nie wie ani jaki jest program polityczny Rządu, ani na podstawie jakich idej politycznych doszło do zjednoczenia. Nikt nie może zresztą wiedzieć — po prostu dlatego, że *nie ma* żadnego programu politycznego. Są slogany, jest ogólnikowe ,,precz z Jałtą'' *plus* sursum corda, ale — nie ma programu.

Przebieg rokowań zjednoczeniowych musi wzbudzić w każdym człowieku myślącym głębokie zastanowienie i zdziwienie. Na podstawie tego, co zostało podane przez prasę, można powiedzieć, że rokowania starannie omijały wszelkie *meritum* programowo-polityczne. Była mowa tylko o tym, jak skleić liczne grupy polityczne, nie o tym — dookoła jakich zasad politycznych jednoczyć się. W postępowaniu rządu slogany zastępują politykę, w akcji zjednoczeniowej sprawy proceduralno-organizacyjne wyparły wszelką treść polityczną. Rokowania były ciężkie, przewlekłe, nacechowane jakąś wprost chorobliwą nieistotnością, która drażniła i oburzała maluczkich, czytających odnośne sprawozdania. ,,O co im właściwie chodzi?'' — to pytanie słyszało się setki razy w ciągu owego roku rokowań. Pewnego dnia dowiadujemy się z prasy, że np. między 8 a 20 lipca 1953 ,,upełnomocnieni delegaci stron obu odbyli 10 długotrwałych posiedzeń'', że uchwalono ,,procedurę'' postępowania, że ogółem uzgodniono 29 poprawek itd. Nie wiemy tylko, o co chodziło, a wszystko

przemawia za tym, że rokowania najeżone były jakimiś małostkowymi trudnościami, nie mającymi nic wspólnego ze stanem sprawy polskiej. To znów dowiadujemy się, że Rada Narodowa ,,upoważniła swoją dwuosobową delegację jedynie do rozmów w sprawie procedury'', co stwarza trudności. Kiedy indziej wybucha jakiś idiotyczny spór o ,,parafy''. Sprawa objęcia zjednoczeniem Mikołajczyka (który nb. nie chce do niego należeć) pochłonęła bardzo dużo czasu i energii choć mogła zostać łatwo załatwiona przez ustalenie np. zasady, że przyjmowanie ludzi spoza obu Rad dokonywane jest na podstawie jednomyślnej zgody ,,członków-założycieli'' Zjednoczenia. I tak miesiącami szły te jałowe rozmowy o uzgodnienie procedury w sprawie sposobu stworzenia organizacji, która ma się kiedyś zająć obmyśleniem polityki niepodległościowej. A tymczasem — świat przeszedł od epoki bomby atomowej do epoki bomby wodorowej.

Kiedyś, a było to przed wojną, przeżyliśmy już okres tworzenia zjednoczenia narodowego, które było klasycznie jałowe. Był to Ozon, zlepek różnych różności, twór mechaniczny, szary, biurokratyczny, mozolnie i długo wypacany. Ale wtedy jednak miało się wrażenie, że producenci tego poronionego tworu odczuwali potrzebę zebrania ludzi dookoła pewnych zasad, dobrych czy złych, mądrych czy głupich, ale — zasad. Dzisiejsze zjednoczenie nie daje nawet tej skromnej pociechy. Nad drzwiami sali tych obrad zjednoczeniowych można było umieścić napis: ,,Kto tu wchodzi, niech się pożegna ze wszystkim, co tętni życiem i jego rzeczywistymi a wielkimi potrzebami. Tu mówi się tylko o sprawach formalnych''. Napisał niedawno profesor Pragier: ,,W obawie, że aktywność rządu może przeszkodzić osiągnięciu zgody, rząd, trwając wciąż w oczekiwaniu, popadł w bezruch i waha się zajmować wyraźne stanowisko w pilnych sprawach polityki zagranicznej i wewnętrznej''. Ten ,,duch bezruchu'' rozszerzył się widać na obie Rady skoro nikt'' nie zajmuje wyraźnego stanowiska w pilnych sprawach polityki zagranicznej'', które nie mogą przecież czekać aż biurokratyczne porozumienie ,,stron obu'' stanie się faktem. Zwłaszcza, że fakt ten nie równa się jeszcze wejściu zjednoczenia w życie.

Gdy się czyta oświadczenia i sprawozdania w sprawie zjednoczenia, odnosi się ogólne wrażenie, że są to rzeczy, które wyszły z kancelarii notariusza, a nie coś, co jest dziełem polityków, którzy ,,po to zostali na emigracji, aby bronić sprawy Polski''. Nie obwijając rzeczy w bawełnę, powiemy, że zjednoczenie przedstawia się ogółowi emigracji raczej jako twór mechaniczny, niż jako żywa treść krzepiąca. A jeżeli kto pompatycznie głosi, że zjednoczenie wywołało entuzjazm wśród emigracji, to trzeba mu powiedzieć słowami Krasickiego: ,,Wszystko to być może, ale ja to między bajki włożę''. Prawda jest bowiem ta, że kompleks procedury wyparł w tym zjednoczeniu wszelką myśl programową, która jedynie może być ośrodkiem krystalizacyjnym emigracji politycznej.

POLITYKA PERSONALIÓW

W długim okresie zabiegów zjednoczeniowych niejednokrotnie odnosiło się wrażenie, że wśród czyniików pertraktujących są takie, które w rzeczywistości nie chcą zjednoczenia. Niezależnie od *pro,* wypowiadanego przez obie strony, zaznaczała się niechęć do porzucenia stanu poprzedniego: jak w sprawie zjednoczenia Niemiec, którego wszyscy ,,chcą'' a jednak na dnie sprawy leży przekonanie, że w danych warunkach może lepiej utrzymać podział. O niechęci do zjednoczenia emigracji świadczy przede wszystkim sam fakt, że sprawa stosunkowo prosta i łatwa do przeprowadzenia — tak długo szła jak po grudzie. Maluczcy nie mogli oprzeć się wrażeniu, że są widać jakieś względy konkretne, powiedzmy natury życiowej, nie bardzo wiążące się z istotą rzeczy, dla których ,,wielcy'' nie mogą się pogodzić. Na ten temat bąkano to i owo. To i owo powodowało, że szanse zjednoczenia, będącego potrzebą polityczną, wciąż aż do ostatniej chwili były niepewne, pośród coraz to innych fikcyjnych trudności, które były wysuwane. Ale wreszcie papierki podpisano.

I tu zaczyna się tej historii rozdział drugi, leżący poniżej nie tylko zdrowego rozsądku, ale także niezbyt łatwy do pogodzenia z rzeczą, którą można by nazwać ,,przyzwoitość w polityce''. Oto dalszy bieg sprawy, po podpisaniu Aktu Zjednoczenia, został zahamowany. Zjednoczenie nie weszło w życie. Dla oceny motywów tego zahamowania nie jest istotne, czy i kiedy Zjednoczenie wejdzie w życie: istotny jest sam fakt zahamowania, to że w ogóle ma ono miejsce. Fakt zahamowania — dla wszystkich niezrozumiałego, przez nikogo publicznie nieuzasadnionego — świadczy o istnieniu pewnych *intencji:* o tym, że są pewne czynniki, szukające sposobu, aby ukształtować dalszy bieg sprawy nie na linii logicznego jej rozwoju, lecz w sposób odmienny, sympatyczny owym czynnikom. Powstaje obraz sytuacji, w której zamknięta grupa broni się przed ,,wtargnięciem'' *outsider'*ów. Waga czynnika personalnego jaskrawo tu się zaznacza — bez powiązania z potrzebami sprawy zasadniczej. Nad polityką emigracyjną, która zaczęła się od sławetnej umowy Raczkiewicz-Sikorski, ciąży sprawa osób. Na początku były personalia, dziś są personalia, w końcu będzie przegrana sprawa, myśli sobie zacny Jaś Emigracyjny, naprawdę pragnący zjednoczenia. To wszystko robi wrażenie, jakby cała ta ,,polityka'' emigracyjna była jedynie okazją do porachunków międzypartyjnych i personalnych. Ostatnio ze szczególną wyrazistością zarysowało się oblicze partii O.P.P. (Otoczenie Pana Prezydenta). Towarzyszą temu i inne zjawiska, ilustrujące już nawet nie politykę sitwy, ale małych jej odprysków.

Wybory do Rady Jedności Narodowej mają być źródłem takiej tylko ilości mandatów, aby członkowie, *nie*pochodzący z wyborów, mieli przewagę. Nic nie uzasadnia takiej struktury Rady. Przeciwnie: jeżeli się chce naprawdę ,,zdemokratyzować''

system polityczny emigracji, *to sto procent* członków Rady powinno pochodzić z wyborów. Jeżeli się twierdzi, że przekrój społeczno-polityczny emigracji jest odbiciem struktury społeczeństwa w kraju, to wynika z tego uzasadnienie dla oparcia Rady *całkowicie* na wyborach. Jeżeli na galówkach twierdzi się, że emigracja wykazała dojrzałość polityczną, to dlaczego uważa się, że Rada powinna mieć głos tylko doradczy, Dlaczego partie mają wskazywać kandydatów? Przecież jeżeli *naprawdę* mają zwolenników w społeczeństwie emigracyjnym, to ujawni się to w wyborach także przy założeniu, że każda, licząca np. 100 czy 300 osób, grupa niepartyjna miałaby prawo wystawiania kandydatów? I wreszcie: jeżeli technicznie jest możliwe zorganizowanie częściowych wyborów, to również jest możliwe zorganizowanie pełnych wyborów. Niezorganizowanie wyborów na podstawie, gwarantującej przewagę ludziom z wyboru, jest wyrazem zakłamania demokratycznego, wyrazem obawy, że wyborcy mogą usunąć starych rządców i wprowadzić nowych.

Podobne myśli o niezasadniczości postępowania pewnych czynników powstają również w związku z niechęcią ich do przeniesienia rządu z Anglii do Stanów Zjednoczonych. Tam, oczywiście, jest jego miejsce w obecnym układzie stosunków politycznych. Ale ,,góra polityczna'' jest niechętna myślom o przeprowadzce za ocean. Już się tu zadomowili, wolą kontynuować walkę o Polskę w swoich biurach londyńskich, choć bez wątpienia teren amerykański byłby dla pracy politycznej lepszy. Jak widzimy, mistycyzm koncepcji państwa na wygnaniu nie przeszkadza całkiem realnemu podchodzeniu do pewnych przyzwyczajeń osobistych.



Smutne są prawdy o poziomie politycznym wielu odgórnych czynników naszej emigracji. Żadna emigracja wschodnio-europejska nie żyje tak w świecie złudzeń jak emigracja polska. Na terenie innych emigracji nie ma tylu chorobowych zjawisk politycznych co na terenie emigracji polskiej. I żadna inna emigracja nie prowadzi tak namiętnych walk o NIC, wystawiając na szwank WSZYSTKO. Tych faktów nie przekreśla podpisanie bezdusznego Aktu Zjednoczenia.

Z ujemnej oceny zjednoczenia w chwili jego powstania nie wynika jednak, że Zjednoczenie musi w przyszłości pozostać jałowe. Rzeczywista rola zjednoczenia zależeć będzie przede wszystkim od ludzi, którzy zostaną powołani do kierownictwa politycznego. Jeżeli będą to ludzie zdolni do zerwania z formaliami i personaliami, które charakteryzowały dotychczasowy legalizm, jeżeli tchną oni w ramy tego ,,źle urodzonego'' zjednoczenia myśl twórczą, wtedy — i tylko wtedy — zjednoczenie będzie oznaczało walny krok naprzód w pracy niepodległościowej. Natychmiastowe wejście w życie zjednoczenia przez zamianowanie generała Sosnkowskiego Następcą Prezydenta jest z pewnością po-

stulatem znakomitej większości Polaków na emigracji. Stosunek społeczności emigracyjnej do przyszłego Rządu Jedności Narodowej może i powinien zależeć od jednego tylko czynnika, od rzeczowej oceny wartości pracy politycznej, którą Rząd ten rozwinie.



Wyspiański w WYZWOLENIU: ,,Na co wam zgoda potrzebna? Jedynie niezgoda z was co jeszcze wytwarza, z was, którzy jesteście niczym, niczym, niczym... Wszyscy są przewidujący, zgadują, poznali, pogłębili duszę narodową i już ją wzięli dla siebie, już ona ich i dla nich. Niech żyje partia!''

Stanisław ZARZEWSKI

Zaproszenie do inspiracji

James Burnham w swej najnowszej książce pt. *The Web of Subversion — Underground Networks in the U.S. Government* wylicza ponad pięćdziesiąt kluczowych urzędów amerykańskich które zostały objęte siecią penetracji komunistycznej.

Był moment — stwierdza Burnham — kiedy Alger Hiss, jako dyrektor Urzędu dla Spraw Politycznych Specjalnej Wagi, oraz Harry White jako podsekretarz stanu mieli dostęp do najtajniejszych dokumentów oraz do wszystkich informacji jakimi dysponował rząd Stanów Zjednoczonych. Wówczas to — szef i głowa amerykańskiego podziemia komunistycznego J. Peters powiedział Chambers'owi: ,,Nawet w Niemczech za czasów republiki weimarskiej Partia nie miała tego — co my dziś mamy tu!''

Przed pierwszą wojną światową choć nie brakowało również głośnych szpiegowskich afer to jednak praca kontrwywiadu była niepomiernie bardziej prosta niż dziś. Istniał bowiem właściwie tylko jeden klasyczny motyw, dla którego obywatel danego państwa decydował się na zdradę na korzyść wrogiego państwa. Tym motywem były pieniądze. Żadnemu pułkownikowi austriackiemu nie przyszło by na myśl dostarczać kopii planów mobilizacyjnych agentom carskiej Rosji z pobudek... moralno-ideologicznych. Szpiegostwo przed pierwszą wojną światową to był ,,business''. Z chwilą jednak gdy cały problem przesunął się na płaszczyznę ideologiczną szpiegostwo nabrało innych cech i innego charakteru.

Wrogiem są komuniści. Ale kto jest komunistą? Zarówno Chambers jak i Burnham przytaczają mnóstwo przykładów,

które wskazują, że wielokrotnie nieobliczalne szkody powodowali ludzie, którzy nie byli ani członkami partii komunistycznej, ani nawet nie mieli wyraźnych powiązań z komunistami. Ludzie ci, zwykle o liberalno-postępowych poglądach — zajmując w danym okresie ważne stanowiska rządowe — ulegali w dobrej wierze inspiracji komunistycznej i z przekonania pobierali decyzje, które (jak się później okazało) służyły interesom Sowietów a były katastrofalne w skutkach dla interesów amerykańskich.

W stosunku do takich ludzi kontrwywiad jest całkowicie bezsilny. I wydaje mi się, że ta grupa ludzi, a nie partyjni komuniści czy łatwi do odszyfrowania ,,współ-pasażerowie'', stanowią zarówno największe niebezpieczeństwo jak i najtrudniejszy problem dla kontrwywiadu.

Zawsze można wyśledzić a następnie aresztować nawet wysokiego urzędnika, który przekazuje tajne informacje agentom obcego mocarstwa. Ale kontrwywiad jest bezsilny wobec wysokiego urzędnika, który pod wpływem obcej inspiracji pobiera katastrofalne w następstwach decyzje polityczne. A cóż — jeżeli owym wysokim urzędnikiem jest prezydent? Gdzież w takich wypadkach kończy się odpowiedzialność kontrwywiadu za bezpieczeństwo państwa?

Istotna wartość (dla Sowietów) Algera Hissa i wszystkich innych komunistów, krypto-komunistów, ,,fellow-traveller'ów'', sympatyków itp. którzy zdołali przeniknąć w najbliższe otoczenie prezydenta Roosevelta polegała nie na tym, że przekazywali informacje, lecz, że doprowadzili do Jałty i do bankructwa polityki amerykańskiej w Chinach.

Działy się rzeczy niewytłumaczalne. Whittaker Chambers swoje pierwsze zeznania złożył w dniu 2 września 1939 roku a więc na sześć lat przed Jałtą. Ówczesne zeznania Chambersa, które podawały zarys organizacji komunistycznej agentury w St. Zjednoczonych z wskazaniem jej głównych ,,bohaterów'' — zostały własnoręcznie spisane przez podsekretarza stanu Adolfa A. Berle, odpowiedzialnego w roku 1939 za ,,security''. Berle zakomunikował natychmiast treść sensacyjnych zeznań Chambersa Rooseveltowi — lecz prezydent go wyśmiał! Berle zachował swój ówczesny raport, który wypłynął na światło dzienne dopiero w dziesięć lat później w procesie Hissa.

Weźmy inny przykład.

As agentury sowieckiej Nr 2, Harry White, najbliższy współpracownik i prawa ręka sekretarza stanu Morgenthaua, w drugiej połowie 1941 roku zaczął nagle przejawiać ogromne zainteresowanie polityką japońską. W dniu 17 listopada 1941 White przedłożył Morgenthauowi memorandum zatytułowane: ,,Sugestie w sprawie nowego podejścia do zagadnienia japońskiego w celu wyeliminowania politycznego napięcia jakie istnieje pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Japonią. W owym memorandum White proponował by rząd amerykański zażądał by Japonia zrzekła się wszystkich swoich nabytków terytorialnych i zrezygnowała ze wszystkich swoich aspiracji wzamian za... kre-

dyty handlowe bliżej nieokreślone. Następnego dnia, to jest 18 listopada Morgenthau przedłożył prezydentowi memorandum White'a jako swój własny projekt, który podpisał swoim własnym imieniem i nazwiskiem. 26 listopada wystosowano znane 10-ciopunktowe ultimatum do Japonii, które we wszystkich zasadniczych punktach był kopią memorandum White'a. Krok ten oznaczał zamknięcie wszelkich negocjacji i rozmów. Wojna od tej daty była nieunikniona i istotnie wybuchła w jedenaście dni później.

W sierpniu 1945 roku Elizabeth Bentley, która na równi z Chambersem położyła wielkie zasługi w zdemaskowaniu sowieckiej agentury w Stanach Zjednoczonych — powiadomiła F.B.I. o szpiegowskiej i dywersyjnej działalności White'a. F.B.I. posiadało już uprzednio informacje z innych źródeł dotyczące White'a i w grudniu 1945 roku sporządzono tajne memorandum w sprawie White'a i innych wysoko postawionych agentów. Treść tego memorandum została urzędowo zakomunikowana wysokim urzędnikom we wszystkich departamentach rządu Stanów Zjednoczonych. Cóż kontrwywiad mógł zrobić więcej? Ani jednak zeznania Elizabeth Bentley, ani raporty F.B.I. nie wpłynęły ujemnie na dalszą karierę White'a. Jedno wysokie stanowisko zamieniał na inne jeszcze wyższe, jeszcze bardziej odpowiedzialne, aż dopiero w pełne dwa lata później zrezygnował sam ze stanowiska naczelnego dyrektora ,,International Monetary Fund''.

Na przykładzie White'a można śledzić działanie najpotężniejszej broni dywersyjnej Sowietów jaką jest inspiracja. Oczywiście inspiracja wydaje czasem owoce dopiero po miesiącach, a nawet dopiero po latach. Alger Hiss nie wyskoczył w Jałcie jak Minerwa z głowy Jowisza. Jeszcze w okresie działań wojennych w departamencie stanu utworzono Urząd Spraw Politycznych Specjalnej Wagi. Temu urzędowi powierzono opracowanie planów powojennej polityki amerykańskiej oraz studium nad przyszłą organizacją O.N.Z. Dyrektorem tego światowego biura planowania został Alger Hiss. Tenże Hiss był głównym organizatorem konferencji w Dumbarton Oaks na której przedstawiciele Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Z.S.S.R. wypracowali pierwszy, ramowy plan powojennego świata. Hiss był nie tylko tym, który przygotował konferencję w Dumbarton Oaks, lecz w czasie trwania konferencji był członkiem komitetu, który ustalał agendę obrad, był generalnym sekretarzem delegacji amerykańskiej, urzędującym sekretarzem konferencji i wreszcie członkiem komitetu, który ustalał ostateczną redakcję wszystkich dokumentów politycznych. Krótko: Hiss był jedno-osobowym komitetem, który skupił w swych rękach całość inicjatywy i decyzji.

W rok później odbyła się konferencja w Jałcie. Dyrektor Urzędu dla Spraw Politycznych Specjalnej Wagi był oczywiście tym na którego barki spadł cały ciężar przygotowania tej konferencji i zapewnienia jej sukcesu. Hiss brał udział w konferencji

jałtańskiej z tytułem specjalnego doradcy politycznego prezydenta i siedział przy stole obrad bezpośrednio obok Roosevelta. W sensie politycznym był tym, który konferencję przygotował, wyreżyserował i poprowadził.

W tymże pamiętnym dla nas 1945 roku, na Konferencji w San Francisco powołano formalnie do życia Organizację Narodów Zjednoczonych. I tym razem ciężar całej odpowiedzialności za zorganizowanie tej imprezy spadł na barki asa Nr 1 sowieckiej agentury. Hiss został generalnym sekretarzem komitetu organizacyjnego a w czasie trwania obrad był szefem międzynarodowego sekretariatu konferencji. A gdy konferencja dobiegła kresu — Alger Hiss, duma Partii, przeżył swój wielki triumf. Oryginał Karty Narodów Zjednoczonych przewiózł osobiście z San Francisco do Waszyngtonu.

◆

Książka Burnhama niesie z sobą jedno poważne niebezpieczeństwo. Czytelnik widzi jak na dłoni odkrytą mapę komunistycznego podziemia, śledzi subtelne powiązania komórek szpiegowskich, odkrywa psychologiczny mechanizm inspiracji i... doczytawszy do końca pasjonującą ,,story'' zamyka książkę z poczuciem ,,Happy End'u''. Wszystko dobrze się skończyło — szpiegów wyśledzono, wykryto i osadzono za kratkami — jednym słowem aferę zlikwidowano.

W rzeczywistości, historia opowiedziana przez Burnhama nie ma ,,Happy End'u''. Zdemaskowanie Hissa — rewelacje Chambersa i Elizabeth Bentley były niewątpliwie wielkim ciosem dla komunistycznego podziemia w Stanach Zjednoczonych, niemniej, byłoby naiwnością sądzić, że podziemie zostało w całości i bez reszty zlikwidowane. Podziemie komunistyczne istnieje nadal tylko przeorganizowane jeszcze trudniejsze do wykrycia i do zwalczenia.

Od kilku lat odbywa się na Zachodzie, a w szczególności w St. Zjednoczonych olbrzymi proces odbronzowienia Sowietów. Setki książek, dokumentów, pamiętników, relacji naocznych świadków, które w roku 1945 nie znalazłyby anglosaskiego nakładcy nagle doczekały się koniunktury. Książki, prasa, radio, telewizja, procesy, przesłuchiwania senackich komisji — tłumaczą każdemu, kto ma uszy do słuchania a mózg do myślenia — czym jest komunizm i czym są Sowiety.

Jakież są rezultaty tej akcji?

Na opinię tzw. szerokich mas w Ameryce ów proces uświadomienia wywarł niewątpliwie zbawienny wpływ. Ale na aktyw podziemia komunistycznego nie wywarł najmniejszego wrażenia.

Czy to będzie nowy intelektualny periodyk jak np. ,,Encounter'', czy nowa impreza Kongresu Wolności Kultury — czy jeszcze jedna deklaracja w sprawie wolności dla ujarzmionych narodów — zawsze i nieodmiennie pojawiają się te same nazwiska antykomunistów, którzy odeszli. A więc oczywiście Koestler, Spen-

der, Silone, rzadziej Douglas Hyde. Nazwiska tych anty-komunistycznych ,,nieśmiertelnych'' powtarzają się na deklaracjach, rezolucjach, protestach, afiszach, ,,leaflet'ach'' z nużącą monotonią.

— Dlaczego?

Odpowiedź jest prosta: innych nie ma.

Ów proces olbrzymiego przeobrażenia i reorientacji politycznej, który dzieli epokę Algera Hissa od epoki senatora MacCarthy'ego — nie spowodował nowych, wielkich ,,nawróceń''. Wybitniejszych komunistów, którzy w tym okresie odeszli, można dosłownie policzyć na palcach jednej ręki. Z książki Burnhama wynika bezspornie, że — jak dotąd — z potężnego podziemia komunistycznego w Ameryce odeszło dobrowolnie tylko dwóch wybitnych członków i tylko tych dwoje zdecydowało się wyjawić całą prawdę. Są to W. Chambers i E. Bentley. Nie należy się okłamywać. Sukcesy antykomunistycznej akcji i propagandy, mierzone ilością ,,nawróceń'', są minimalne, żeby nie powiedzieć — żadne.

Dla ścisłości należy dodać, że ci którzy porzucają partię komunistyczną czynią to dlatego, iż stracili wiarę w moralną słuszność założeń komunizmu. Nie oznacza to jednak, że równocześnie odzyskali wiarę w ,,misję'' Zachodu. Chambers pisze wyraźnie: ,,Opuszczamy świat, który zwycięża — dla świata który przegrywa. Chcę przez to powiedzieć, że w rewolucyjnym konflikcie dwudziestego wieku świadomie wybrałem stronę, która prawdopodobnie poniesie klęskę. Niczego dotąd nie zaobserwowałem co kazałoby mi zwątpić w powyższą przepowiednię''. (,,Witness'' — str. 24.)

Jeżeli Chambers, który nie tylko odszedł od komunizmu ale podjął przeciwko niemu nieubłaganą walkę, mimo to, nadal wierzy w światowe zwycięstwo komunizmu — czegóż można oczekiwać od innych?

Pogląd Chambersa podziela wielu byłych komunistów. Z dostępnych dziś materiałów wynika jasno, że jedną z najbardziej przekonywujących ,,lekcji'' w długim procesie szkolenia partyjnego — jest marksistowska krytyka Zachodu. Urobiony i wykształcony komunista może w pewnym okresie zwątpić w moralną wartość doktryny, nie podważy to jednak jego totalnej niewiary w Zachód.

W książce Weissberga-Cybulskiego opisana jest dramatyczna rozmowa autora z jego dawnym przyjacielem partyjnym, komunistą angielskim. Anglik wysłuchał relacji Cybulskiego o wielkiej czystce, o obozach, torturach, egzekucjach, zdradach a w końcu rozłożył bezradnie ręce i zapytał:

— Jeżeli nie komunizm — to co?

Alger Hiss w czasie ostatniej rozmowy z Chambersem wysłuchał wstrząsającej argumentacji przyjaciela, rozpłakał się, ale jego odpowiedź — choć sformułowana w innych słowach oznaczała również: — Jeżeli nie komunizm — to co?

Nie ulega wątpliwości, że dziś jednym z zasadniczych elementów, który cementuje jedność podziemia komunistycznego jest niewiara w Zachód, a w konsekwencji przeświadczenie, że w ostatecznym rezultacie zwycięzcami będą komuniści. Wielu komunistów, którzy przeżywają wewnętrzny kryzys nie wstępują w ślady Chambersa — trzeba bowiem heroizmu by dobrowolnie przejść na stronę, której klęskę uważa się za pewnik.

Polityczny wniosek jaki należy wysnuć z tych rozważań jest prosty. Na ludzi wywiera wpływ nie propaganda lecz polityka (fakty). Jak długo polityka Zachodu będzie ustępliwa, mętna, defensywna — tak długo podziemie komunistyczne trwać będzie w przekonaniu, iż przynależy do świata przyszłych zwycięzców. Rozpatrywana pod tym kątem widzenia polityka ,,containment'', ,,ko-egzystencji'', przyjaznej wymiany handlowej itp. jest potężną *sui generis* propagandą pro-komunistyczną, utwierdza bowiem komunistów w przekonaniu, że Zachód nie chce ani wojny, ani zwycięstwa bez wojny. Wszystkie nasze nadzieje opieramy na naiwnej wierze, że Sowiety również zrezygnują ze zwycięstwa z lęku przed wojną i bombą wodorową. Każdy partyjny wyszkolony komunista wie doskonale, że to jest nonsens. Sowiety — jeżeli to będzie możliwe zrezygnują oczywiście z wojny — nie zrezygnują jednak nigdy ze zwycięstwa.

Decydujący cios podziemiu komunistycznemu może zadać tylko polityka a nie propaganda, czy kontrwywiad. Bo tylko polityką Zachód może przekonać swoich komunistów, że zdecydowany jest zwyciężyć. Jak długo komuniści będą uważali, że przejście na naszą stronę jest równoznaczne z przejściem do obozu, który przegrywa — tak długo ,,nawrócenia'' będą nieliczne i hamletyczne.

Komuniści nie są utopistami. Przeciwnie — są wielkimi realistami. Z chwilą kiedy naszą własną polityką przestaniemy ich przekonywać, że racja jest po ich stronie — komunistyczne podziemie zacznie gwałtownie topnieć.



Ostatni rozdział książki Burnhama pt. ,,What is to be done?'' (Co należy zrobić?) — jest najkrótszy i najsłabszy. O ile diagnoza jest wspaniała o tyle leczenie proponowane przez Burnhama jest niezmiernie ubogie i ogranicza się do propozycji drobnych zmian w obowiązującym ustawodawstwie amerykańskim.

Osobiście miałem nadzieję, że autor odważnej książki ,,Containment or Liberation'' — postawi sprawę jasno. Niestety tego nie zrobił. Przypuszczałem, że Burnham stwierdzi, iż wojna przeciw podziemnemu aparatowi komunistycznemu nie jest amerykańską wojną domową i wskutek tego w ramach polityki wewnętrznej nie można jej skutecznie ani rozegrać ani wygrać. Na takie stwierdzenie Burnham się nie zdobył.

Jest rzeczą oczywistą, że ustrój państwowy jaki znamy na Zachodzie — jak długo pragnie pozostać demokracją — ma og-

raniczone możliwości zwalczania komunizmu zespołem środków polityki wewnętrznej. Ale nawet gdyby się przyjęło, że ustroje demokratyczne pod ciśnieniem niebezpieczeństwa sowieckiego podejmą daleko idące reformy ustawodawcze a nawet ustrojowe — to i tak głównym i decydującym teatrem operacyjnym w walce przeciwko komunizmowi będzie polityka zagraniczna a nie polityka wewnętrzna.

Na przykładach White'a i Hissa widać jasno, że najwyższą i najbardziej cenną (dla Sowietów) formą infiltracji komunistycznej jest inspiracja. Szpieg sowiecki może wykraść tajny plan operacyjny X. Jeżeli jednak kontrwywiad zdoła na czas wykryć tę kradzież, plan X można zawsze zastąpić planem Y. Natomiast inspiracja — jeżeli uwieńczona jest sukcesem powoduje klęskę nieodwracalną. Stalin przy stole obrad w Jałcie, patrząc na siedzącego po prawicy prezydenta Roosevelta, Algera Hissa — mógł sobie z dumą myśleć, że w znacznym stopniu on, Stalin, formułuje politykę zagraniczną Stanów Zjednoczonych. Ileż razy Stalin w czasie rozmów z Prezydentem musiał słyszeć echo własnych instrukcji udzielanych sowieckiemu aparatowi w Waszyngtonie, który z kolei instruował specjalnego doradcę politycznego prezydenta Mr. Alger Hissa. Widowisko jedyne w swoim rodzaju.

Należy zadać zasadnicze pytanie : w jakim klimacie politycznym inspiracja jest możliwa ? W moim przekonaniu wszystkie typy polityki ,,containment'' są formalnym zaproszeniem do inspiracji. Wszystkie polityki półśrodków, które lękliwie (i rzadko) mówią o ,,liberation'', a w praktyce hołdują duchowi ,,containment'' stanowią idealną i naturalną wylęgarnię dla wszelkich form inspiracji.

(Zdaję sobie sprawę, że pisarze polityczni typu p. Samuela L. Sharpa oskarżą mnie (przy sposobności) że i tym razem rozpatruję politykę amerykańską z grzbietu klasycznego ,,słonia ze Sprawy Polskiej''. To znaczy, że całość mojego rozumowania sprowadzam do tezy polskiej polityki niepodległościowej a więc do polityki wyzwolenia. Jakkolwiek polska polityka niepodległościowa jest i zawsze pozostanie głównym przedmiotem moich zainteresowań — to jednak, w tym szczególnym wypadku, mój pogląd na politykę amerykańską byłby identyczny, gdyby Polska leżała... w Kanadzie i cieszyła się całkowitą wolnością).

Inspiracja musi kwitnąć wszędzie tam, gdzie cele polityczne nie są jasno i bezwzględnie zdefiniowane. Weźmy przykład pierwszy z brzegu. Dentysta wojskowy, który oczywiście nie ma żadnych możliwości działania politycznego, zostaje z trzaskiem usunięty z wojska bo kiedyś podobno i rzekomo należał do partii komunistycznej. Ponieważ w Stanach Zjednoczonych (ale tylko w obrębie granic państwowych) prowadzi się (i słusznie!) totalną ofensywę przeciwko podziemnemu aparatowi komunistycznemu — każdy który ma choćby najdalsze powiązania z komunistami uważany jest za ,,security risk'' i w konsekwencji zwalnia się go ze stanowiska, choćby był pionkiem bez znaczenia.

Tak wygląda sprawa na odcinku polityki wewnętrznej. Sceneria ulega gwałtownej zmianie jeżeli przeniesiemy się o piętro wyżej — na odcinek polityki zagranicznej.

Na wewnątrz biada dentyście, który 13 lat temu, mając lat 18, przez trzy miesiące był członkiem partii komunistycznej. Ale jeżeli rodzony brat tego dentysty, który nigdy nie był partyjnym komunistą i jest tylko intelektualnym ,,postępowcem'' napisze książkę w której głosi tezę, że Europę wschodnią winno podarować się Sowietom — wszystko jest w idealnym porządku ponieważ cały problem dotyczy polityki zagranicznej. Dentysta, ponieważ trzynaście lat temu był komunistą, dziś nie może rekrutom wyrywać zębów bo stanowi ,,security risk'' — ale jego brat jest szacownym profesorem takiej czy innej uczelni i wolno mu pisać co mu się żywnie podoba. Jego książka może być produktem świadomej inspiracji sowieckiej — nie profesor zostanie jednak uznany za ,,security risk'', tylko jego brat ów nieszczęsny dentysta.

W tym miejscu subtelni Czytelnicy podniosą wrzawę, że godzę w fundament demokracji, to jest w wolność słowa pisanego i mówionego.

Otóż trzeba stwierdzić, że każda walka pociąga za sobą ograniczenia wolności, a między innymi i wolności słowa. Nie wyobrażam sobie by ,,Time'' czy detroicki ,,Dziennik Polski'' wydrukował artykuł, który byłby pochwałą Malenkowa, a przy okazji udowadniał, że jedynym rozsądnym poglądem na świat jest pogląd stalinowsko-marksistowski. Nie istnieje więc już dziś w Ameryce absolutna wolność słowa i nikogo to nie razi. W Anglii, w czasie wojny istniała wolność słowa, ale nikt nie mógł napisać artykułu w którym wychwalałby Goebbelsa czy Goeringa. Nikt się jednak przeciw temu nie buntował, bo prowadziliśmy wojnę przeciw hitlerowskim Niemcom.

Stany Zjednoczone w ramach swych granic państwowych prowadzą zdecydowaną i jasno określoną walkę przeciwko podziemnemu komunizmowi i wskutek tego przyjęto ograniczenia wolności słowa, które są logiczną konsekwencją podjętej walki.

Jeżeli jednak chodzi o politykę zagraniczną — panujący pogląd, choć w zasadzie antykomunistyczny — nie jest jasno określony, jest pełen sprzeczności i wskutek tego istnieje olbrzymi margines umożliwiający już nie swobodną, lecz wręcz dowolną interpretację. W ramach tego politycznego ,,vacuum'' jeden dobry Amerykanin może głosić politykę ,,liberation'' a drugi, uchodzący za niemniej dobrego Amerykanina, może propagować politykę pogrzebania Europy Wschodniej, ,,ko-egzystencji'' ze Związkiem Sowieckim itp. Tego rodzaju układ stwarza oczywiście idealny klimat dla inspiracji sowieckiej.

Należy trzeźwo zdać sobie sprawę z faktu, że całkowita wolność słowa jest możliwa tylko w kraju całkowicie neutralnym. W kraju, który prowadzi walkę i to walkę w sensie ideologicznym, foralnym i politycznym — wolność słowa i działania ogra-

niczona jest nie cenzurą, czy zakazami, lecz po prostu... linią zdrady.

Dopóki Stany Zjednoczone nie określą jasno i wyraźnie celów swej polityki zagranicznej, dopóki nie staną twardo i konsekwentnie na stanowisku, że celem do którego winien dążyć wolny świat pod przywództwem Stanów Zjednoczonych — jest zwycięstwo wolności i demokracji w skali światowej a nie ,,containment'', czy ,,ko-egzystencja'' — dopóty w zagranicznym aparacie amerykańskim będzie wciąż miejsce na sowiecką inspirację, choć żołnierzom amerykańskim wyrywać będą zęby dentyści o nieposzlakowanej przeszłości politycznej.

Podziemia komunistycznego w Stanach Zjednoczonych nie można zlikwidować wyłącznie zespołem środków polityki wewnętrznej, choćby akcję przeciwko komunistom prowadziło dziesięciu senatorów McCarthy'ch, ponieważ trzon komunistycznej agentury w Ameryce tkwi w sferze polityki zagranicznej, to jest w ambasadzie sowieckiej i w ambasadach satelickich.

By skutecznie odciąć się od źródeł inspiracji sowieckiej należy doktrynę amerykańskiej polityki zagranicznej zdefiniować w ten sposób, by nie było możliwe być równocześnie pro-sowieckim i pro-amerykańskim. Dziś, w dziedzinie polityki zagranicznej — przy pewnej ilości sprytu — jest to wciąż jeszcze możliwe.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kraj

Po Kongresie Partii

Kwietniowe słońce spóźnionej w tym roku wiosny skąpo obdziela ciepłem kilku starych emerytów, niewątpliwie pamiętających jeszcze czasy świetności przedwojennej monarchii. Ich twarze zakrywa szara płachta dziennika, i tylko od czasu do czasu, gdy ręka podtrzymująca gazetę sięga po filiżankę kawy, papier opada i ukazuje na chwilę ich zobojętniałe oczy, które oglądały już zbyt wiele katastrof tego kraju i miasta, niegdyś dumnej stolicy mocarstwa, potem już tylko małej republiczki i w końcu wielkoniemieckiego Gau. Dziś, w dziewięć lat po zakończeniu walk, Wiedeń ciągle jeszcze ogląda mundury czterech armii okupacyjnych.

Patrząc na ludzi, zasiadających na tarasie kawiarni, można uwierzyć, że ostatni raz byli naprawdę szczęśliwi przed 40-ma laty, na krótko przed wybuchem kataklizmu, który miał bezpowrotnie zdruzgotać ich świat. Wtedy warto było jeszcze oderwać oczy od gazety, aby śledzić poruszenia barwnego tłumu, zalegającego ulicę i długo odprowadzać wzrokiem, przechodzące, apetycznie tłuściutkie dziewczęta. Dzisiaj, jeśli przerywają czytanie, to tylko po to, aby sięgnąć po rogalik z masłem. Czy warto bowiem podnosić oczy znad gazety, aby ujrzeć po przeciwnej stronie ulicy ohydne oczodoły okien wypalonych kamienic?

Siedzą więc odgrodzeni od obcej im rzeczywistości prostokątem gazety, której tytuł tyle razy zmieniał się w ciągu ostatnich, nieszczęsnych lat czterdziestu. Biedni, zrezygnowani, skazani na najsmutniejszą z emigracji — dobrowolne wyobcowanie się z własnego narodu.

Człowiek, który siedzi przede mną, jest także emigrantem, lecz nie całkiem dobrowolnego pokroju i bardzo, bardzo świeżej daty. Od kraju dzieli go w tej chwili kilkaset kilometrów przestrzeni. Gdy zaczyna mówić o sprawach i ludziach tamtejszych

czyni to w taki sposób, jakby przekreślał fakt tego oddalenia i czuł się przeniesiony w to życie, które było jego udziałem jeszcze wczoraj.



,,...ostatni kongres partii wykazał, że najwyższe gremium partyjne jest ustabilizowane, przynajmniej w porównaniu z innymi demokracjami ludowymi, a także i Sowietami. Od roku 1948 politbiuro przetrwało w składzie niezmienionym (jeśli pominąć fakt ustąpienia Świątkowskiego w roku 1950). Drugi kongres nie wprowadził tu żadnych istotnych zmian, trudno bowiem uważać za takie usunięcie Matuszewskiego i zdegradowanie Rapackiego do rangi zastępcy członka. Nie jest zresztą przypadkiem, że dokonane przesunięcia dotyczą byłych członków reżymowego P.P.S.'u. Obaj wymienieni, jak i szereg byłych pepeesowskich członków komitetu centralnego odgrywało po roku 1948 we władzach P.Z.P.R. rolę mało czcigodnego reliktu. Względy, które na kongresie ,,połączeniowym'' zadecydowały o ich powołaniu do kierowniczej grupy przestały dzisiaj odgrywać jakąkolwiek rolę. Nic więc dziwnego, że większość z nich znalazła się poza nawiasem. Tacy ludzie jak Szwalbe czy Hochfeld nie są już dziś nikomu potrzebni. Ci, którzy pozostali na stanowiskach są — z Cyrankiewiczem na czele — reprezentantami najwygodniejszego dla komunistów typu ambitnych karierowiczów, pozbawionych skrupułów i kręgosłupa. Do grupy tej zaliczyć by można ministrów rządu i członków K.C.: Baranowskiego, Dąbrowskiego i Dietricha''.

,,...fakt, iż politbiuro przetrwało do chwili obecnej bez żadnych prawie zmian nie oznacza oczywiście, że w obrębie tego gremium nie ma żadnych starć czy nawet może walk. Te starcia, czy walki nie doprowadzają jednak do ostatecznej konsekwencji, jaką jest pokonanie przeciwnika i jego zniszczenie. Ich odgłosy nie przedostają się wcale na zewnątrz. To wszystko pozwala sądzić, że ścieranie się poglądów i ambicji w obrębie politbiura nie przybiera form tak poważnych, jak to utrzymują niektórzy zachodni obserwatorzy życia politycznego w kraju''.

,,...komuniści rosyjscy wprowadzili w Sowietach i przekazali reżymom krajów satelickich szereg orientalnych i bardzo zabawnych na gruncie europejskim obyczajów, które układają się w swoisty rytuał, stosowany przy wszelkich wystąpieniach publicznych kierowników partii i rządu. Z wielkości zamieszczonego w organie partyjnym zdjęcia, z miejsca zajmowanego na trybunie honorowej przy okazji jakiegoś obchodu, z szeregu innych podobnych objawów dość łatwo można osądzić, czy linia wykreślająca przebieg kariery danego dygnitarza przejawia tendencje wzrostu, czy spadku. W swoim czasie niemało szeptanych komentarzy poświęcono faktowi, że Bierut przemawiał jako pierwszy z zaproszonych gości na ostatnim kongresie partyjnym

w Moskwie z listopada 1952 roku. W polskich kołach reżymowych uważano, że jest to dowodem uznania roli Polski, jako kluczowego państwa satelickiego w Europie. Nową pożywkę, tym mile podłechtywanym ambicyjkom reżymu, dał fragment przemówienia Chruszczowa, na kongresie partyjnym w Warszawie, gdzie jednym tchem wymienił on Polskę obok Związku Sowieckiego i Republiki Chińskiej, podczas gdy inne kraje demokracji ludowych figurowały w rubryce ,,pozostali''. Miało być to rzekomo coś więcej niż zwykły akt kurtuazji pod adresem gospodarzy — organizatorów kongresu P.Z.P.R.''.

,,...upadek Berii zasygnalizowany został publiczności sowieckiej i światu przez fakt jego nieobecności na galowym przedstawieniu jednego z teatrów moskiewskich. Był to jeden z najbardziej charakterystycznych przejawów owej swoistej reżyserii, która nawet likwidację jednego z rządzących państwem ludzi awizuje drogą pośrednią. Jednak doszukiwanie się w każdym fakcie nieobecności dostojnika na jakimś zebraniu czy obchodzie, zapowiedzi jego upadku, nie zawsze jest usprawiedliwione. W swoim czasie wiele zainteresowania poświęcano ,,odsunięciu'' od władzy Hilarego Minca, właśnie w oparciu o takie, wypróbowane przesłanki. Większości komentatorów nie był jednak znany fakt, że Minc, jest nie tylko członkiem politbiura i wicepremierem, lecz także ciężko chorym człowiekiem, że był wielokrotnie operowanym przez sowieckich specjalistów i że ten fakt dostatecznie tłumaczy jego absencje przy różnych ważnych okazjach. Wyrobiła się już cała psychoza uważania Minca za ,,skończonego'' człowieka, co posunięto w niektórych wypadkach tak daleko, że i po ostatnim kongresie głoszono jego odsunięcie, powołując się na fakt rezygnacji z przewodnictwa P.K.P.G. Mianowanie Minca pierwszym wicepremierem (ranga dotychczas w Polsce nie znana, przejęta z praktyki sowieckiej, oznacza stopień pośredni między stanowiskiem szefa rządu, a ,,zwykłym'' wicepremierem) jest chyba dość wymownym zaprzeczeniem twierdzeń o schyłku wpływów Minca''.

,,...fakt, że demokracje ludowe przejęły szereg instytucji i rytuałów politycznych od Sowietów nie oznacza jednak, że zawsze można przeprowadzać pewne analogie. Biorąc za punkt wyjścia aktualny układ personalny w Sowietach i zmiany w rządzie warszawskim po II kongresie partyjnym, jedno z pism emigracyjnych określiło Cyrankiewicza jako ,,polskiego Malenkowa'', zaś Bieruta jako ,,polskiego Chruszczowa''. Jest to oczywiście porównanie zupełnie fałszywe. Malenkow jest nadal oficjalnie, a zapewne i faktycznie rosyjskim nr 1, podczas gdy Cyrankiewicz w hierarchii oficjalnej figuruje na trzecim miejscu po Bierucie i Zawadzkim (w takiej kolejności umieszcza ich nazwiska prasa reżymowa), w rzeczywistości zaś jest zwykłym, choć bardzo ambitnym figurantem. Sekretarz partii Chruszczow wywindował się na razie dopiero na drugie miejsce, podczas gdy

prymat sekretarza partii Bieruta nie jest przez nikogo w Polsce kwestionowany. Jak widać z tego, przy podobieństwie stosowanych schematów, główną rolę odgrywają wypełniające je indywidualności ludzkie".

,,...najgłębszy wstrząs przeżyły szczyty hierarchii komunistycznej w Polsce jeszcze przed kongresem ,,połączeniowym" z grudnia 1948. Gomułka i ,,gomułkowszczyzna" nie są już dzisiaj traktowane przez reżym jako aktualne niebezpieczeństwo, zagrażające jedności partii (choć nie ulega kwestii, że pozostały niebezpieczeństwem potencjalnym). Gdyby było inaczej, grupa ta dawno zostałaby osądzona i zlikwidowana, jak to uczyniono z Rajkiem, Kostowem i Slanskym. Gomułka traktowany jest przez reżym jako rodzaj opłacanego emeryta partyjnego, który nie posiada pełnej swobody poruszania się (kto ją posiada w kraju?) i żyć musi w warunkach dość łagodnego aresztu domowego. Natomiast ludzie z bliskiego otoczenia Gomułki nie tylko przebywają na wolności, lecz zajmują nawet odpowiedzialne, choć nie kluczowe stanowiska. Wybitny np. ,,gomułkowiec", Miecz. Moczar, w czasie wojny wtyczka komunistyczna w Batalionach Chłopskich, w pierwszym okresie powojennym jeden z kacyków Bezpieki, doczekał się obecnie pełnej ,,rehabilitacji" i został powołany na zastępcę członka nowego komitetu centralnego".

,,...gwarantem utrzymania dyktowanej przez Moskwę linii partyjnej jest Bierut, który nie posiada wprawdzie formatu Gomułki, okazał się jednak znacznie od niego zręczniejszy i elastyczniejszy. Bierut wykazał dużo instynktu jeśli chodzi o odgadywanie życzeń swych mocodawców i w skromnych ramach pewnej władzy autonomicznej, pozostawionej przez Moskwę każdej z partii satelickich, stosuje pozbawioną ryzyka metodę odczekiwania reakcji centrali moskiewskiej na posunięcia kierownictw partyjnych w sąsiednich krajach satelickich. Dzięki stosowaniu tej taktyki Bierut potrafił w szeregu wypadków uniknąć angażowania się w przedsięwzięciach, które potem trzeba było anulować lub modyfikować. Klasycznym przykładem tego postępowania była reakcja Bieruta na węgierską proklamację ,,nowego kursu" polityki partyjnej. Zarówno na Węgrzech, jak i w samych Sowietach, zakres pierwotnie zamierzonej liberalizacji życia politycznego, gospodarczego i kulturalnego został po krótkim czasie znacznie zwężony. Na Węgrzech partia musiała dokonać podważającego jej prestiż odwrotu od głoszonych początkowo haseł. Bierut zaś czekał spokojnie, mimo dużej niecierpliwości i niepokoju, objawionego przez doły partyjne w Polsce, na wyklarowanie się stanowiska centrali moskiewskiej i dopiero pod koniec października ubiegłego roku na IX plenum Komitetu Centralnego wystąpił z programem, który w porównaniu z pierwszą węgierską proklamacją zawierał już tylko resztki tamtego szeroko zakrojonego programu i to tylko w odniesieniu do odcinka gospodarczego. Wydaje się, iż ta ,,rozwaga" jaką oka-

zywał zawsze Bierut jeszcze za życia Stalina, szczególnie zaś po jego śmierci, jest przyjmowana z uznaniem przez Moskwę, która woli mieć w partiach satelickich do czynienia z tchórzliwymi oportunistami, niż z ludźmi pokroju dawnego, niezłamanego jeszcze Gomułki, przejawiającego niekiedy skłonność do samodzielnych decyzji i osądów, a co gorsza z uporem obstającego przy swojej racji. Może właśnie ten rys osobowości Bieruta najlepiej tłumaczy, dlaczego góra partyjna uniknęła wstrząsów i krwawych czystek, jakie były udziałem innych partii satelickich''.

,,...interesujący jest także fakt bezkrwawego przejęcia władzy naczelnej nad wojskiem w kraju. W takiej np. Czechosłowacji każde niemal przesunięcie na stanowisku ministra Obrony Narodowej i dowódcy armii pociągało za sobą likwidację poprzednika. Poprzednik Rokossowskiego, Rola-Żymierski, korzysta natomiast ze wszystkich przywilejów jakie daje noszenie munduru marszałka, poczynając od uposażenia i auta służbowego, kończąc na obligatoryjnej willi pod Warszawą''.

,,...jednak tylko najwyższe gremium partyjne pozostało po II Kongresie w niemal niezmienionym składzie personalnym. Już w Komitecie Centralnym nastąpił szereg poważnych przesunięć, w pierwszym rzędzie na skutek wspomnianego już usunięcia ,,reliktów'', pepesowskich. Niektóre z tych zmian personalnych nie pozbawione były akcentu dramatycznego, szczególnie jeśli chodzi o ,,sektor'' kulturalny. Całkowicie odsunięty został np. Paweł Hoffman, którego działalność, jako kierownika wydziału kulturalnego K.C. wielokrotnie poddawana była ostrej krytyce góry partyjnej. Zdegradowanie Jerzego Putramenta na zastępcę członka K.C. powitane zostało w krajowych kołach literackich z uczuciem nietajonej ,,Schadenfreude'' i westchnieniem ulgi. Putrament zbyt ostentacyjnie przejawiał w ostatnich czasach skłonność traktowania swych piszących kolegów jak niedojrzałe dzieci. Korzystając z formalnego autorytetu, przysługującego członkowi Komitetu Centralnego, Putrament posługiwał się tonem nieznośnie mentorskim. Jego przysłowiowe zarozumialstwo i nieopanowanie skłaniały go do popełniania jednego z najgroźniejszych błędów, jakie popełnić można w systemie sowieckim — przecenienia siły własnej pozycji. To naiwne przeświadczenie popychało go nieraz do starć, których powinien był bardzo unikać, z ludźmi, o wpływach sięgających znacznie dalej, niż jego własne, jak np. Wanda Wasilewska. Ludzie dotychczas uzależnieni od humorów Putramenta spodziewają się, że po upokarzającej degradacji straci on dużo ze swej agresywnej ,,bojowości''.

,,...także i na średnich szczeblach partyjnych nie brak było w ostatnich miesiącach dramatycznych potknięć. Do najbardziej sensacyjnych należał upadek prokuratora Jerzego Sawickiego, prawnika wyspecjalizowanego w zagadnieniach badania zbrodni

niemieckich w Polsce. Nazwisko jego znane jest w Polsce od czasu procesu norymberskiego, na którym występował jako rzecznik oskarżenia z ramienia Polski. Przez ,,przypadek'' natrafiono podobno na kompromitujące szczegóły z jego przeszłości''.

,,...wszystkie te sprawy, dotyczące góry partyjnej i średnich funkcjonariuszy w niewielkim tylko stopniu interesują doły partyjne i samą ludność. Głównym przedmiotem zainteresowania mas jest sprawa polepszenia warunków materialnych życia. Ludzie w kraju czekają na rezultaty zapowiedzianego przez partię i rząd dążenia do podniesienia stopy życiowej. Ponieważ zapowiedzi takich nie brakło już przedtem, przyjmowane są one ze zrozumiałym sceptycyzmem. Można jednak stwierdzić, że ostatnie posunięcia góry reżymowej nie ograniczają się tylko do strony deklaratywnej, że w ślad za oświadczeniami idą pewne konkretne zarządzenia, które już w chwili obecnej przyniosły np. polepszenia sytuacji aprowizacyjnej kraju. Rzecz w tym czy nie będą one miały charakteru przejściowego i czy po krótkim okresie poprawy nie zacznie się proces wsteczny, co obserwowano już kilkakrotnie w przeszłości. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że udostępnienie każdemu pracującemu człowiekowi zaspokojenia, niezbyt wygórowanych zresztą, potrzeb, jest tym, czego ludność oczekuje i pragnie w pierwszym rzędzie. Czy oznacza to, że większość ludzi w kraju gotowa jest pogodzić się z utrzymaniem obecnego systemu w Polsce? Oczywiście, że nie, ale walka o egzystencję, o zdobycie jedzenia i ubrania, mieszkania i mebli nie pozwala co dzień myśleć o głodzie wolności i chęci pozbycia się kurateli rosyjskiej. Ogromna większość ludzi w kraju wie lub przeczuwa, że o wiele szczęśliwsza byłaby żyjąc w ustroju, pozwalającym na zaspokojenie nie tylko potrzeb materialnych, ale także szanującym wolność i godność ludzką, nie ma jednak także złudzeń co do tego, że nawet maximum wolności połączone z brakiem pracy i dachu nad głową zda się psu na budę''.

,,...większość ludzi żyjących w kraju pragnie gorąco likwidacji systemu policyjnego i kurateli moskiewskiej, ale na co dzień ma się inne kłopoty. Duży odłam ludności kraju znajduje się na dorobku. Młody chłopak, który pracuje już samodzielnie i zarabia, jak na polskie stosunki, nieźle, myśli o tym, jakby zdobyć i urządzić mieszkanie, aby móc założyć własną rodzinę. Gdy cel ten osiągnie, zaczyna bać się wszystkiego, co mogłoby mu odebrać zdobyte i zapracowane. Boi się więc wojny i zniszczeń, które musi przynieść, przesunięć granic, które by mogły zmusić go do porzucenia urządzonego domu, trwoży się o życie swych bliskich i swoje własne. Tym tłumaczy się fakt, że większość ludzi w kraju nie pragnie i boi się wojny, choć byłaby ona najpewniejszą gwarancją i najszybciej prowadzącym do celu sposobem przywrócenia wolności krajowi i ludziom. Ludność kraju

czuje się jak ów więzień, dla którego wyłamanie krat byłoby jedynym sposobem otworzenia drogi na wolność, który wie jednak doskonale, że w momencie wyłamywania kraty zawali mu się na głowę sufit celi, w której siedzi zamknięty".

„...skazana na współpracę z reżymem inteligencja nie ogranicza się do stwierdzenia tej dość przygnębiającej alternatywy: ponura rzeczywistość lub kataklizm, lecz z uporem szuka oznak bardziej zachęcających perspektyw dla kraju. Prowadzi to oczywiście do konstruowania niezmiernie optymistycznych i równie nieprzekonywujących teoryjek. Według jednej z nich śmierć Stalina i stale rosnąca obawa przed rezultatem konfliktu ze światem zachodnim skłaniają Moskwę do gruntownej zmiany dotychczasowego stosunku do państw satelickich. Dotychczas stosowane metody okazały się skuteczne, jeśli chodzi o utrzymanie satelitów w posłuszeństwie i uległości, ale rodziły nienawiść. Rządzący Rosją dobrze zdają sobie sprawę z tego, że na wypadek konfliktu zbrojnego ludność państw satelickich będzie w każdej dostępnej dla niej formie sabotować wysiłek wojenny Sowietów. Ponieważ jednak zapewnienie sobie poparcia satelitów może mieć dla Rosji podstawowe znaczenie na wypadek wojny, polityka sowiecka musi stworzyć w państwach satelickich warunki życia, w których zachowaniu i obronie ludność tych państw byłaby bezpośrednio zainteresowana. Na Kremlu utrwala się więc rzekomo przeświadczenie, że Rosja znacznie bardziej od wasali potrzebuje sojuszników i że ze zrozumienia tego gotowa jest wyciągnąć pełne konsekwencje, co oznaczać musiałoby zaniechanie eksploatacji gospodarczej oraz znaczne rozszerzenie zakresu samodzielności państw demokracji ludowych w ramach bloku sowieckiego. Głosiciele tej teorii nie wierzą zresztą sami, aby nawet za taką cenę Moskwa mogła liczyć na pełne poparcie satelitów na wypadek wojny, liczą jednak na to, że zmiana polityki sowieckiej uczyni życie ludzi za żelazną kurtyną znośniejsze. Wolno wyrazić jednak przypuszczenie, że Moskwa także zdaje sobie sprawę z tego, że nawet daleko idące koncesje nie zagwarantują jej poparcia satelitów w momencie, gdy będzie go najbardziej potrzebowała. W tym miejscu tkwi słaby punkt, przekreślający tę naiwnie pociągającą konstrukcję teoretyczną.

WIEDEŃCZYK

Czyżby likwidacja polskiego szkolnictwa?

ŚREDNIE SZKOLNICTWO ANGIELSKIE

„Education Act 1944" porządkuje i przeprowadza głębokie zmiany w szkolnictwie angielskim. Pozostawia on wprawdzie dalej „Public School", czyli szkoły średnie, internatowe, prywatne, typu naszych gimnazjów i liceów, poddając je jedynie większej kontroli państwa, wprowadza natomiast przymus uczęszczania do szkoły, do 15-go roku życia włącznie i ustala wyraźnie typy szkół.

Szkolnictwo średnie obejmuje całą młodzież od 11-go roku życia i dzieli się na trzy części:

a) *Modern School* — przeznaczone dla młodzieży nie wykazującej specjalnych zdolności. Tylko do 15-go roku życia. Program zbliżony do naszych 7 klasowych szkół z większym może uwzględnieniem przedmiotów zawodowych. Szkoły te nie dają żadnych praw. Młodzież po ich ukończeniu odchodzi do fabryk, lub kupiectwa mając możność uzupełnienia swojej wiedzy na kursach technicznych wieczorowych.

b) *Technical School* — przeznaczone dla młodzieży o zdolnościach technicznych. Są zorganizowane na dwu poziomach. Niższy, do lat 16, odpowiada naszym egzaminom czeladniczym i wyższy, do lat 18, daje możność przejścia do College'ów technicznych.

c) *Grammar School* — przeznaczone dla młodzieży najzdolniejszej. Odpowiada naszemu gimnazjum i liceum. Jedynie absolwenci tych szkół mają prawo wstępu na uniwersytet.

POWSTANIE SZKÓŁ POLSKICH

Angielska ustawa parlamentarna „o przygotowaniu i rozmieszczeniu Polaków (P. R. C. Act) przewidywała umożliwienie młodzieży polskiej, przyjeżdżającej z Palestyny, Persji, Libanu,

Indii, Meksyku i Afryki, przystosowanie się do wymogów szkolnictwa angielskiego, opanowanie języka angielskiego i możność osiągnięcia wszystkich szczebli wykształcenia, łącznie ze studiami uniwersyteckimi.

W realizacji tej ustawy powstały na terenie polskich hosteli przedszkola i szkoły powszechne oraz jedna szkoła powszechna internatowa dla sierot, w osobnych zaś pomieszczeniach wszystkie typy szkół średnich, jako szkoły internatowe. Przy Uniwersytecie Londyńskim powstał ,,Polish University College'' (PUC), dający możność uzyskiwania dyplomów.

Do kierowania całością pracy powołany został angielsko-polski ,,Komitet dla Spraw Oświaty Polaków w Wielkiej Brytanii'', afiliowany przy angielskim Ministerstwie Oświaty. Na czele jego stanął Sir G. Gater, ze strony polskiej zaś ambasador Edward Raczyński. Samymi pracami kieruje biuro Komitetu, na czele którego stoi p. F. Harrod; dyrektorem ze strony polskiej jest p. S. Szydłowski.

Koszty związane z prowadzeniem polskich szkół opłacają całkowicie Anglicy, którzy w szkołach internatowych w ogromnej większości pokrywają również utrzymanie. Prócz tego młodzież polska uczęszczająca do szkół internatowych angielskich oraz młodzież studiująca na uniwersytetach w Anglii i Irlandii korzysta ze stypendiów.

Ciekawe jest może to, że są to jedyne na terenie Anglii szkoły państwowe. Wszystkie inne szkoły są albo samorządowe subwencjonowane przez państwo, albo prywatne — częściowo również korzystające z pomocy państwa.

LIKWIDACJA SZKÓŁ

Od początku istnienia polskie szkoły były pomyślane jako szkoły tymczasowe. Nastawienie Anglików było takie, że młodzież, która opanowała dostatecznie język angielski, powinna uczęszczać do szkół angielskich. Początkowo do szkół polskich przyjmowana była cała młodzież, a więc tak mieszkająca na terenie miast, jak i w hostelach. W jesieni 1949 roku wyszedł zakaz przyjmowania do naszych szkół młodzieży z terenu miast. W rok później przestano także przyjmować do szkół średnich młodzież z terenu hosteli. Wyjątek zrobiono tutaj jeszcze dla grupy przybyłej w tym czasie z Libanu. Szkoły powszechne na terenie hosteli, gdzie istniała tylko możność uczęszczania do szkoły angielskiej, ulegają też częściowej likwidacji. Nie wolno było również przyjmować na pierwszy rok P.U.C., który w ubiegłym roku został całkowicie zlikwidowany. Bogate i świetnie urządzone laboratoria zostały częściowo zlikwidowane, a częściowo przejęte przez ,,Battersea College'' w Londynie. Absolwenci *Grammar School* wstępują obecnie wprost na uniwersytety angielskie.

Załączona tabelka ilustruje ilość szkół średnich, ich rodzaje i ilość uczniów w tych latach.

Stan na 1. 10. 1949 :

	Ilość	*Ilość uczn.*	*Stałych Naucz.*	*Naucz. dochodz.*
Modern . .	2	703	45	3
Grammar . .	4	1.248	84	4
Zawodowe . .	3	719	45	14
	9	2.670	174	21

Stan na 1. 10. 1950 :

Modern . .	2	602	50	4
Grammar . .	3	938	73	5
Zawodowe .	3	643	52	14
	8	2.183	175	23

Stan na 1. 10. 1951 :

Modern . .	2	418	41	7
Grammar . .	2	658	62	4
Zawodowe .	3	465	49	1
	7	1.541	152	12

Stan na 1. 10. 1952 :

Modern i Grammar . .	2	627	66	3
Zawodowe .	2	305	35	—
	4	932	101	3

Stan na 1. 10. 1953 :

Modern i Grammar i Zaw.	2	513	65	1

Stan na 1. 4. 1954 :

Modern i Grammar i Zaw.	2	491	65	1

Tak więc w bieżącym roku szkolnym istnieją jeszcze dwie polskie szkoły średnie. Szkoła męska w Lilford, będąca połączeniem wszystkich poprzednich szkół męskich, obejmująca klasy *Grammar School, Technical School* i *Modern School* oraz szkoła żeńska w Diddington, będąca resztką wszystkich szkół żeńskich, zawierająca 11 klas *Grammar School* i 2 klasy *Modern School*. Najniższą klasą w tych szkołach jest klasa 4.

W przyszłym roku szkolnym szkoły te miałyby się połączyć jako jedna szkoła koedukacyjna w Lilford.

ORGANIZACJA SZKÓŁ I ICH POZIOM

Początkowo, w pierwszym roku istnienia polskich szkół, nauka przedmiotów była prowadzona po polsku, obowiązywał polski program szkolny. Później, szkoły te przeszły całkowicie na program i język angielski. Wszystkie przedmioty wykładane są po angielsku z wyjątkiem religii, historii Polski i geografii Polski, które wykłada się po polsku. Język polski jest językiem ,,obcym'' obok języka francuskiego i łaciny.

Absolwenci szkoły technicznej szybko osiągnęli poziom przewyższający przeciętną podobnych szkół angielskich. Wyniki egzaminów, przeprowadzonych przez angielską komisję, były lepsze od wyników innych szkół angielskich. Szkoła techniczna w Lilford była wiele razy wymieniana w angielskiej prasie codziennej i fachowej. Przede wszystkim zaś absolwenci tych szkół zdobyli sobie uznanie jako fachowo przygotowani pracownicy i z łatwością uzyskują pracę w swoich zawodach.

Chciałbym potraktować szerzej szkoły typu naszych liceów, a więc *Grammar School,* dające prawa wstępu na uniwersytety. Żeby mówić o poziomie szkoły, wydaje mi się, że trzeba wyjaśnić czytelnikowi polskiemu system matur angielskich, po zmianach przeprowadzonych przed kilku laty.

Matura w Anglii nie jest przyznawana przez szkołę, ale przez uniwersytet. Szkoła ma prawo wybrać sobie uniwersytet, jak np. Londyn, lub Oxford czy Cambridge. Pełna matura składa się ze zdanych sześciu przedmiotów na przestrzeni dwu i pół roku. W tym cztery przedmioty mogą być zdane na poziomie niższym — ,,Ordinary Level'', a dwa przedmioty na poziomie wyższym — ,,Advanced Level''. Poziom ,,Ordinary Level'' jest, moim zdaniem, trochę niższy od poziomu matur w Polsce, poziom ,,Advanced Level'' jest znacznie wyższy od poziomu naszych matur. Jest mniej więcej poziomem pierwszego roku uniwersytetu.

Jeżeli uczeń, czy uczennica wybierze i zda z działu, który później studiuje na uniwersytecie, nie dwa, a trzy przedmioty na ,,Advanced Level'', wtedy ma zaliczony pierwszy rok uniwersytetu. Więc na przykład: uczennica, która idzie na języki lub historię, a zda na ,,Advanced Level'' język polski, historię

i łacinę — idzie od razu na drugi rok uniwersytetu. Praktycznie więc pierwszy rok studiów uniwersyteckich może być zrobiony albo w szkole średniej lub na uniwersytecie.

Egzaminy maturalne są przeprowadzane prawie wyłącznie pisemnie. Z niektórych tylko przedmiotów — jak biologia, fizyka — są także egzaminy praktyczne. Technicznie wygląda to tak, że tego samego dnia, o tej samej godzinie pisze się w całej Anglii, we wszystkich szkołach (przynależnych do tego samego uniwersytetu) ten sam test. Wypracowania te są wysyłane natychmiast do uniwersytetu i po kilku tygodniach komisja egzaminacyjna uniwersytetu zawiadamia szkołę o wynikach; w wypadku zdania egzaminu Uniwersytet przesyła odpowiednie zaświadczenie.

Tak więc matura zdana w polskich szkołach jest taka sama i posiada te same prawa, jak matura zdana w jakiejkolwiek *Grammar School* na terenie Anglii.

Poniżej podaję procentową statystykę porównawczą zdanych egzaminów maturalnych z poszczególnych przedmiotów w *Grammar School* żeńskiej w Stowell, obecnie przeniesionej do Diddington, z przeciętną zdanych egzaminów w całej Anglii.

Ordinary Level: *a*) —% zdanych egzaminów w szkole Stowell-Diddington;

b) — przeciętny % zdanych egzaminów w *Grammar School* w całej Anglii.

	1951		1952		1953	
Przedmiot	*a*	*b*	*a*	*b*	*a*	*b*
Angielski	25.7	60.8	38.3	65.	55.5	63.5
Historia	61.9	54.2	87.	58.5	100.	59.6
Historia staroż.	80.	85.7	—	—	100.	83.3
Łacina	100.	59.1	85.7	58.	100.	62.8
Matematyka ..	68.6	58.	81.6	64.1	76.6	64.1
Fizyka	57.1	55.	100.	61.	86.6	55.
Fizyka i chemia	100.	51.7	—.	—.	—.	—.
Biologia	61.1	58.8	80.	66.8	100.	68.2
Chemia	—.	—.	70.	63.2	50.	62.
Polski	—.	—.	—.	—.	100.	—.
Francuski	—.	—.	—.	—.	100.	59.9
Geografia	—.	—.	100.	59.5	—.	—.

Advanced Level.

Dane przedstawiają się podobnie, z tym, że jesteśmy lepsi w łacinie (zwykle 100% zdanych), fizyce, równi w matematyce, historii; gorsi w chemii i biologii. Oczywiście wszystkie uczennice zdają w 100% z języka polskiego na „Advanced Level".

Dane statystyczne ze szkoły męskiej, i poprzednio istniejącej żeńskiej w Grendon Hall, pokrywają się prawie zupełnie procentowo z podanymi tutaj przykładowo danymi szkoły Stowell-Diddington.

Jest zupełnie oczywiste, że polskie szkoły średnie jako szkoły przygotowujące do studiów uniwersyteckich angielskich, nie tylko dorównały szkołom angielskim, ale należą do szkół bardzo dobrych. Wydaje mi się również, że procent dopuszczanych uczennic jest u nas wyższy, co jeszcze podnosi wartość otrzymanych wyników.

Gorszy w tym zestawieniu jest język angielski. Jeżeli jednak porównamy go na przestrzeni trzech lat, widzimy ogromny i stały procentowy wzrost wyników i ostatnie wyniki prawie dorównują przeciętnym angielskim. Obecnie zdające klasy, które zaczęły już szkołę z programem angielskim, i na tym odcinku powinny mieć wyniki lepsze od przeciętnych.

ABSOLWENCI I ABSOLWENTKI, A DALSZE STUDIA

Obraz poziomu i wartości szkoły nie byłby pełny bez podania dalszych losów absolwentów szkoły. Przykładowo podam znów statystykę wyżej wspomnianej szkoły :

	1951	1952	1953
Opuściło szkołę maturzystek	38	38	26
Odeszło na uniwersytety : londyński	6	7	9
,, *w Dublinie*	2	2	4
,, .. *inne*	—	8	4
RAZEM	8	17	17
Do seminarium nauczycielskiego ..	15	6	4
Do College'ów zawodowych (architektura, sztuka, radioterapia, optyka, itd.)	5	5	3
Na kurs sekretarek	10	10	—
Emigrowało	—	—	1
Zrezygnowało ze studiów	—	—	1
RAZEM	38	38	26

Z powyższego zestawienia wynika, że na uniwersytety z wymienionej szkoły odeszło procentowo :

w roku 1951 — 21.1%
w roku 1952 — 44.7%
w roku 1953 — 65.4%

W większości, uczennice nasze zdają egzaminy przepisane na pierwszy względnie drugi rok studiów i zatrzymują przyznane stypendia.

ZNACZENIE TYCH SZKÓŁ DLA POLSKOŚCI

Wymienione wyżej szkoły, dając pełne prawa szkół angielskich, nie przestały być przy tym ani przez chwilę szkołami polskimi. Są dodatkowe lekcje języka polskiego, historii Polski i geografii Polski. W nauczaniu przedmiotów podaje się przy wprowadzaniu nowych nazw, czy terminów angielskich, zawsze też i nazwy polskie. Organizuje się dyskusje literackie, wieczory recytacyjne, a przede wszystkim całe życie internatowe rozbrzmiewa i tętni w całej pełni po polsku.

Większość naszej młodzieży zdaje ponadto dodatkowo przed Polską Komisją Egzaminacyjną matury polskie. Przedmioty zdane po angielsku są zaliczane, a egzamin uzupełniający jest z języka, literatury i zagadnień polskich.

W moim głębokim przekonaniu tylko istnienie takich szkół typu licealnego może umożliwić wrastanie rosnącego pokolenia w społeczeństwo angielskie z poczuciem pełnowartościowości i pełnoprawności w stosunku do kolegów ze szkół angielskich, bez zatracenia więzi z Polską. Tylko w tym okresie życia i w polskiej szkole można młode pokolenie na zawsze związać z dorobkiem kultury polskiej, uczynić ją dla młodego człowieka atrakcyjną i własną. Chcę podkreślić jeszcze znaczenie innych instytucji oświatowych, to jest przedszkoli polskich równie ważnych jak szkoły średnie, gdzie dziecko po raz pierwszy uczy się bawić po polsku.

Doceniam znaczenie polskich kursów wieczorowych, szkółek sobotnich, kursów korespondencyjnych, nie wydaje mi się jednak — patrząc na doświadczenia ostatnich lat — by instytucje te mogły zastąpić prawdziwe szkoły i by miały większy wpływ na charakter rozwoju młodzieży.

MOŻLIWOŚCI UTRZYMANIA SZKÓŁ

Anglia jest chyba jedynym krajem na świecie nie posiadającym szkolnictwa państwowego. Każdy człowiek i każda grupa, czy organizacja może założyć szkołę. Jeżeli szkoła otrzymuje od państwa uznanie, otrzymuje jednocześnie pomoc finansową. W wypadku całkowitego uznania, subwencja państwa dochodzi do 75 procent kosztów utrzymania szkoły.

Warunkiem całkowitego uznania szkoły przez Ministerstwo są dobre wyniki egzaminów maturalnych i wyniki pozytywne z wizytacyj, przeprowadzanych przez inspektora ministerialnego. Nasze szkoły posiadają nie tylko zadawalające ale dobre wy-

niki egzaminów i są stale wizytowane przez inspektora ministerialnego. Wyniki tych wizytacyj są b. dobre. Jednocześnie szkoły te posiadają zgrane zespoły nauczycieli, którzy przedarli się już przez tajniki angielskiego systemu i testów egzaminacyjnych. Szkoły posiadają wyposażenia gabinetów i pracowni oraz biblioteki wartości kilkudziesięciu tysięcy funtów.

Na tym rozumowaniu opierałem poniższy projekt organizacji szkół i przeciwdziałania ich likwidacji.

Należało, przy istniejących szkołach, zorganizować pierwsze klasy, już jako szkoły prywatne. Traktując te pierwsze klasy jako dalszy ciąg istniejącej szkoły posiadającej tradycję i wyniki, można było natychmiast wystąpić do odpowiednich władz o uznanie tych klas i o przewidzianą ustawą pomoc finansową.

Przez kilka lat sytuacja byłaby taka, że w szkole byłyby wyższe klasy utrzymywane, jak przedtem, całkowicie przez Anglików, zaś niższe klasy, korzystające z pomocy państwowej na równi z innymi uznanymi szkołami prywatnymi. Ilość klas pierwszej kategorii zmniejszałaby się i po kilku latach szkoła byłaby całkowicie prywatną internatową *Grammar School,* zbliżoną do typu, istniejących *Public School.*

Trzeba było, moim zdaniem, powołać do życia jakiś Komitet Społeczny, który zająłby się wyłącznie tym zagadnieniem.

Komitet ten powinien był : a) przeprowadzić, drogą artykułów i wykładów w terenie, odpowiednią propagandę tego zagadnienia; b) porozumieć się i omówić ten projekt z władzami angielskimi; c) znaleźć odpowiednie fundusze na wydzierżawienie lub kupienie pomieszczenia na dwie szkoły (męską i żeńską), obliczone na 200 do 250 uczniów każda.

REALIZACJA

Z projektem tym zwróciłem się w czerwcu 1952 roku do dyrektora Komitetu Oświaty, S. Szydłowskiego, w czasie jego wizyty w szkole żeńskiej w Stowell. W ciągu wakacyj referowałem ten projekt generałowi Andersowi. Zainicjowałem zebranie w Stowell 11 listopada 1952 roku w składzie : gen. Anders, ks. infułat Michalski, dyrektorowie z Komitetu — S. Szydłowski, I. Wieniewski, T. Borowiecki, dyrektorka szkoły dr M. Felińska. Zebranie to ustaliło zająć się poważnie tym projektem i zwróciło się do mnie o przygotowanie materiałów.

Materiały zebrałem w formie referatu i przekazałem w grudniu 1952 roku Związkowi Harcerstwa Polskiego i za jego pośrednictwem wszystkim organizacjom społecznym. W styczniu 1953 odbyło się zebranie przedstawicieli organizacyj społecznych, które ustaliło przekazać ten referat Zjednoczeniu Polskiemu (jako organizacji nadrzędnej, obejmującej wszystkie organizacje niepodległościowe).

W kilka tygodni potem odbyło się w Londynie zebranie przedstawicieli organizacyj zwołane przez Zjednoczenie. Uchwa-

łono powołać specjalną Komisję, która by tylko i wyłącznie zajęła się tym zagadnieniem. Na czele Komisji stanął p. Płazak, prezes S.P.K.

Tymczasem Komitet Oświaty zdecydował już, że szkoła żeńska ze Stowell w przyszłym roku szkolnym przeniesiona zostanie do Diddington, a resztki szkoły męskiej będą połączone ze szkołą techniczną w Lilford.

Należało działać szybko, by od początku roku szkolnego można było na terenie tych szkół uruchomić pierwsze klasy.

Pan prezes Płazak przez przeciąg przeszło pół roku zebrał raz jeden komisję. Cała jego i komisji interwencja u Anglików skończyła się na tym, że p. Płazak porozmawiał prywatnie z jednym z polskich urzędników Komitetu Oświaty, który powiedział mu, że z trzech kompetentnych w tej sprawie Anglików: jeden nie ma dużego wpływu — mimo przychylnego nastawienia do Polaków, drugi jest wrogiem Polaków, a trzeciego w ogóle nie zna i nic o nim nie słyszał. Pan Prezes na tej informacji poprzestał. Nie przeprowadzono ani jednej rozmowy z Anglikami. Komisja zwróciła się do p. H. Staszewskiego, dyrektora Szkoły Technicznej, i do mnie o artykuły. Artykuły takie wysłaliśmy i nigdy, nigdzie nie zostały ogłoszone, czy choćby przedyskutowane. Ważne sprawy zbliżających się wyborów do S.P.K. i niekończących się politycznych gierek widocznie nie sprzyjały pracom tej Komisji.

W maju czy czerwcu 1953 roku powstała Macierz Szkolna, instytucja która w pierwszym rzędzie powinna postawić sobie za cel utrzymanie istniejących szkół.

Przed rozpoczęciem obecnego roku szkolnego rozmawiałem znów kolejno z gen. Andersem, ambasadorem Raczyńskim, dr Jordanem i prezesem Macierzy p. Donigiewiczem. W ciągu września miała być przeprowadzona akcja w tej sprawie, a rocznica 11 listopada miałaby być wyzyskana, jako termin ofensywy na społeczeństwo. Żaden z tych terminów, ustalonych ze mną przez prezesa Macierzy, nie został dotrzymany. Zostałem natomiast zaproszony w listopadzie na zebranie Rady Macierzy Szkolnej, by raz jeszcze zreferować cały projekt. Na zebraniu tym postanowiono dokładnie i szybko zająć się tą sprawą i powołać specjalną komisję przy Macierzy Szkolnej. Komisja taka powstała, ale o ile mi wiadomo — jeszcze do tej chwili się nie zebrała.

Tymczasem w Komitecie dla Spraw Oświaty Polaków w W. Brytanii zapadła decyzja połączenia w przyszłym roku szkolnym, w Lilford, resztek szkoły żeńskiej i męskiej jako szkoły koedukacyjnej.

Decyzja ta zapadła pomimo kategorycznego sprzeciwu dyrektorki Szkoły żeńskiej, która uważała za trudne i niewłaściwe rozpoczynanie koedukacji od wyższych klas. Dyr. Felińska pracuje w szkole od jej powstania tj. od Trani we Włoszech. Walczyła i walczy niestrudzenie o jej utrzymanie. Z jej to inicjatywy

zainteresowały się tym problemem SS. Zmartwychwstanki. Projekt ciągle ten sam. Miał być wynajęty we wspaniałej okolicy pod Cirencester budynek z parkiem za cenę £. 1.500 rocznie. W budynku tym była poprzednio prywatna szkoła żeńska. Byłoby to wystarczające miejsce na pomieszczenie 200 - 250 uczennic i na mieszkania dla personelu nauczycielskiego i administracyjnego. Szkoła nasza przeniosłaby się do tego pomieszczenia nie łącząc się ze szkołą męską. Przy tym powstałyby od nowego roku szkolnego dwie klasy pierwsze, już jako klasy szkoły prywatnej.

Projekt ten miał być wniesiony na Zebranie Komitetu Oświaty 19 marca rb. Ambasador Raczyński i dyrektor Szydłowski podjęli szereg starań, by umożliwić przeprowadzenie takiej decyzji.

Na tydzień przed tym terminem nadeszła depesza z Rzymu, że Siostry rozmyśliły się i zrezygnowały z projektu.

Uważałem, że przy tak postawionym już projekcie wystarczy, by w miejsce Sióstr weszła jakaś organizacja społeczna i projekt ten — może jeszcze łatwiej — można byłoby przeprowadzić. Co więcej, może łatwiej byłoby uzyskać ,,recognition'' tej szkoły u Anglików, jeżeliby ją prowadziła instytucja świecka. Udałem się do Londynu i zwróciłem się do prezesa S.P.K., p. Soboniewskiego, który oświadczył mi, że pieniędzy na to nie ma i że go właściwie to zagadnienie nie bardzo interesuje. Zwróciłem się do gen. Andersa, który od samego początku może najbardziej gorąco i serdecznie całym tym zagadnieniem się zajmował. W rozmowie z nim ustaliłem budżet takiej szkoły na £. 2.500, biorąc na siebie gwarancję i ryzyko finansowe przekroczenia takiej kwoty. Niestety gen. Anders nie dysponował w tym czasie żądaną przeze mnie sumą pieniędzy.

W terminie przewidzianym odbyło się zebranie Komitetu. Decyzja połączenia szkół zapadła ostatecznie. Możliwość ocalenia przynajmniej jednej szkoły została przekreślona.

INNE INICJATYWY

Na terenie Anglii mamy dwie próby utworzenia szkół prywatnych, poczynając od klasy pierwszej. Taką szkołę prowadzą już SS. Nazaretanki w Pitsford, obecnie powstaje pierwsza klasa dla chłopców w gimnazjum OO. Marianów w Henley.

Jestem z najwyższym uznaniem dla inicjatywy, poświęcenia i zapału realizatorów i kierowników tych szkół. Szczególnie dla ofiarności ks. Jarzębowskiego w tworzeniu gimnazjum w Henley. Widzę jednak bardzo poważne trudności w doborze personelu nauczycielskiego, w prowadzeniu szkoły przez szereg lat na własny koszt, zanim będą wyniki egzaminów maturalnych, w zdobyciu funduszów na laboratoria i urządzenia.

WNIOSKI KOŃCOWE

Likwidacja polskich szkół średnich, ich dorobku na terenie Włoch (były tworzone przez 2 Korpus) i poważnego dorobku na terenie Anglii, odbywa się przy zupełnym milczeniu i apatii społeczeństwa polskiego.

Społeczeństwo polskie nie było nigdy informowane ani o tym, że od kilku lat nie wolno było przyjmować do polskich szkół nowych kandydatów, ani o ogromnych osiągnięciach tych szkół. Ludzie ciągle pytają się, czy polska szkoła ma jakiekolwiek prawa, czy matury tej szkoły są ważne i czy absolwenci tej mogą dostać się na uniwersytet. Statystyki porównawcze ze szkołami angielskimi i wyjaśnienie tej sprawy ukazują się teraz po raz pierwszy.

Reportaże radiowe i felietony z łezką w oku z zakończenia roku szkolnego, z tańców czy popisów i wystaw szkolnych nie wyjaśniają społeczeństwu niczego.

Dla każdego Polaka jest jasne, że przedstawione tu projekty nie są wcale łatwe do przeprowadzenia, że trafią na opory wśród Anglików, ale i tam mamy sojuszników.

Na wszystkich zebraniach spotykałem się z opinią dyrektorów Komitetu Oświaty, że nie będzie dostatecznej liczby kandydatów do klas pierwszych w takich szkołach wobec faktu, że roczniki obecne są raczej słabe, albo z argumentem, że Anglicy na pewno się na to nie zgodzą. Argumenty te stale powtarzają ci sami ludzie. Dwa lata, które mijają od chwili wysunięcia przeze mnie projektu, były dostatecznym okresem czasu, by się przekonać drogą ankiety społecznej — po zaznajomieniu społeczeństwa z zagadnieniem — o ilości kandydatów, i by przeprowadzić odpowiednie rozmowy, czy nawet nacisk społeczeństwa polskiego na decyzje angielskie. Na przykładach utrzymania przez rok dłużej Komitetu Oświaty z kilkudziesięciu urzędnikami polskimi i na utrzymaniu Biblioteki Polskej widzieliśmy, że można tą drogą wiele osiągnąć.

Za dwa lata dorastają młode roczniki. Ilość młodzieży do klasy pierwszej będzie kilkakrotnie wyższa niż obecnie.

Wobec przepełnienia angielskich *Grammar School* ogromna większość młodzieży polskiej zostanie poza tymi szkołami, zmuszona do uczęszczania do *Modern School.* W przyszłości powiększy ona znakomicie kadry niekwalifikowanych, najniżej płatnych robotników.

Dla rodziców, czar zdobycia przez dziecko ,,dobrego akcentu'' angielskiego jest często tak duży, że poświęcić gotowi ogólny poziom wiedzy i przygotowania dziecka do dalszych studiów.

Często rodzice nie orientują się w systemie szkolnictwa angielskiego, nie wiedzą nawet, że syn ich kończąc *Secondary Modern School* właściwie zamyka sobie drogę na przyszłość. Często

też „dobry akcent'' angielski jest lokalnym „cockney'em'', który przenosi dziecko z grupy cudzoziemców do warstwy najniższej.

Jedno z najważniejszych może zagadnień na terenie Anglii — utrzymanie polskich *Grammar School* z ich osiągnięciami, poziomem i tradycją — zostało zepchnięte daleko na ostatnie miejsce, albo pominięte zupełnie. Spory kawiarniane polityków i walki o klucze partyjne w organizacjach, powołanych do czuwania nad przyszłością młodzieży, zajęły miejsce pierwsze.

A. J. ZIELICKI

◆

Likwidacja polskiego szkolnictwa na terenie Wielkiej Brytanii, jest niewątpliwie skandalem. Skandalem tym większym, że jak wynika z obliczeń p. Zielickiego, można mu było stosunkowo łatwo i niewielkim kosztem zapobiec. Jeśli idzie o nas — redakcję „Kultury'' — to nasze pretensje czy oburzenie, bynajmniej nie kierują się pod adresem organizacyj do których nauczyciele i wychowawcy likwidowanych szkół na próżno kołatali. Od dawna jest rzeczą powszechnie znaną, że te organizacje są niepotrzebne nikomu i na nic.

Czy nie było prościej by nauczyciele, mający tak duży kapitał wiedzy i doświadczenia, zorganizowali się sami i sami utworzyli polskie gimnazjum prywatne? *By odwołali się bezpośrednio do społeczeństwa nie z żebraniną ale np. z apelem o subskrypcję akcji takiego prywatnego gimnazjum? Jakaś forma prawna umożliwiająca rozpisanie takiej subskrypcji była chyba do znalezienia? Suma potrzebna na uruchomienie i prowadzenie takiego gimnazjum, według obliczeń nauczycieli, nie jest wielka i takie akcje może miałyby szanse rozkupienia wśród rodziców przyszłych uczni. Tym bardziej, że gimnazjum mogło wykazać się dotychczasowymi imponującymi rezultatami? Czy społeczeństwo polskie w Anglii było dostatecznie poinformowane o niebezpieczeństwie likwidacji szkół? Czy próbowano tą sprawą zainteresować polską prasę w Anglii? Chcielibyśmy usłyszeć odpowiedź na te pytania.*

W naszych specyficznych warunkach ma szanse powodzenia tylko taka akcja społeczna, za którą ktoś indywidualnie czy zespołowo bierze pełną, osobistą odpowiedzialność i ryzyko. *Etatyzm pracy społecznej nie sprzyja a cóż dopiero fikcja etatyzmu w fikcyjnym państwie emigracyjnym.*

REDAKCJA

Jeszcze o Kolegium Wolnej Europy

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerach ,,Kultury'' 12/74 z grudnia 1953 i 1/75-2/76 ze stycznia-lutego 1954 ukazały się dwa artykuły, poświęcone Kolegium Wolnej Europy: pierwszy z nich podpisany był przez p. Zbigniewa Różyckiego, drugi przez p. W. Zaleskiego.

Kolegium przyjmuje z zainteresowaniem i wdzięcznością wszelkie opinie, zmierzające do ściślejszego określenia jego zadań, lecz nie może pozostawić bez odpowiedzi krytyk, które roją się od fałszywych zarzutów lub też nieścisłości, mogących przynieść szkodę naszej instytucji.

W rzeczy samej zmuszony jestem zauważyć z przykrością, iż wspomniane artykuły zawierają nieścisłe i błędne informacje, które mogą dać czytelnikom ,,Kultury'' mylne wyobrażenie o Kolegium. Toteż, korzystając z przysługującego nam prawa odpowiedzi, proszę Pana o zamieszczenie w ,,Kulturze'' następującego sprostowania :

ARTYKUŁ P. ZB. RÓŻYCKIEGO

Jest rzeczą niemal powszechnie znaną, iż zadanie Kolegium polega na umożliwieniu stypendystom studiów na rozmaitych wydziałach uniwersytetu w Strassburgu przy równoczesnym korzystaniu z wykładów z historii i kultury narodowej w samym Kolegium. Cel ten był znany p. Różyckiemu. W swoim ,,curriculum vitae'', załączonym do podania o stypendium, pisał on między innymi : ,,teraz powinienem się oddać jedynie moim studiom i zbliżającemu się egzaminowi''... a dalej : ,,j'espère aller à Strasbourg où je voudrais étudier l'histoire et les problèmes actuels de la Pologne et de l'Europe Centrale. A Oxford je devais suivre un syllabus presque entièrement dévoté (sic) à l'étude de l'Angleterre et de l'Empire Britannique. Je voudrais bien étudier plus à fond les autres aspects de l'histoire, que je n'avais pas le temps d'approfondir, et étudier pour le doctorat''.

Czyniąc zadość tak uzasadnionej prośbie p. Różyckiego Kolegium Wolnej Europy udzieliło mu stypendium, na rok uniwersytecki 1953-1954, aby mógł się przede wszystkim przygotować do uzyskania dyplomu doktora.

Poniżej drukujemy wyjaśnienie, nadesłane nam przez Kolegium Wolnej Europy, polemizujące z zamieszczonymi poprzednio w ,,Kulturze'' artykułami pp. Z. Różyckiego i W. Zaleskiego — oraz ich odpowiedzi.

Do sprawy Kolegium wrócimy w najbliższym czasie. Sama koncepcja jest zbyt ważna, zaś rozpiętość między założeniami a realizacją zbyt wielka, by opinia wschodnio-europejska miała się temu biernie przyglądać. Ostatecznie to o nas i o naszą przyszłość chodzi.

Na prośbę Kolegium zaznaczamy, że oryginał wyjaśnienia napisany był w języku francuskim. Przekładu na język polski i niezbędnych skrótów dokonało Kolegium we własnym zakresie (Redakcja).

Obecnie, w świetle jego artykułu, zadać można pytanie, dlaczego p. Ró-
życki prosił o stypendium na studia na uniwersytecie w Strassburgu, skoro
pragnął się oddać, jak to pisze w artykule, badaniom na temat ,,który go
szczególniej pasjonuje — Polska. Polska jaka jest dziś, jaka będzie w dniu
jego do niej powrotu" (str. 66).

P. R. przyjechał do Strassburga w czasie wakacji akademickich. Opu-
ścił nas już w miesiącu październiku, podczas gdy rok uniwersytecki zaczyna
się w listopadzie! Jasne jest, że przed wyjazdem nie mógł więc mieć
najmniejszego kontaktu z uniwersytetem ani z profesorami w celu ,,skupie-
nia się nad studiami".

W dalszym ciągu artykułu (str. 67) p. R. twierdzi: ,,członkowie dy-
rekcji zmieniają się jak liście na drzewach; nie mają po prostu czasu na akli-
matyzowanie się".

Daje on między innymi do zrozumienia, że rzekomo w roku 1953 było
kolejno trzech dziekanów, ostatni z nich podał się do dymisji w lutym
1954, co znaczy, iż miało być czterech dziekanów w ciągu dziewięciu mie-
sięcy. Informacja ta jest całkowicie zmyślona. P. o. dziekana, mianowany
w czerwcu 1953 po dymisji p. Malcolma Davis'a — pierwszego dziekana,
jest nadal na swoim stanowisku, zaś prezydent ,,Uniwersytetu Europy na
wygnaniu" w dalszym ciągu kieruje działalnością Kolegium.

Na temat programu studiów na kursach letnich 1953, p. R. nie omiesz-
kał zrobić szeregu uwag, które można by skwalifikować jako niesłuszne,
a nawet w stosunku do wykładowców wprost nie na miejscu (str. 69).

Wydaje się, iż takie osobistości, jak profesorowie Sorbony : Edmund
Vermeil i Pierre Pascal, p. Coudenhowe-Kalerghi, prof. André Philip, am-
basador Sir George Rendel — że tylko ich wymienimy — są autorytetami
o dostatecznie ustalonym rozgłosie międzynarodowym, aby trzeba było bro-
nić ich przed podobnymi uwagami. Nie wydaje się nam, aby p. Różycki był
powołany do sądzenia o wartości prelekcji takich wykładowców. Zresztą
jego zachowanie się podczas wykładów, opisane w artykule przez samego
autora, nie wymaga komentarzy (str. 70).

P. R. daje szereg nieścisłych wiadomości o kursach narodowych w Ko-
legium (str. 71). Należy wyjaśnić, że program ich obejmuje w zasadzie his-
torię i aktualne zagadnienia krajów położonych za żelazną kurtyną. W gru-
pie polskiej, w ramach tego programu wykładano na kursach letnich 1953
następujące przedmioty : 1. Polska polityka socjalna pomiędzy dwiema woj-
nami i polityka socjalna reżymu komunistycznego w Polsce. 2. Kwestia
polska w Europie od 1795-1918 r. 3. Stosunki międzynarodowe Polski od
1919-1945 r. 4. Polska pod okupacją sowiecką w okresie 1944-1952. 5. Emi-
gracja polityczna polska po drugiej wojnie światowej.

W czasie semestru zimowego i jesiennego 1953-1954 grupa polska pra-
cowała w trzech sekcjach : I-sza słuchała wykładów pt. ,,Wstęp do nauk
politycznych na tle ustroju Rzeczypospolitej Polskiej"; w drugiej prowa-
dzono wykłady o instytucjach politycznych ,,Polskiej Republiki Ludowej"
oraz innych krajów demokracji ludowej; członkowie trzeciej sekcji poświę-
cali się pracom indywidualnym nad problemami Polski i krajów sąsiednich.
Zebrania każdej sekcji odbywały się raz na tydzień.

Na kursach narodowych wykładają nie tylko kierownicy grup narodo-
wych. Podczas roku akademickiego 1953 pomagali im różni wykładowcy
zaproszeni przez Kolegium z zewnątrz. W szczególności w grupie polskiej
wykładali panowie : J. Czapski, Cz. Chowaniec, M. Kukiel, T. Komar-
nicki i Z. Zaleski.

Wymaga również sprostowania twierdzenie p. R., że: ,,na oko biorąc
przeciętny wiek kierowników kursów narodowych w Kolegium waha się
w granicach 50 do 55 lat". Otóż wypada zaznaczyć, że i w tym wypadku oko

p. R. nie dopisało : średni wiek kierowników grup narodowych wynosi dokładnie lat 42.

Z kolei autor artykułu wyraża się z lekceważeniem o bibliotece Kolegium dając do poznania, że : (str. 72) „jest ona pośmiewiskiem" dla tych wszystkich, którzy coś wiedzą o literaturze Europy Środkowej.

Wypada zauważyć w tej mierze, że biblioteka Kolegium, założona dopiero dwa lata temu, zawiera ponad 8.000 tytułów i około 12.000 tomów; sama sekcja polska wynosi ponad 1.000 pozycji. Biblioteka Kolegium jest w pełnym rozwoju i dyrekcja czyni wszelkie starania, żeby biblioteka ta stała się poważnym narzędziem studiów. W każdym razie należy uwzględnić także, iż studenci Kolegium mają dostęp do biblioteki uniwersyteckiej w Strassburgu i biblioteki Instytutu Studiów Słowiańskich. Dzięki współpracy Kolegium z Radiem Wolnej Europy w Monachium oraz w myśl porozumienia z biblioteką O.N.Z. w Genewie i z Biblioteką Polską w Paryżu, studenci mają wszelkie możliwości korzystania na miejscu w Kolegium z dokumentacji posiadanych przez te instytucje. Pod tym względem pozwalamy sobie powołać się na opinie p. Chowańca, kustosza Biblioteki Polskiej w Paryżu, który po zbadaniu sprawy na miejscu, w liście do dyrekcji Kolegium pisze :

„Dyrekcja Kolegium zdaje sobie w całej pełni sprawę z ważności, jaką przedstawia dla zadań Kolegium własny ośrodek biblioteczny, będący do dyspozycji uczniów i profesorów. Od dwóch lat, w ramach swojego budżetu Kolegium przystąpiło do stworzenia tzw. biblioteki podręcznej, która z biegiem czasu powinna zaopatrzyć się w podstawowe i podręczne dzieła, wchodzące w ramy prac poszczególnych grup narodowościowych studentów. Ta biblioteka podręczna ma kompletować się nie tylko w zakresie dokumentacji o dzisiejszej rzeczywistości krajów zza żelaznej kurtyny — Kolegium nie jest poświęcone wyłącznie studiom o dzisiejszym stanie narodów, okupowanych przez Rosję — ale również tym wartościom kultury, historii i życia społecznego, które nadają poszczególnym narodom ich indywidualność narodową w ramach cywilizacji europejskiej. Nie trzeba znać się na tych sprawach, aby wiedzieć, że takiej nowej podręcznej biblioteki nie improwizuje się w ciągu kilkunastu miesięcy !".

Następnie p. R. myli się raz jeszcze (str. 73), gdy twierdzi, że : „z 80 studentów, którzy przyjechali na studia do Strassburga w 1951 roku, pozostało w Kolegium zaledwie 22. Z 60-ciu, którzy wyjechali z Kolegium, siedmiu czy ośmiu otrzymało dyplomy, reszta to jest 50-ciu, inaczej mówiąc 66%, opuściło Kolegium nie korzystając i nie pozostawiając nic za sobą". W rzeczywistości z 80-ciu studentów, którzy byli w Kolegium w 1951 roku, pozostało w grudniu 1953 roku jeszcze 30, ale należy dodać, że pięciu dalszych studentów uzyskało stypendium na studia poza Strassburgiem, co podnosi liczbę tych stypendystów, korzystających nadal z pomocy Kolegium do 35. Poza tym ośmiu opuściło Kolegium po ukończonych studiach, nie z „byle jakimi dyplomami", lecz z dyplomami końcowymi. Wszyscy oni pracują lub mogą pracować w zawodzie, do którego przygotowali się przez swoje studia. Wreszcie dwie stypendystki opuściły Kolegium aby wyjść zamąż.

Z powyższego wynika, że dla przeszło 40 studentów na 80 pobyt w Kolegium nie był bezowocny. Ta cyfra jest dwa razy większa od cyfry, którą podaje p. R.

Zobaczymy teraz, jak przedstawiają się te cyfry w stosunku do grupy studentów polskich : na 21 studentów, którzy znajdowali się w Kolegium w 1952, zostało w 1953 jeszcze ośmiu, a ponadto jeden student otrzymał nasze stypendium na dalsze studia w Szwajcarii. Dalszych czterech studentów ukończyło swe studia i otrzymało dyplomy doktorskie względnie inne dyplomy końcowe. Inny student przygotował się w Kolegium do egzaminu

konkursowego w Szkole Sztuk Pięknych w Paryżu, do której został przyjęty, inny jeszcze opuścił Kolegium z powodu choroby nabytej przed przyjazdem do Kolegium. Jedynie sześciu studentów spotkało się z odmową przedłużenia stypendiów, ponieważ bądź ich studia nie dawały zadawalających rezultatów, bądź też zachowanie ich pozostawiało wiele do życzenia.

W innym miejscu (str. 71) p. R. daje do zrozumienia, że : ...,,Warunki, na których Rząd Francuski pozwolił na utworzenie Kolegium we Francji nie pozwalają na zrealizowanie odpowiedniego programu".

Otóż trzeba stwierdzić wyraźnie, że Kolegium ma pełną swobodę organizowania programu naukowego w myśl swoich celów, z tym jedynym i zrozumiałym zastrzeżeniem, że działalność jego nie będzie zagrażała porządkowi publicznemu we Francji.

Wypada jeszcze podnieść kilka nieścisłości w artykule p. R. na temat studiów na Uniwersytecie w Strassburgu. Mówi on między innymi (str. 68) że ,,wykłady, z których wkutej na pamięć znajomości studenci są egzaminowani, wymagają czasu i możliwości na ich przetrawienie i wkucie na pamięć".

Otóż z gruntu fałszywe jest przypuszczenie, że kandydaci muszą znać na pamięć materiał egzaminów. Jest rzeczą znaną, że uniwersytety i tradycje francuskie dążą do wyrobienia ogólnego wykształcenia oraz pobudzenia inteligencji i nie wymagają wcale ,,wykucia na pamięć" treści wykładów. P. R. pyta się retorycznie (str. 73) ,,czy studenci Kolegium nauczą się tak dobrze po francusku, że nie zostaną oblani za błahostkowe błędy ortograficzne czy stylistyczne?" Wypada uspokoić go pod tym względem; widocznie nie miał on nigdy okazji czytania zadań naszych studentów, opracowanych w języku francuskim. Gdyby sprawy przedstawiały się tak, jak on to opisuje, nie byłoby prawdopodobnie więcej nad 10-12% studentów w Kolegium, którzy byliby w stanie zdać egzaminy. Tymczasem w zeszłym roku było około 60% wyników dodatnich, co według zdania władz uniwersyteckich francuskich powinno się uważać za dobry rezultat nawet dla francuskich studentów, a tym bardziej o ile chodzi o cudzoziemców. Wreszcie p. R. twierdzi, że (str. 73) : ,,ludzie, którzy uzyskali lub uzyskają swoje dyplomy we Francji nie mogą nimi zarobić na życie". Otóż trzeba wyjaśnić, że poza medycyną, stomatologią i jednym lub dwoma zawodami, posiadającymi własny samorząd, oraz poza służbą publiczną, uchodźcy mogą zarabiać na życie we Francji we wszystkich innych gałęziach zarobkowych. Cały odcinek prywatny stoi przed nimi otworem. Co do zawodów dostępnych jedynie dla francuskich obywateli, trzeba zanotować, że Kolegium nie doradza swoim stypendystom studiowania takich specjalności. Studenci są informowani o trudnościach tego rodzaju, które wynikają z istniejących przepisów prawnych i istnieją zresztą nie tylko we Francji. Jednakże wybór kierunku studiów należy do decyzji samych studentów.

Kończąc swój artykuł autor skarży się na brak wolności w Kolegium (str. 74). Podawane przez niego przykłady nie są przedstawione obiektywnie.

W szczególności nie podaje on, w jakich warunkach odmówiono grupie studentów pozwolenia udania się na rzekomą konferencję międzynarodową do Monachium. Stanowisko Kolegium opiera się na zasadzie delegowania studentów tylko na te konferencje, które zawierają na porządku dziennym sprawy, mające bezpośredni związek z zadaniami Kolegium. W danym przypadku chodziło o zebranie przedstawicieli Niemców Sudeckich i Czechów. Przedmiot obrad nie interesował bezpośrednio studentów polskich, którzy zresztą nie byli do niego przygotowani. Toteż dziekan Kolegium, dr Michał Potulicki osądził, że można poprzestać na wydelegowaniu na tę konferencję przedstawiciela narodowości czeskiej. Sprawozdanie tego delegata usprawiedliwiło punkt widzenia dyrekcji.

ARTYKUŁ P. ZALESKIEGO

Artykuł p. Zaleskiego wymaga z naszej strony mniejszej ilości uwag, ponieważ zawiera cały szereg spostrzeżeń natury polemicznej. Nie chcemy dyskutować na temat systemu uniwersyteckiego we Francji, ale powstaje pytanie czy p. Z. jest sam dostatecznie poinformowany, aby móc krytykować ten system ?

P. Z. mówi np. (str. 128) ,,francuski system uniwersytecki cechuje przede wszystkim ogromna koncentracja studiów w Paryżu. Wynika to z centralizacji właściwej temu krajowi, a objawia się w tym, że tzw. agrégation, odpowiadającą naszej habilitacji, uzyskać można tylko w Paryżu". Otóż wypada przyznać, że ze względów technicznych egzaminy ustne w ramach tego konkursu mają rzeczywiście miejsce w Paryżu, ale należy równocześnie dodać, że egzaminy piśmienne odbywają się w każdym mieście uniwersyteckim oraz, że można przygotowywać się do tego egzaminu także na uniwersytetach prowincjonalnych. Egzamin ten jest konkursem przeznaczonym dla kandydatów na funkcjonariuszy państwowych, a nie habilitacją i nie daje żadnego stopnia uniwersyteckiego. Sprawa tego egzaminu nie leży w zakresie zainteresowań studentów Kolegium.

W dalszym ciągu artykułu (str. 129) p. Z. mówi : ,,ambicją każdego profesora uczelni prowincjonalnej jest dostać się do Paryża, tak że np. około 1/3 część strassburskich profesorów... mieszka w Paryżu". W rzeczywistości na 43 profesorów i członków ciała profesorskiego fakultetu humanistycznego w Strassburgu, dwóch tylko mieszka w Paryżu, a w rezultacie z podanych 33% pozostaje tylko 4%. Jeszcze wyraźniej występuje nieścisłość obliczeń p. Zaleskiego, w odniesieniu do profesorów fakultetów : matematycznego i przyrodniczego oraz medycyny i farmacji. Wszyscy profesorowie tych wydziałów mieszkają w Strassburgu.

Na temat oddalenia Kolegium od Strassburga p. Z. pisze : ,,kto korzysta z tramwaju traci na dostanie się na uniwersytet blisko godzinę czasu (str. 123).

Prawdą jest, że na dojazd do uniwersytetu tramwajem trzeba 45 minut, ale ta okoliczność pozostaje jednak bez znaczenia, gdyż studenci kolegium nie potrzebują korzystać z tego sposobu transportu. Dysponują oni autokarami o regularnym rozkładzie jazdy, tudzież dostateczną ilością indywidualnych środków lokomocji. Wystarcza im 10-15 minut, aby dostać się na Uniwersytet.

P. Z. podkreśla dalej (str. 133), że nie warto iść do biblioteki uniwersyteckiej, gdy się ma tylko godzinę wolną między wykładami. Otóż dla wykorzystania takiej godziny w celach naukowych nie trzeba iść do biblioteki uniwersyteckiej, gdyż obok sal wykładowych znajdują się podręczne biblioteki poszczególnych instytutów, gdzie można pracować bez straty czasu.

Na temat Liceum Polskiego w Les Ageux (str. 133) trzeba zanotować, że, w przeciwieństwie do tego, co podaje p. Z., Kolegium przyznało w tym roku stypendia trzem absolwentom tego liceum. Na 50-ciu stypendystów polskich w Kolegium przypada obecnie ośmiu studentów, którzy ukończyli szkołę średnią w Les Ageux.

Będę Panu Redaktorowi bardzo wdzięczny za umieszczenie niniejszej odpowiedzi w ,,Kulturze".

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku

John PELENYI,
Prezydent Uniwersytetu Wolnej Europy.

Strasbourg, 25 marca 1954.

Szanowny Panie Redaktorze!

Nie skorzystałbym z łaskawie danej mi okazji napisania czegoś w odpowiedzi na list p. Pelenyi, gdyby nie to, że list jego wydaje się przede wszystkim atakiem na mnie, a dopiero potem „sprostowaniem" mego artykułu.

Zacznę może od tego, że formularz, jaki musiałem wypełnić składając podanie o przyjęcie do Kolegium, kończył się następującymi słowami: *Le Conseil d'Admission prend l'engagement formel de tenir confidentiels les documents et renseignements inclus dans le dossier de chaque condidat...*

Skoro jednak p. Pelenyi naruszył to „formalne zobowiązanie", i to w sposób bardzo osobliwy, muszę stwierdzić co następuje: Pierwsza cytata p. Pelenyi — o egzaminie, który się zbliża — jest cytatą wyrwaną. Zdanie to kończyło krótki zarys mojej politycznej i publicystycznej działalności na uniwersytecie oksfordzkim, a egzamin, o jakim mowa, był moim egzaminem końcowym w Oksfordzie. „Curriculum vitae" pisałem w kwietniu 1953, a więc trzy miesiące przed egzaminem dyplomowym.

Druga cytata, którą p. Pelenyi wyzyskuje, też nie jest wyczerpująca. W następnym zdaniu pisałem bowiem: „*...pour la préparation — avec les étudiants des autres pays derrière le Rideau de Fer — pour le travail qui est reservé pour nous en nos patries, qui à ce moment ne sont pas libres, mais qui seront libres*". Na formularzu podałem również i to, że doktorat jaki chciałem przygotować w Strassburgu, byłby z zakresu socjologii i masowej psychologii. Jeśli po takim sformułowaniu, powtórzonym przeze mnie w rozmowie z p. Sears — który przyjechał do Londynu w celu przeprowadzenia ostatecznego wyboru kandydatów — Kolegium mnie przyjęło, to było to równoznaczne z zaakceptowaniem mojego punktu widzenia oraz utwierdzeniem mnie w przekonaniu, że znajdę w Strassburgu warunki do napisania takiego doktoratu. Okazało się, że się grubo pomyliłem, że „skoczyłem do konkluzji".

By dokładnie i szczegółowo odpowiedzieć na dalsze punkty zawarte w liście p. Pelenyi musiałbym napisać cały artykuł — słowo w słowo to co napisałem w grudniu. List p. Pelenyi wcale nie podważa moich zarzutów, a nawet ich nie dotyka, lecz po prostu zręcznie wymija. Odpowiem więc w kilku słowach.

1. Zmiany personelu. P. Pelenyi ma słuszność gdy pisze, że nie było czterech dziekanów w ciągu dziewięciu miesięcy: Było dwóch dziekanów a obecnie jest jeden „Prezydent". A więc *trzech* innych kierowników Kolegium było u steru w przeciągu pięciu miesięcy (maj-październik 1953). Poza tym szczegółem w ciągu ostatnich kilku miesięcy *cały amerykański* personel zmienił się.

2. Program studiów letnich. Nazwiska nic nie mówią — ważne jest to co i o czym mówili prelegenci.

3. Kursa polskie. P. Pelenyi potwierdza to co napisałem — przedmioty traktowane są po łebkach. Lista przedmiotów podana przez p. Pelenyi jest bardzo długa. Nie przeczę, że były „wykłady" dotyczące prawie wszystkich wymienionych przedmiotów — twierdzę tylko, że nawet geniusz nie przelałby takiego ogromu wiedzy na studentów w ciągu ośmiu tygodni, mając do dyspozycji kilka godzin tygodniowo.

4. Przeciętny wiek *maîtres d'études* oceniałem *na oko*.

5. W bibliotece na próżno szukałem książek pp. Burnhama, Seton-Watsona, Padeva, i wielu, wielu innych.

6. Niestety muszę stwierdzić że cyfry podane przez p. Pelenyi nie zadowalają mnie. Nawet jednak przyjmując je za absolutnie sprawdzone wynika z nich, że prawie 50% studentów, przyjętych do Kolegium w pierwszym rzucie, opuściło Kolegium bez odniesienia korzyści.

7. Sprawa stanowiska władz francuskich jest ważna. Podam tylko dwa fakty. Jeszcze przed moim przyjazdem do Kolegium wychodziło tam pisemko, redagowane przez studentów. W jednym z numerów ukazał się artykuł na temat celów Kolegium, oparty na cytatach książki p. Burnhama. Administracja zganiła jednego z redaktorów za wydrukowanie czegoś, co może się nie podobać władzom francuskim, zaprowadzając cenzurę. Mój przykład telegramu jaki chcieliśmy wysłać do Generalnego Sekretarza ONZ po aresztowaniu biskupa Kaczmarka dowodzi tego samego. Powiedziano nam że nie możemy tego zrobić — bo władze francuskie... itd.

8. P. Pelenyi nie podważa, tym co pisze, moich rozważań na temat trudności znalezienia pracy we Francji. Przykłady jakie dałem w moim artykule są aż nadto prawdziwe, i można by je pomnożyć kilkakrotnie. Chodziło zresztą głównie nie o osoby osiedlone we Francji, ale o te, które nie mają prawa stałego pobytu we Francji, i które nie mają warunków lub też nie chcą się we Francji osiedlić. Stanowią one większość w Kolegium.

9. Wolność osobista. P. Pelenyi nie odpowiedział na mój zarzut. Nie wytłumaczył dlaczego nie mogłem napisać skryptu audycji dla Radia Wolnej Europy. Nie wyjaśnił dlaczego nie mogłem, wraz z innymi, pojechać na *międzynarodowy* kongres. Nie wyjaśnił sprawy telegramu do Generalngo Sekretarza ONZ.

Na tym skończę, podpisując się — jeśli można — pod tym wszystkim co o Kolegium napisał p. Zaleski. Jak Panu Redaktorowi wiadomo, do identycznych wniosków doszedłem w drugiej części mojego artykułu — części, której po porozumieniu się ze mną, i za moją zgodą, Pan Redaktor nie opublikował.

Łączę wyrazy szacunku i poważania,

Zbigniew RÓŻYCKI

◆

Szanowny Panie Redaktorze,

Jak widzę z listu p. J. Pelenyi, który mi Pan nadesłał do przejrzenia, wypełnianie obowiązków, spoczywających na barkach niezależnego publicysty emigracyjnego, nie zawsze należy do przyjemności. Pewna kategoria urzędników za wszelką cenę starających się „pokrywać" błędy swoje i swych przełożonych, zadufana w potęgę swych protektorów i bogactwo środków technicznych, reaguje na każdą rzeczową krytykę w sposób, który trudno nie nazwać napastliwym, w tonie po prostu impertynenckim.

Ofiarą takich metod pada w większym stopniu p. Zbigniew Różycki, w mniejszym stopniu także padam i ja — co widać z twierdzenia „prezy-

denta Uniwersytetu Wygnańczego Wolnej Europy" p. Johna Pelenyi, że nasze artykuły o tym ,,Uniwersytecie" ,,roją się od fałszywych twierdzeń".

Nie mogę oczywiście wchodzić we wszystkie szczegóły polemiki z wywodami p. Różyckiego, gdyż dotyczą one częściowo spraw, których dokładnie nie zbadałem. Będę musiał jednak zająć się tymi fragmentami odpowiedzi na artykuł p. Różyckiego, które wiążą się także z moimi zarzutami. Będę też musiał zacząć moje omówienie dziwnego wystąpienia p. Pelenyi'ego od jego ściśle personalnego ataku na p. Z. Różyckiego, gdyż tu szczyt nieporozumienia łączy się z brakiem wszelkiego poczucia smaku.

Nie wiem czy należy do dobrych obyczajów ogłaszanie fragmentów czyjegoś podania o stypendium. P. Pelenyi robi to dla wykazania rzekomej sprzeczności między tym podaniem, a jednym zdaniem artykułu w ,,Kulturze". Skoro w podaniu czytamy, że p. Różycki chciał studiować *historię* Polski i Europy środkowej i przygotować się do doktoratu, a w artykule, że pasjonuje go *Polska jaką jest dzisiaj i jaką będzie* w dniu jego powrotu, to jest to sprzeczność dla każdego kto — nie ma pojęcia o istocie rzeczy.

W reżymie komunistycznym jednym z najważniejszych faktów dzisiejszej rzeczywistości jest przebudowa świadomości historycznej narodu polskiego. Dlatego studiowanie historii Polski z uwzględnieniem współczesnych publikacji historycznych krajowych jest tym samym studiowaniem Polski jaką jest dzisiaj. Kto tego nie rozumie nie rozumie nic.

W polemice ze mną p. Pelenyi ułatwił sobie niezwykle zadanie. Wszystko co było w moim artykule istotne po prostu pominął, mówiąc, że chodzi o poglądy osobiste natury polemicznej. W ten sposób słowo ,,polemiczny" nabrało w jego ustach nowego znaczenia : pogląd polemiczny to taki, z którym nie trzeba lub nie można polemizować. A mnie się właśnie wydawało, że sprawa samych założeń bursy, szumnie zwanej uniwersytetem, musi się stać przedmiotem przyzwoitej i rzeczowej polemiki, jeżeli idzie nam naprawdę o dobro młodzieży i spełnienie zadań, jakie sobie postawiono, a nie o względy zupełnie innej natury.

Centralizacja studiów wyższych we Francji była dla mnie argumentem, który powinien był skłonić przynajmniej do zastanowienia się nad tym, czy wybór Strassburga był trafny. Na marginesie wspomniałem o scentralizowaniu egzaminów agregacyjnych w Paryżu, jako o czynniku pogłębiającym centralizację. To zdanie dało p. Pelenyi okazję do dłuższego wykładu na temat znaczenia agregacji, sposobu powoływania komisji, miejsca składania egzaminów pisemnych, czyli zagadnień najzupełniej nieistotnych. Faktem jest, że większa część naukowców przechodzi przez agregację i że egzaminy są scentralizowane w Paryżu.

Dołączywszy do profesorów różnych asystentów, a wyłączywszy profesorów, przybywających na wykłady do uczelni politycznych, p. Pelenyi redukuje odsetek mieszkających w Paryżu wykładowców strassburskich do 4 procent, ale to znów w niczym nie zmienia faktu, że każdy profesor strassburski myśli tylko o tym, żeby ,,wyskoczyć" do Paryża, podczas gdy żaden profesor z Oxfordu nie myśli o wyskoczeniu do Londynu, żaden profesor z Heidelbergu nie myśli o wyskoczeniu do Berlina, a żaden profesor z Krakowa nie myślał o wyskoczeniu do Warszawy. To właśnie degraduje prowincjonalne uniwersytety francuskie i nie jest to dla żadnego naukowca

francuskiego tajemnicą. We Francji szczególnym blaskiem jaśnieje Uniwersytet Paryski — jak pisze właśnie p. Pelenyi. Dodajmy: tylko paryski.

Polemika na temat tramwaju i autobusu jest już wręcz humorystyczna. Rzeczywiście na samą jazdę i sam marsz dobry piechur zużyje nie godzinę, lecz 45 minut, ale ponieważ tramwaj chodzi co 15 minut, trzeba przeciętnie 7,5 minut czekać (wedle rachunku prawdopodobieństwa i prawa wielkich liczb). Dostosowanie się do autobusu, jadącego kilka razy dziennie, naraża tak samo na stratę czasu. Wywód na temat małych bibliotek przy katedrach jest również młóceniem słomy, gdyż — czego zapewne p. Pelenyi nie wie, samo wyszukanie książki i wdrożenie się w jej lekturę wymaga pewnego czasu. Nikt nie idzie do biblioteki naukowej na mniej niż godzinę, bo to czysta strata czasu.

Albo z tymi „studentami francuskimi z Robertsau"... Koło kolegium nie mieszka żaden z nich, bo trudno mieszkać w szczerym polu. A jeżeli są tacy, którzy mieszkają przy tramwaju, to po pierwsze potrzebują o połowę czasu mniej niż studenci z kolegium na dojazd do uniwersytetu, a po drugie nie mają ani dodatkowych wykładów w kolegium, ani trudności językowych — a o to mi chodziło, że wobec przeciążenia programu pracy należało studentom kolegium jakoś z sensem ułożyć warunki mieszkaniowe.

Na zarzut dotyczący biblioteki odpowiada p. Pelenyi laurką, jaką mu wystawił p. dr Czesław Chowaniec. Moja odpowiedź będzie krótka. Pan dr Chowaniec mówi, że w ciągu dwóch lat Kolegium *w granicach swego budżetu* zaczęło tworzyć bibliotekę, która ma odpowiadać pierwszym potrzebom. Pisze też że utworzenie biblioteki w ramach jakieby odpowiadały krytykom przekracza *możliwości Kolegium*.

Stwierdzam fakt : Biblioteka Kolegium nie ma ani kompletu „Nowych Dróg", ani kompletu „Ekonomisty", ani „Bolesława Chrobrego" Gołubiewa, ani książki Minca o planowaniu, ani pism Lenina i Stalina, które kupić można za grosze w polskim języku, nie ma więc rzeczy *najelementarniejszych* z punktu widzenia studium obecnej rzeczywistości, obecnej literatury itd. Ma natomiast trochę śmiecia bibliotecznego. Wydaje się, że ramy budżetu *całego Kolegium* nie są jednak tak szczupłe, by nie pozwalały na uzupełnienie takich braków, a jeżeli ramy budżetu bibliotecznego są na to za szczupłe, to bardzo źle. Trzeba je powiększyć kosztem ram budżetu podróży dygnitarskich, albo budżetu pseudo-naukowych wykładowców, którzy pouczają słuchaczy Kolegium, że w czasie ubiegłej wojny Polacy wymordowali dwa miliony Niemców. Jeśli idzie o książki w języku angielskim to nie ma żadnej pracy takich sowietoznawców jak Bergsohn, Burnham, Jasny. Wystarczy.

Sprawa biblioteki jest jedyną ze spraw istotnych z mojego artykułu, którą p. Pelenyi się zajmuje. Zarzuty wysunięte zarówno przez p. Różyckiego jak i przez mnie są zarzutami natury bardzo zasadniczej. Wyliczę je dla przypomnienia :

1) Brak możliwości studiów, specjalnie związanych z zagadnieniami Europy środkowej na uniwersytecie strassburskim, czy w Strassburgu w ogóle.

2) Dwutorowość studiów i przeciążenie studentów przy niepraktycznym rozkładzie zajęć.

3) Brak jakiejkolwiek koncepcji sharmonizowania specjalnych zadań Kolegium z zagadnieniem przyszłej pracy zarobkowej jego wychowanków.

Stwierdzam, że tych poważnych zarzutów p. Pelenyi nie próbuje nawet dotknąć, a sprowadza dyskusję na trzeciorzędne szczegóły.

Zechce Pan, Panie Redaktorze, przyjąć wyrazy prawdziwego szacunku.

Wojciech ZALESKI

P. S.: Być może, że będę musiał uderzyć się w piersi, jeżeli chodzi o jeden punkt polemiki. P. Pelenyi twierdzi, że nie tylko ten jeden uczeń Les Ageux, który nie stanął w zeszłym roku do matury, otrzymał stypendium. Otóż być może, że przyznano stypendia jakimś absolwentom z poprzednich roczników Les Ageux, a nie z tego, który zdawał w roku 1954 egzamin dojrzałości, albo też że absolwentom ostatniego rocznika przyznano stypendia na studia poda Strassburgiem. W tym ostatnim wypadku chylę czoło przed trafnością powziętej decyzji.

Kronika kulturalna

Gombrowicz i robaczek Kozłowski

Napaść argentyńskiego ,,Głosu'' na Witolda Gombrowicza ucieszyła mnie niepomiernie. Jeśli się podziwia jakieś dzieło, mało jest równie przyjemnych zjawisk jak wylew tego dzieła w codzienne życie. Trudno bowiem o bardziej gombrowiczowską sytuację jak reakcja obrażonych komitetów, prezesów, obchodów, sesji, zagajeń i wypowiedzi wcielonych w p. Wacława Kozłowskiego, który pod przezabawnym tytułem ,,Kultura i Wiedza'', niczym automat naciśnięty ręką mistrza (nasuwają się tu cymbały Jankiela), wydaje właśnie te odgłosy, jakich oczekuje od niego Gombrowicz. Bo przecież wszystko zaczęło się od tego, że Gombrowicz zwrócił się w swym ,,Dzienniku'' do oficjalnej Polonii argentyńskiej (choć był to oczywiście pretekst, zwracał się on do wszystkich ,,Polonii'' na całym świecie, a także do wszystkich ludzi ,,żyjących życiem społecznym'', do wszystkich którzy poddają swe życie fikcyjnej rzeczywistości) w te słowa:

,,Ty nie jesteś taki, ty naprawdę już wyrosłeś z tego co mówisz, ty zachowujesz się tak, bo dostrajasz się do innych, celebrujesz, bo wszyscy celebrują, kłamiesz, bo wszyscy kłamią, ale i ty i my wszyscy jesteśmy lepsi od farsy, w której występujemy''.

Gombrowicz, który w ,,Ferdydurke'' opisał pojedynek na miny, który odkrył potworne ,,międzyludzkie'' zniekształcenia formy, pierwszy wie doskonale, że wcielone w p. Kozłowskiego komitety znalazły się przez to w nielada kropce. Nie wiem czy poświęcono formie reakcji na ,,atak'' Gombrowicza specjalne posiedzenia. Rezultat jest jednak ze wszech miar godny ,,Trans-Atlantyku''. Jest nim mianowicie Egzorcyzm groźby prawdy, dojrzałości i rzeczywistości (którą przedstawia Gombrowicz) przez Większe jeszcze Zdziecinnienie, Super-celebrację i hiper-Banał.

Nieszczęsny p. Kozłowski poddał się nawet hipnozie gombrowiczowskiego stylu. Na takiego zwierza trudno strzelać z dubeltówki zwykłego felietonu, z floweru komunikatu, z wiatrówki

krytyki. Trzeba innej kolubryny. A zatem mamy na trzynastu kolumnach ,,Głosu'':

1) Wstęp, z którego wynika, że nie należy utrzymywać z Gombrowiczem stosunków towarzyskich, ,,wychodząc z założenia, że stosunki takie nie mogą mieć miejsca bez plamy na honorze polskiego uchodźcy politycznego''. Nie mogę się tu powstrzymać od zacytowania jednego z moich ulubionych wierszy, który pod literą ,,H'' figurował w alfabecie mego dzieciństwa:

,,Hiena nosi kalosze gdy zimno na dworze,
Hipopotam nie znosi plamy na honorze''.

Z tegoż wstępu wynika, że Gombrowicz jest urzędnikiem Polskiej Kasy Opieki, ,,będącej po roku 1945, jak wiadomo, w rękach reżymu warszawskiego''.

2) Wybór cytat z ,,Dziennika'' Gombrowicza i z ,,Trans-Atlantyku'', które p. Kozłowski zaopatrza wykrzyknikami w rodzaju ,,Tam do licha!'' i ,,masz babo placek!''...

3) Ustęp z zabawnego ,,pastiche'u'' stylu Gombrowicza przez Czesława Straszewicza pt. ,,Pióra w Ukropie'', który ukazał się przed dwoma laty w ,,Kulturze''. W intencji p. Kozłowskiego ma to być zapewne ,,przyczynek'' do ,,dezercji'' Gombrowicza (tejże ,,dezercji'' poświęcony jest przytoczony ustęp z ,,Trans-Atlantyku''). Dowodzi to tylko że p. Kozłowski nic nie zrozumiał z tego przeciwstawienia dwóch form strachu, z zasadniczej solidarności, jaką manifestuje Straszewicz w stosunku do stanowiska Gombrowicza.

4) Wreszcie — najzabawniejsze — próba p. Kozłowskiego ,,pastiche'owania'' stylu Gombrowicza. Biedaczek! Czyżby nie wiedział że należy do tych ludzi, którzy na zawsze tkwią zamknięci w banale jak w mrocznym mauzoleum? Że każde napisane słowo zmusi go do użycia swego najpospolitszego sąsiada? Że serce będzie dla niego zawsze ,,wielkie'', upór — ,,maniaka'', horyzonty — ,,szersze''? ,,Praktyczny sens polskiej tułaczki jest realny, prosty i wspaniały'' — pisze p. Kozłowski. I zaraz potem, bez śladu auto-ironii: ,,Nie trzeba przystrajać go mętną frazeologią''. Albo: ,,Szczerość jest ewangelią serca. Serce jest arcykapłanem w świątyni sztuki. Serce bić powinno w dziełach współczesnych naszych artystów''. Tym tonem wygłasza do Gombrowicza swe ponure kazanie ,,robaczek'' (sic) kozłowski. Ale powołuje się on również na inny autorytet: ,,Głos decydujący ma dopiero Wielki Robak, milionów naszych rodaków w kraju... (w jakąż przepaść złego smaku wtrąca p. Kozłowskiego nieśmiały wysiłek wyrwania się z banału). W tym celu wyposażył on nas w cudowną instalację: kontakt telepatyczny, dzięki któremu możemy słyszeć we własnym sercu jego głos, głos Wielkiego Robaka. I tylko ten głos winien być dla nas rozkazem''.

Ale p. Kozłowski nie poprzestaje na tym uciesznym tonie komitetowej marionetki. Trzeba przecież Gombrowicza ,,wystawić pod pręgierz opinii''. A więc (również w formie ,,pastiche'u'' z ,,Dziennika'' Gombrowicza) częstuje nas zmyśloną rozmową

pomiędzy pisarzem i jego rzekomym „szefem" (który oczywiście zgodnie z tradycją pewnej publicystyki emigracyjnej przemawia „z rosyjska"). „Szef", gęsto przetykając swą przemowę różnymi: *wot co, znaczyt, ichnij* itd. gratuluje Gombrowiczowi tego, że stara się on w swej pracy pisarskiej zniweczyć przywiązanie Polaków do ich rodzinnego kraju, oraz że wzmiankował w swym „Dzienniku" Skierniewice, Grójec, Jedlińsk, nie wspominając żadnej miejscowości kresowej...

Aluzja robaczka kozłowskiego jasna: Gombrowicz pracuje w instytucji związanej z reżymem warszawskim, wobec tego książki jego są inspirowane przez M.W.D., obliczone na wynarodowienie polskiej emigracji i zawierają aprobatę Jałty. Bezczelność, głupota i podłość tych aluzji w pełni tłumaczy podświadomy refleks autora identyfikującego się z robactwem.

Gombrowicz jest najoryginalniejszym, najbardziej indywidualnym współczesnym pisarzem polskim. Twórczość jego jest ciągłym dążeniem do najpełniejszej wolności wewnętrznej — sprzeciwia się ona każdym słowem ponurej fikcji komunizmu w której zastygła polska rzeczywistość. Sprzeciwia się ona również wszelkim innym fikcjom, a więc i sklerozie umysłowej robaczków kozłowskich. Gombrowicz istnieje wyłącznie jako pisarz. Niestety działalność pisarza możliwa jest tylko jeśli nieważny Witold Gombrowicz, szlachcic z grójeckiego, były urzędnik M.S.Z., szatyn średniego wzrostu będzie miał co jeść. Pan W. Kozłowski, który zadowala się „kontaktem telepatycznym" z „Wielkim Robakiem" rodaków w Polsce nie wie może, że książki Gombrowicza czytane są w Kraju mimo zakazu, że urzędowa prasa literacka atakuje młodzież „urzeczoną Gombrowiczem, Proustem i Kafką". Zresztą nazwiska te zapewne nic p. Kozłowskiemu nie mówią, a jeśli coś o nich słyszał, to w głębi serca na pewno zgadza się z tak bliską mu mentalnością zadowolonych z siebie konformistów, dbałych o „zdrowie moralne" (cóż z tego że są komunistami?): Proust, ostatecznie — stary francuski pederasta; Kafka — żydowski defetysta i panikarz.

Gombrowicz (jako szatyn średniego wzrostu, zapewne dobry i sumienny urzędnik) ze swej wolności pisarskiej nie zrezygnuje dla nikogo. Dlatego jest pisarzem emigracji, dlatego skazany jest na wygnanie, dlatego będzie musiał się tułać szukając warunków, które mu tę wolność zapewnią. Wypracowania w rodzaju „Kultury i Wiedzy" można ogłaszać w „Trybunie Ludu" z równym powodzeniem jak w „Głosie" — styl, treść, sens zasadniczy pasuje może bardziej nawet do płaskiej prasy reżymowej niż do niezależnego pisma emigracyjnego. Dylemat wolności powstaje na innym poziomie: kiedy się zrzuci z siebie skorupę banału, uległości społecznym nakazom, *kiedy się ma coś do powiedzenia*. Dla Gombrowicza wolność jest koniecznością.

K. A. JELEŃSKI

Jubileusz Twa im. Szewczenki

Osiemdziesiąt lat temu, 4 czerwca 1874, odbyło się we Lwowie pierwsze ogólne posiedzenie Towarzystwa imienia Szewczenki, założonego przez grupę lwowskich Ukraińców, czy też, jak wówczas mówiono, Rusinów. Towarzystwo powstawało w okresie, kiedy w Galicji ukraiński ruch polityczny czy kulturalny niemal nie istniał, kiedy nawet pisma galicyjskie nie drukowały się jeszcze w języku ukraińskim, a w tak zwanym ,,jazyczju'', sztucznym żargonie, którym nie mówiła nigdy żadna żyjąca istota, a który składał się z elementów rosyjskich, cerkiewnosłowiańskich i z miejscowej gwary ukraińskiej i posiadał ponadto pisownię etymologiczną. W tych warunkach pomysł zajmowania się literaturą a tym bardziej nauką ukraińską musiał wydawać się całkiem nierealny. Nic dziwnego, że Towarzystwo liczyło początkowo wszystkiego około dwudziestu członków.

Zakaz używania języka ukraińskiego wydany przez rząd carski w roku 1876 (zgodnie z hasłem: *adin narod, adin jazyk*) sprawił, że działalność Towarzystwa zwiększyła się znacznie. Musiało ono bowiem zastępować nie działające za Zbruczem instytucje (ta sytuacja powtórzy się w latach 1930, po rozgromie nauki ukraińskiej w Sowietach). Towarzystwo założyło wtedy drukarnie i wydało do roku 1890 około 20 książek. Ale dopiero w roku 1892 Towarzystwo przekształciło się, na wzór dawniejszego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Krakowie (późniejszej Akademii Umiejętności) i przyjęło nazwę Naukowego Towarzystwa imienia Szewczenki. Pod tą nazwą znane jest ono w całym świecie naukowym, a szczególnie wśród slawistów, oczywiście. Zwłaszcza wydatna — aż po rok 1939 — była działalność sekcji historyczno-filozoficznej i filologicznej. Wystarczy wymienić takie naprawdę światowej sławy wydawnictwa jak *Zapiski N. T. Sz.* (155 tomów), w których ukazał się szereg epokowych prac Iwana Franki z historii ukraińskiej literatury ,,ludowej'' XVII i XVIII wieku, pięciotomowy korpus apokryfów, wydany przez tegoż Frankę, *Ukrajinśko-Ruśkyj Archiw* (materiały do historii gospodarki, kultury i ludu galicyjskiego), *Etnograficznyj Zbirnyk* (38 tomów) i *Materiały do ukrajinśko-ruśkoji etnologii* (20 tomów), w których wydawaniu główną rolę grał etnograf W. Hnatiuk przy współpracy Franki, Wowka i F. Kolessy. Te korpusy kolęd, kołomyjek, przysłów itd. były zresztą pierwsze na swe czasy i pod wieloma względami nie zostały przewyższone na terenie żadnego z krajów słowiańskich. Można też wspomnieć muzeum Towarzystwa (70.000 obiektów) i jego bibliotekę we

Lwowie. Ta ostatnia, rozpoczęta w 1893 roku skromnym darem 392 książek, zawierała w roku 1939 przeszło 300.000 tomów, w tym szereg cennych starodruków i rękopisów. Była to najbardziej kompletna biblioteka ukrainików na świecie, pod tym względem nie dorównywała jej nawet biblioteka kijowskiej Akademii Nauk.

Z przyjściem Sowietów w roku 1939 Towarzystwo zostało oczywiście zamknięte, niektórych uczonych poaresztowano. Gdy wojna się skończyła, większość uczonych ukraińskich — członków Towarzystwa znalazła się na Zachodzie. We Lwowie zostało ich bardzo niewiele, no i naturalnie działać tam nie mogą, muzeum i biblioteka zostały przejęte przez sowiecką Akademię Kijowską). Toteż w początku roku 1947 członkowie Towarzystwa znajdujący się w Niemczech i Austrii odnowili jego działalność pod kierownictwem dotychczasowego przewodniczącego profesora Rakowskiego. (Obecnie przewodniczącym jest były profesor Uniw. Jagiellońskiego, W. Kubijowicz, sekretarzem generalnym profesor O. Kulczyćkyj ze Lwowa). Główna siedziba Towarzystwa znajduje się w uroczej willi w Sarcelles pod Paryżem, ale istnieje także i wydział amerykański, równorzędny organizacyjnie, pod przewodnictwem profesora Smal-Stockiego. Towarzystwo liczy przeszło 120 członków rzeczywistych, przy czym obecnie około jedna trzecia to członkowie przedwojenni, a reszta to uczeni dokooptowani od roku 1947, wśród nich znajduje się spora ilość uczonych z Sowieckiej Ukrainy, którzy znaleźli się na emigracji. Z uczonych nie-Ukraińców, którzy byli lub są członkami Towarzystwa można wymienić następujących: Einstein, Max Planck, André Mazon, A. Jagić, A. Brückner, Ludwik Kubala, K. Nitsch, Stanisław Kot i wielu innych.

Odnowione towarzystwo wydało już sześć tomów *Zapisek N. T. Sz.* i kilkanaście innych książek, wśród nich *Zarys współczesnego języka ukraińskiego* J. Szerecha, a przede wszystkim *Encyklopedię Ukrainoznawstwa*. Encyklopedia ta pomyślana została w dwu częściach, z których dotychczas wydano część pierwszą w trzech tomach obejmujących razem 1.230 stron dużego formatu. Część druga, która jest w opracowaniu i ma zawierać 20.000 haseł na około 1.500 stronach druku, będzie ułożona alfabetycznie. Część pierwsza ułożona jest nie alfabetycznie lecz tematami. A więc na przestrzeni 1.230 stron podane są w zwięzłej formie wiadomości dotyczące wszystkich dziedzin życia Ukrainy począwszy od klimatu, terytorium i geografii a skończywszy na kinie i armii. Oczywiście dane historyczne dominują. Każdy artykulik, podpisany przez autora-naukowca, oparty jest na dostępnych źródłach naukowych i zaopatrzony w obszerną nieraz bibliografię. Encyklopedia zaopatrzona jest ponadto w około 800 rycin, szereg tablic przedstawiających na przykład pomniki architektury czy malarstwa i w 4-kolorowe mapy (brak jednak spisu ilustracji).

Tego rodzaju encyklopedia-podręcznik jest szczególnie przydatna na emigracji, gdzie rzadko ma się dostęp do przedwojen-

nych encyklopedii, podręczników i monografii poświęconych swojemu krajowi. Toteż polski czytelnik ogląda *Encyklopedię Ukrainoznastwa* z podziwem nie pozbawionym zazdrości. Wadą *Encyklopedii* jest być może zbytnie rozdrobnienie haseł. Chcę przez to powiedzieć, że zamiast powierzyć cały dział jednemu autorowi rozdzielono go na szereg haseł i powierzono większej ilości autorów. Tak na przykład dział *Język ukraiński,* który obejmuje wszystkiego 45 stron druku powierzono dwunastu autorom. O współczesnym języku ukraińskim mamy siedem artykulików aż pięciu autorów (na 12 stronach), przy czym jeden pisze o systemie dźwiękowym a drugi o fonetyce ! Poddział *Dialektologia* (4 strony) powierzono aż trzem autorom i podzielono z niewiadomych przyczyn na trzy tematy : grupy dialektów, gwary na Wschód od Karpat i gwary na Zachód od Karpat. To samo da się zauważyć i w innych działach. Tak na przykład jedna osoba pisze o filmie pod Sowietami, a inna o filmie w Galicji i na emigracji. Każdy autor ma oczywiście inne kryteria i inny punkt widzenia, a więc w najlepszym razie czytelnik nie wie, w danym wypadku, czy jakość filmu galicyjskiego oceniana była przez autora według tych samych kryteriów co jakość filmu sowieckiego przez jego kolegę. Artykuły są więc nieporównywalne i w wyniku osiąga się — zamiast obiektywizmu, o który zapewne chodziło redaktorom w tym wypadku — niewspółmierność, pstrość a nawet i sprzeczności. Wyrazić należy również żal, że *Encyklopedia* nie jest zaopatrzona w indeks, zajęłoby to jednak zapewne zbyt wiele miejsca i prawdopodobnie dublowałoby mającą się ukazać encyklopedię alfabetyczną. Nad tą ostatnią pracuje już od kilku lat w obecnej siedzibie NTSz. w Sarcelles grupa uczonych pod przewodnictwem prof. Kubijowicza i prof. Hłobenko z uniwersytetu charkowskiego. Sala poświęcona encyklopedii w siedzibie Towarzystwa robi duże wrażenie ze swymi setkami czy tysiącami kartek. Praca zakrojona jest jeszcze na kilka lat. Uczeni się nie spieszą, wiedząc, że rzeczy wartościowych nie robi się na kolanie.

Andrzej VINCENZ

Kronika angielska

WAŃKOWICZ I AMERYKA

Właściwie tytuł tej notatki powinien brzmieć : „Na tropach amerykańskiego smętka". Wańkowicz wydał w Anglii książkę pt. „Polacy i Ameryka" (Nakład Oficyny Poetów i Malarzy). Tom posiada wszystkie zalety prozy wańkowiczowskiej i jedną wadę : autor zbyt wiele i zbyt pochopnie „toynbee'zuje".

Odkąd Ameryka stała się ostatnią nadzieją narodów ujarzmionych, powstała wokół niej specjalna „prometejska" literatura skazująca Stany Zjednoczone „na wielkość".

Wańkowicz, w rozdziałach w których nie „toynbee'zuje", wykazuje imponującą znajomość przedmiotu i duże opanowanie materiału historycznego. Lecz wnioskując w oparciu o ów materiał Wańkowicz myśli kategoriami europejskimi, ściślej, wschodnio-europejskimi.

Niestety żaden trzeźwy obserwator sceny międzynarodowej choćby był — jak piszący te słowa — jak najbardziej przyjaźnie usposobiony dla Stanów Zjednoczonych — nie podpisze się pod literacko uskrzydlonym sądem autora: „Widzimy jak olbrzymimi krokami idzie skazana na wielkość myśl polityczna Ameryki. Za myślą musi nadążać dusza... Z tych dni obecnych tryśnie wizja, której Ameryka ujść nie może — wizja Pax Americana".

A na wierzch tych czekoladowych lodów leje Wańkowicz bitą śmietankę cytatu z Tennysona:

„Potężna Ameryko, której wolne syny...
...rozszerzą panowanie po ostatnie krańce globu".

Może to wszystko jest i poezją. Natomiast polityką na pewno nie jest.

Poprzez ‚romantyczność" wschodnio-europejską, (która każe Polakom każdemu politycznemu problemowi dorabiać literacko-poetycką podszewkę) Ameryka jest nie do odcyfrowania. Ameryka nie udzieliła również (o ile mi wiadomo) polskim literatom zamówienia społecznego na amerykańskiego „Króla Ducha". W Ameryce nie narodzi się żaden mesjasz „jednego świata" czy inny generalny zbawca ludzkości. To uparte, a często wręcz natrętne, dorabianie Amerykanom skrzydełek z lamusu polskiego panopticum wzniosłości całkowicie wypacza obraz Stanów Zjednoczonych, które nie są i nigdy nie będą „Polską" podniesioną do tysięcznej potęgi.

Przed kilku tygodniami rozmawiałem tu w Londynie z bystrym dziennikarzem amerykańskim. Ów młody człowiek wysłuchał cierpliwie mojej misternej analizy o „frontach ideologicznych", o „cywilizacji zachodniej", „o jednym świecie pod przywództwem Ameryki" — a gdy wreszcie skończyłem, zamówił (z uczuciem wyraźnej ulgi) dwie następne whisky, klapnął olbrzymią dłonią w blat lady barowej i powiedział: „Niech pan sobie wyobrazi pięciu facetów, którzy siedzą w jednej celi. Jeden z nich — olbrzymi chłop terroryzuje dwóch swoich sąsiadów i zabiera im rano i wieczorem połowę racji żywnościowych. W drugim rogu celi siedzimy my — ja i pan. Gangster na razie daje nam spokój ale łotr z każdym dniem staje się silniejszy bo je dwa razy tyle co każdy z nas. Co należy zrobić w takiej sytuacji? Któregoś dnia musimy mu powiedzieć — że albo zrezygnuje z ograbiania sąsiadów i zaakceptuje zasady gry obowiązującej w celi — albo dostanie w szczękę. Stawiam 90 na 100, że jeżeli propozycja nasza będzie serio a groźba wysunięta w dobrze wybranym momencie — facet skapituluje i zaakceptuje zasady gry".

Przeciętny Amerykanin myśli kategoriami pragmatycznymi i nie ma poczucia żadnej misji „dziejowej" czy jakiejkolwiek innej. Pax Americana — „jeden świat", „uniwersalna cywilizacja" itp. — jeżeli kiedyś powstaną to z całą pewnością nie narodzą się w „ideologicznych laboratoriach" pisarzy i literatów, lecz będą konsekwencją ściśle politycznych i strategicznych rozwiązań. Wszystkie powyższe ideały mogą być urzeczywistnione tylko na drodze użycia siły, względnie zagrożenia siłą. „Jeden świat" w wydaniu amerykańskim nie powstanie inaczej. Jedynym elementem, który może uruchomić mechanizm amerykańskiej siły jest poczucie zagrożenia. Nagi sens polityki „liberation" sprowadza się do pytania: W jakiej mierze zajęcie przez Sowiety Europy wschodniej zagraża bezpieczeństwu Stanów Zjedno-

czonych ? Wszystko inne co się w związku z tym tematem mówi i pisze jest ,,królo-duchowaniem" na tematy amerykańskie.

Zamiast projektować Amerykanom schemat ,,stulecia amerykańskiego" i fabrykować dla nich ,,misję dziejową" — polscy pisarze i publicyści postąpiliby rozsądniej, gdyby się ograniczyli do ułatwienia Amerykanom rozpoznania niebezpieczeństwa jakie zagraża ich ,,security". Bo w gruncie rzeczy to jest jedyna rzecz, która się liczy i jedyna rzecz, która ich interesuje.

Niebezpieczeństwo, które zagraża amerykańskiej ,,security" jest zjawiskiem nowym i bez precedensu i rozpoznanie tego zagrożenia w szczegółach — jak wiemy — nie jest rzeczą łatwą.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę sukcesy jakie osiągnęły książki, studia i wydawnictwa, które rozszyfrowano później jako produkt inspiracji sowieckiej — to musi się dojść do melancholijnego wniosku, że nasi przeciwnicy ideowi i polityczni umieją lepiej pisać dla Amerykanów niż my i wykazują większą znajomość ich psychiki i sposobu myślenia.

Wszystko co powyżej powiedziano nie oznacza, że ideologicznie czy politycznie istnieje jakaś poważniejsza różnica pomiędzy nami a Wańkowiczem. Nie oznacza to również byśmy ujemnie oceniali jego książkę. Przeciwnie — książka jest bardzo interesująca — daje wiele informacji a jeszcze więcej do myślenia. Różnice między nami dotyczą tylko taktyki.

Nasz pogląd na te sprawy, który formułowaliśmy w wielu artykułach — sprowadza się do następującego twierdzenia : Stany Zjednoczone są w pozycji przywódcy, lecz nie działają jako przywódca. Sądzimy, że jeżeli Ameryka nie sięgnie po przywództwo i nie podejmie ryzyka i odpowiedzialności związanych z tą rolą — nie zapewni bezpieczeństwa ani sobie, ani swoim sprzymierzeńcom.

Na razie, nie ma, niestety, żadnych obiektywnych danych, które by wskazywały, że Ameryka będąc potencjalnym ,,leader'em" zaczęła działać jako ,,leader". I dlatego twierdzimy, że głównym teatrem ,,wojny psychologicznej" jest nie ujarzmiona Europa wschodnia, ani nie Europa zachodnia lecz Stany Zjednoczone. Przekonywać trzeba Amerykanów a nie Europejczyków.

Powinniśmy się uczyć taktyki od naszych przeciwników politycznych, którzy — jak p. S. Sharp czy Louis L. Gerson — politykę amerykańską rozpatrują na podłożu amerykańskim i w ramach amerykańskich kategorii myślenia. Dopóki nasi pisarze nie nauczą się pisać dla Amerykanów — dopóki będą komandosami ,,romantyczności" i wszelkiego rodzaju ,,królo-duchowania" — formatywny wpływ na amerykańską opinię będzie w rękach panów Gersonów a nie Wańkowiczów czy Haleckich.

STRASZEWICZ I DON CAMILLO

Recenzja K. A. Jeleńskiego o ,,Małym Światku Don Camillo" Guareschi'ego (*Kultura*, Nr 3/77) wywołała, rzec można, liczne i różnorakie echa. W poprzednim numerze ,,Kultury" ukazał się w tej sprawie artykuł Michała Sambora i ,,samokrytyka" Jeleńskiego. W pewnym stopniu dalszym ciągiem tej dyskusji była audycja dla radia F. E. zorganizowana przez Tymona Terleckiego. Piszący te słowa w ogólnej linii podtrzymywał negatywny pogląd Jeleńskiego — Don Camilla bronili zaciekle pp. Jan Bielatowicz i Janusz Kowalewski.

Redaktor J. Bielatowicz występując w obronie tzw. ,,czystej sztuki" zarzucił mi wobec... setek tysięcy słuchaczy radia F.E., że stosuję zasady krytyki soc-realistycznej, ściślej mówiąc marksistowskiej, wprowadzam bo-

wiem kryterium politycznej przydatności w ocenie danego dzieła literackiego. Problem postawiony przez Bielatowicza nie jest błahy.

Osobiście, wydaje mi się, że choć kryterium polityczne nie może być jedyną przesłanką w budowie oceny krytycznej — to jednak jak długo twierdzimy, że walczymy przeciwko komunizmowi — musimy brać pod uwagę polityczny wyraz danego dzieła. Dogmat, iż w ocenie dzieła literackiego decydują wyłącznie i jedynie kryteria estetyczne — sprowadza się (w sensie politycznym) do chemicznie czystego *neutralizmu*. Tylko wówczas, jeżeli jasno i wyraźnie zdeklarujemy, że w konflikcie: Wschód-Zachód — zajmujemy całkowicie neutralne stanowisko — będziemy mogli „gołąbka pokoju" Picassa i Don Camilla Guareschi'ego oceniać wyłącznie kryteriami estetycznymi.

„Mały Światek Don Camillo" jest propozycją frontu ludowego *à rebours* — frontu ludowego z inicjatywy katolików i prawicy. Całość tej niesmacznej książki zmierza do udowodnienia karkołomnej tezy, że współpraca pomiędzy strażą pożarną a podpalaczami jest nie tylko możliwa ale celowa i pożądana. Fakt, że cele podpalaczy (nawet we Włoszech!) nie pokrywają się z celami strażników jakoś uszedł uwagi świętobliwego Don Camilla i jego polskich protektorów.

Byłoby interesujące przeprowadzić analogię między światkiem Don Camilla i Peppone a światkiem naczelnika Bijasa z *Turystów z bocianich gniazd* Czesława Straszewicza. O ile komunistyczny wójt Peppone jest groteskową figurą z literackiej kreskówki, o tyle dzieje naczelnika Bijasa nie przestają być nigdy ani na chwilę prawdziwą „komedią ludzką". Naczelnik Bijas jest żywy i artystycznie prawdziwy w swej znakomitej przeciętności. Nie ulega wątpliwości, że większość naczelników Bezpieki tak właśnie wygląda. Bijasowie — jak większość przeciętnych ludzi — niczego nie wyznają i niczego nie głoszą. Oni tylko urzędują. Dla obecnego reżymu urzędują identycznie jakby urzędowali dla sanacji, gdyby była przy sterze.

Jeden z krytyków, omawiając powieść Straszewicza, podniósł jako zarzut, że autor widocznie nie wierzy w absolutne zło skoro jego naczelnik Bijas nie jest całkowicie zły.

Na emigracji obowiązuje sztanca : każdy funkcjonariusz Bezpieki musi być szatański. Bezpieka oczywiście nie urzęduje tylko odbywa sabaty czarownic w permanencji.

Straszewicz na szczęście wyłamał się z tego szablonu. Jego naczelnik Bijas nie jest ani demonem, ani Wallenrodem, ani skompleksowanym półinteligentem, ani groteskowym pajacem à la Peppone. Bijas jest upostaciowaniem małego, bezbarwnego, żywotnego, przyziemnego ludzkiego oportunizmu. Jest w tym prawdziwy, że nie głosi żadnej filozofii ani nie podaje recepty jak pogodzić Watykan z Kremlem. W gruncie rzeczy ani Kreml, ani Watykan nic go nie obchodzą. Życie w Gdańsku jest dość trudne i bez tego.

JASIEŃCZYK I SUBSKRYPCJA

Jak dotąd, różni autorzy z różnym powodzeniem ogłaszali subskrypcje na gotowe książki. Jasieńczyk wprowadził pewną nowość w tej dziedzinie. Ogłosił subskrypcję na powieść, którą, by móc wydać, trzeba wpierw ukończyć. Inicjatywa jest śmiała a cała kalkulacja opiera się na zaufaniu czytelników do autora. Jasieńczyk stawia sprawę otwarcie : dajcie mi pieniądze bym miał z czego spokojnie żyć przez miesiąc czy dwa, a ja w tym okresie czasu kończę książkę, wydam ją i roześlę subskrybentom.

W tej chwili wpłynęło już około 500 wpłat (potrzeba 600 — ideał byłby 700). W każdym razie można już dziś stwierdzić, że inicjatywa została

uwieńczona pewnym sukcesem. Dokończenie „Słowa o Bitwie" będzie w ten sposób dosłownie wykonaniem zamówienia społeczeństwa emigracyjnego. Książka zostanie ukończona i wydana ponieważ czytelnicy Jasieńczyka tego sobie życzą i gotowi są za to zapłacić.

Oczywiście na tego rodzaju inicjatywę może sobie pozwolić tylko autor popularny i chętnie czytany.

Interesujące jest, że dwie największe grupy zawodowe wśród subskrybentów książki Jasieńczyka to robotnicy fizyczni (170 egzemplarzy) oraz duchowni (80 egzemplarzy). Lekarze i dentyści, którzy należą do grup zawodowych najlepiej sytuowanych — zamówili (jak dotąd) tylko 9 egzemplarzy.

Pomysł Jasieńczyka kryje w sobie rewolucyjne możliwości. Idąc po tej linii można by zorganizować „Kluby książkowe" na całkowicie nowych założeniach. 600 subskrybentów „Słowa o Bitwie" powinno utworzyć klub książki polskiej i po wydaniu książki Jasieńczyka — zwrócić się do innego autora z propozycją sfinansowania jego książki. Z chwilą gdy klub nie tylko finansuje druk lecz i dwu czy trzy-miesięczne utrzymanie autora, który w tym okresie pisze zamówioną książkę — trudno już mówić o interesie wydawniczym. To nie jest „business" wydawniczy lecz wynajem autorów.

LONDYŃCZYK

Przegląd niemiecki

Niemcy rozporządzają dziś szeroko rozbudowaną siecią placówek i instytucji, których celem są systematyczne badania spraw wschodnio-europejskich. I tak np. Herder Institut w Marburgu posiada zbiory polskich publikacji większe niż jakakolwiek inna instytucja tego typu na Zachodzie. Jest to dziś najpoważniejsza centrala badań procesów politycznych, socjologicznych i gospodarczych jakie zachodzą w Polsce, w Czechosłowacji i w krajach bałtyckich.

Rada naukowa Instytutu J. G. Herdera wydaje kwartalnik pod nazwą „Zeitschrift für Ostforschung" oraz miesięcznik p. n. „Wissenschaftlicher Dienst".

Poza Marburgiem istnieją dwa niezmiernie czynne instytuty wschodnie: jeden w Berlinie a drugi w Monachium. Sztutgart jest siedzibą „Deutsche Geselschaft für Osteuropakunde", którego organem jest dwumiesięcznik „Ost-Europa". W Sztutgarcie ukazuje się również miesięcznik pod nazwą „Aussenpolitik", który bardzo wiele miejsca poświęca Europie wschodniej.

Oprócz licznych instytutów istnieją jeszcze „wschodnie" zespoły badawcze przy uniwersytetach jak np. w Getyndze znany „Goettinger Arbeitskreis".

St. Czechanowski omawiając niedawno rozwój niemieckich ośrodków badawczych na łamach „Ostatnich Wiadomości" doniósł w korespondencji z Berlina, że ostatnio postanowiono uruchomić w Tübingen „Institut für Ost-Europäische Geschichte", którego kierownictwo obejmuje prof. dr Werner Markert z Getyngi, jeden z wybitniejszych współpracowników instytutu Herdera. Równocześnie na uniwersytecie w Tübingen powstaje katedra studiów wschodnio-europejskich (Lehrstuhl für Ost-Europa-Forschung). Prof. dr Koch znawca historii Kościoła wschodniego stanął na czele zespołu naukowego dla badań wschodnich, który powstał ostatnio w ramach „Gesellschaft für Wissenschaft und Forschung" w Monachium.

Trzeba wreszcie podkreślić, że bardzo wiele miejsca i uwagi poświęca sprawom Europy wschodniej codzienna prasa niemiecka. „Ostatnie Wiadomości" są jedynym polskim pismem wychodzącym w wolnym świecie, które podają periodycznie dobrze redagowane przeglądy prasy niemieckiej. Ale pominąwszy ten chwalebny wyjątek trzeba stwierdzić, że polska prasa emigracyjna zagadnieniami niemieckimi w ogóle się nie interesuje. Jest to jeden z licznych przejawów „uteoretyczniania" się polskiej polityki emigracyjnej, która konsekwentnie unika wszelkiego styku z rzeczywistością. Tymczasem faktem jest, że Niemcy nie przestały być naszym najbliższym sąsiadem

i każda realna polska polityka problem niemiecki traktować musi jako zagadnienie pierwszoplanowe.

Celem „Przeglądu niemieckiego", który stanowi nowy stały dział „Kultury", jest wypełnienie owej „niemieckiej" luki w prasie emigracyjnej. Ufamy, że systematyczne omawianie czołowych periodyków i wydawnictw niemieckich — chociaż z konieczności ścieśnione do bardzo skromnych wymiarów — przyczyni się jednak do pogłębienia wśród naszych Czytelników znajomości współczesnych Niemiec co jest nieodzownym warunkiem rzetelnego porozumienia polsko-niemieckiego. Temu celowi w ramach naszych ściśle określonych możliwości pragnęlibyśmy służyć.

REDAKCJA

W poszukiwaniu utraconej wolności

Czytając pięć nowych powieści niemieckich mimowoli myślałem o nowej literaturze, która kiedyś przecież pojawi się w Polsce. Jakże trudno musi być pisać jako człowiek wolny po latach twórczości automatycznej, osnutej na narzuconej kanwie fikcyjnej, zewnętrznej rzeczywistości, w najlepszym razie po latach milczenia, introwersyjnego paraliżu. Cenzor, propaganda, opinia publiczna, materialne korzyści, sam strumień społecznego życia, sama możliwość tworzenia, choćby fikcyjnego — wszystko sprzysięga się w totalitarnym państwie przeciw indywidualnej prawdzie pisarza, tej prawdzie do której tak trudno dotrzeć nawet w warunkach rzekomej wolności, nawet tam gdzie nie działa bezpośredni, zewnętrzny przymus. Młody pisarz niemiecki musiał się czuć w roku 1945, po dwunastu latach panowania totalnej fikcji jak ci ludzie, którzy po długim życiu na pustyni stają się głusi i niemi, zapominają dźwięku ludzkiego głosu. Literaci niemieccy mieli co prawda za czasów hitlerowskiej dyktatury marginesową wolność, nie istniejącą w państwach „Diamatu" : mogli chronić się w rezerwatach miłości, życia prywatnego (chociaż i tu nakazy fałszywej „państwowotwórczej" moralności dawały względną swobodę tylko tym, którzy jej nie potrzebują, dla których bierna akceptacja zastępuje dylemat wyboru).

Niemal każdy pisarz niemiecki pierwszą swoją powojenną książkę poświęcił właśnie problemowi totalnej dyktatury, stosunkowi indywidualnego człowieka do nieludzkiego przymusu, który rządzi biernym stadem społeczeństwa. Myślę, że stało się tak nie tylko dlatego, że problemy te były w dymiących jeszcze ruinach Norymbergi czy Dortmundu jedynie aktualne, nie tylko dlatego, że potworny, błazeński „zmierzch bogów" strącił w katastrofę każdą niemiecką rodzinę. Wydaje mi się, że na to aby odzyskać swobodę tworzenia, aby utorować sobie na powrót

drogę do wolności, pisarz musiał przede wszystkim rozrachować się z paraliżującym koszmarem ostatnich lat. Jest to normalny odruch egzorcyzmu, czy też, w psychoanalitycznej gwarze, wysiłek twórczy dążący do pozbycia się kompleksu. Najciekawszym zagadnieniem jest właśnie skuteczność egzorcyzmu. Na podstawie kilku przeczytanych książek mam wrażenie, że w grę wchodzi tu nie tylko talent, nie tylko inteligencja pisarza, jego psychologiczna finezja, filozoficzna skuteczność. Ważny wydaje mi się natomiast sam teren egzorcyzmu, punkt, w którym pisarz toczy rozgrywkę z kompleksem. Można by tu zaryzykować przepisanie recepty dla pisarza, który wychodzi na światło dzienne, który likwiduje w sobie nagromadzone przez lata wewnętrzne zapory. Bo przecież najprostszym sposobem (do którego skłania również tradycja psychoanalizy) byłoby wytłumaczenie tych lat, inteligentny wgląd w indywidualne i zbiorowe motywy. Było tak i tak. Wszystko działo się w granicach ludzkich słabości, na mocy takiej właśnie psychozy. Pisarz tłumaczy i usprawiedliwia (*tout comprendre...*) Takich książek wydały nowe Niemcy najwięcej (z ,,Kwestionariuszem'' Salomona(*) na czele). Tylko że rozsądek, psychologia i historyczne poczucie względności ludzkich spraw sprawiają nam tu niespodziewany zawód. Książki te wiele tłumaczą, ale nie uwalniają. Zapora została opisana, skatalogowana, okrążona. Terenem egzorcyzmu była rzeczywistość zewnętrzna. Spośród pięciu niemieckich książek, przeczytanych ostatnio, trzy należą właśnie do tej kategorii i nie wychodzą poza interesującą przeciętność.

Inaczej z dwiema pozostałymi. Niewątpliwie Heinrich Böll i Alfred Andersch są świetnymi pisarzami (ale pisarsko również książka Goesa stoi na wysokim poziomie). Zasadniczą różnicą jest to, że dla Bölla i Anderscha terenem egzorcyzmu jest ludzka psychika. Książki te nie tłumaczą, ale oczyszczają. Zawarta w nich tragedia nie dotyczy potwornych wypadków widzianych okiem świadka, rozgrywa się ona wewnątrz duszy ludzkiej i dlatego urasta do miary prawdziwej *katarsis*.

W roku 1941, w najciemniejszej chwili wojny André Gide notował w swoim ,,Dzienniku'' : *Je ne compte plus que sur les déserteurs...* Dziwnym zbiegiem okoliczności, dezercja jest motywem powieści Bölla i Anderscha : obok samobójstwa jedyne drzwi wolności i godności ludzkiej otwarte wówczas dla żołnierza niemieckiego świadomego swej odpowiedzialności.

Der Zug war pünktlich Bölla (Verlag Friedrich Middelhauve, Opladen(**) jest powieścią (czy nie jest również poematem) rozgrywającą się w ciągu 24 godzin. Jest to niemal wyłącznie monolog wewnętrzny bohatera, w który wdziera się czasem błyskawicznie zewnętrzna rzeczywistość. Andreas wraca wojskowym

(*) Gallimard.
(**) W tłumaczeniu francuskim: *Le train était à l'heure* (traduit de l'allemand par Colette Audry, Editions Denoël, Paris, 1954).

pociągiem na wschodni front. Przeczucie (jeśli tak można nazwać intuicję, która przemienia najdrobniejsze wewnętrzne drgnięcia, najpospolitsze zjawiska zewnętrzne w żywe symbole) wyznacza mu bliską śmierć. Poprzez znane poetom i dzieciom magiczne badania (w których przeczytane przypadkiem słowa, liczby, eksploracja własnego życia urasta do żywych wskaźników) dochodzi on do daty i miejsca swego zgonu. Towarzysze podróży piją, grają w karty. Urywki ich rozmów składają się w potworną mozaikę piekła hitlerowskiej wojny. Pociąg przejeżdża zwolna przez polskie równiny, trzeba się przesiąść we Lwowie. Willi, zdradzony mąż, towarzysz podróży Andreasa, podoficer wzbogacony na czarnym handlu, zabiera jego i biednego Paula, młodą ruinę człowieka, do lwowskiego burdelu. Andreas spędza noc z polską studentką konserwatorium, która stała się prostytutką i pracuje dla polskiego wywiadu. Miarą poezji Bölla jest przemienienie tej nocy w burdelu w czystą pieśń miłosną, w spotkaniu Tristana z Izoldą. Andreas i Alina zdradzą oboje, spróbują się wyrwać z kleszczy historii, z brudu w którym musieli żyć. Ale przeczucie w pociągu było słuszne, śmierć — jak w Samarkandzie — dosięgnie ich jednak na drodze. Böll wie jak wydobyć prawdę ze splotu snu i rzeczywistości. Nigdy nie ulega żadnej pokusie skrzywienia własnej wizji w kierunku którejkolwiek z istniejących wersji zbiorowego mitu. Jako pisarz wywalcza sobie tą wolność którą na tak krótki tylko czas osiąga jego bohater.

◆

Die Kirschen der Freiheit (Frankfurter Verlaganstalt, Frankfurt (*) jest autobiograficzną powieścią Alfreda Anderscha, który sam, podobnie jak jego bohater, dwa razy był więziony w Dachau za komunizm i sam zdezerterował z armii niemieckiej we Włoszech w roku 1944.

A więc lipiec 1944. Żołnierz niemiecki rozpamiętuje swą młodość, swój dawny bunt i klęskę. Gorycz tych lat fermentuje i rośnie — krystalizuje się w decyzji która nada wreszcie sens jego życiu : dezercji. Przez cały dzień, w ,,no man's landzie'' etruskich ruin, wśród włoskich wzgórz i dolin włóczy się upojony wolnością, wreszcie sam, zanim go Amerykanie wezmą do niewoli. Ton Anderscha jest całkiem odmienny od gwałtownej poezji Bölla. Jest to gorycz człowieka który gardzi dziś stadem, który egzystencjalną decyzją wywalcza sobie na powrót chwilę ludzkiego istnienia. Andersch wiele zawdzięcza Camusowi, jest zapewne mniej oryginalny od Bölla, ale łączy ich głęboka uczciwość, dążenie do przebicia w głąb własnych motywów poprzez wszelkie pokłady społecznych i tradycyjnych pół i ćwierć prawd.

(*) W tłumaczeniu francuskim : *Les Cerises de la Liberté* (traduit de l'allemand par Jean Rousset, Editions du Seuil, Paris, 1954).

Dlaczego Albrecht Goes nie osiąga tego poziomu prawdy – i sztuki — w *Unruhige Nacht* (Friedrich Wittig Verlag, Hamburg, 1952 (*). Jego obrzydzenie do hitlerowskiej dyktatury jest może gwałtowniej jeszcze wyrażona niż u Bölla, czy Anderscha. Konstrukcja jest klasyczna, akcja skoncentrowana, z większym bodaj dramatyzmem. Styl wstrzemięźliwy, spokojny, świetne narzędzie do tego rodzaju ekspresji literackiej. Goes jest pastorem protestanckim — tak jak jego bohater, kapelan wojskowy na Ukrainie w roku 1942. Kapelan Goesa wezwany jest do pobliskiego garnizonu aby asystować przy rozstrzelaniu ukraińskiego dezertera. ,,Jak pozostać szlachetnym człowiekiem w czasach największego upadku'' — taki mógłby być temat książki Goesa. Böll i Andresch są ludźmi samotnymi. Ich wolność — ich ludzkość — zależy od tej najbardziej tajemnej i głębokiej decyzji którą podjąć można tylko samemu, wbrew społeczeństwu. Goes opiera się stale na tradycji. W jego ,,ludzkości'' pomaga mu Mozart i Goethe, nawet Clausewitz. I poprzez obrzydzenie do reżymu, do ludzi ,,zepsutych'', do ,,upadku'' Niemiec przebija głębokie zadowolenie z siebie samego, reprezentanta ,,Niemiec wiecznych''. Dlatego książka ta brzmi fałszywie — jest transferem na zewnątrz wyrzutu sumienia.



Hans Hellmut Kirst w *Sagten sie Gerechtigkeit, Captain*(**) naśladuje, w sosie Vicky Baum, Ernsta von Salomon. Obozy ,,zbrodniarzy wojennych'' w Niemczech — co za idealny pretekst do wykazania, że obóz koncentracyjny jest ostatecznie zawsze ten sam, obojętnie kto jest strażnikiem. Parę ,,czarnych charakterów'' spełni świetnie rolę kozłów ofiarnych, na których skrupi się wina społeczeństwa niemieckiego.



W *Null — Acht Fünfzehn* (Verlag Kurt Desch, Wien-München-Basel, 1954) tenże sam autor stara się stworzyć niemieckiego Szweika drugiej wojny światowej. ,,Humor'' jest może najsprytniejszą formą zrzucenia z siebie odpowiedzialności.

Myślę znowu o książkach, które kiedyś pojawią się w Polsce. Czy pisarze nasi będą dążyć do socjologicznego wytłumaczenia własnej uległości fałszywemu mitowi? Czy będą się powoływać na to, że stał przy nich w tych latach duch Mickiewicza, Norwida? Czy będą, może tworzyć polskich Szweików, polskich kapitanów z Köppenick? Czy też potrafią, jak Böll i Andresch znaleźć drogę do wolności we własnej psychice?

KAJ

(*) W tłumaczeniu francuskim: *Jusqu'à l'Aube* (traduit de l'allemand par Pierre Bertaux, Albin Michel, Paris, 1954).

(**) W tłumaczeniu francuskim: *Où est la Justice, Capitaine* (traduit de l'allemand par Eugène Bestaux; Robert Laffont, Paris, 1954).

Niepokojąca książka

W Niemczech Zachodnich ukazuje się bardzo wiele publikacji na temat Ziem Odzyskanych i Polski, ale tylko nieznaczna ich część jest analizowana w prasie polskiej. O wielu książkach i broszurach w ogóle nie wiemy, a na przykład kwartalnik *Ostforschung*, poświęcony niemal wyłącznie Polsce i Czechosłowacji nie jest znany Polakom.

W literaturze niemieckiej, poświęconej Polsce, zauważyć możemy dwie tendencje, które się z sobą krzyżują i mieszają. Jedna — to dążenie do uzasadnienia niemieckich żądań rewizjonistycznych, przygotowanie propagandowo-naukowe przyszłych posunięć politycznych w tej sprawie. Druga, to tendencja do wykazania, że istnieje wspólnota kulturalna między Niemcami, a Polakami i innymi narodami Europy Środkowej, że jej ignorowanie było błędem politycznym, że należy dążyć do ułożenia stosunków między Niemcami i Polakami na nowych podstawach.

Byłoby błędem przypuszczać, że można tu przeprowadzić jasną linię podziału między poszczególnymi autorami, czy poszczególnymi grupami badaczy. Obie tendencje występują u wszystkich niemal pisarzy w różnych formach i w różnych proporcjach. Nie ma autora, który by nie podkreślał, że należy dążyć do ułożenia na pokojowych, a nawet przyjaznych podstawach stosunków polsko-niemieckich, ale zarazem trudno znaleźć takiego, który by sobie zdawał sprawę z tego, że należy podejść do tego zagadnienia w sposób całkowicie szczery i całkowicie realistyczny, w oparciu o dzisiejszy, rzeczywisty układ stosunków ludnościowych, gospodarczych itd.

Stabilizowanie np. obecnego układu stosunków ludnościowych musi siłą rzeczy prowadzić do ewolucji poglądów niemieckich.

Trudno byłoby przypuszczać, że doświadczenie ostatnich pięćdziesięciu lat niczego Niemców nie nauczyły i nie nauczą, a przyjęcie z góry tezy, że stosunki z naszym sąsiadem zachodnim muszą być zawsze jak najbardziej wrogie, byłoby politycznie nierozsądne, a moralnie błędne.

Właściwy klimat wzajemnych stosunków i dyskusji może ulec poprawie także bez — niemożliwego dziś — ustalania zasad przyszłego współżycia. Im dalej posunięty będzie proces zbliżenia poglądów na zagadnienia szerszej natury, a w szczególności na zagadnienie struktury Europy i jej stanowiska w świecie dzisiejszym i jutrzejszym, tym łatwiej znajdziemy w przyszłości rozwiązanie zagadnień konkretnych, a bardzo trudnych.

Z tym większą troską musimy więc obserwować te wystąpienia, które zdają się zmierzać wprost do zatrucia wzajemnych stosunków. Nie przygotują one klimatu, w którym możliwe by było znalezienie sensownych rozwiązań.

Do tego typu publikacji zaliczyć musimy wydawnictwo profesora P. H. Seraphima pt. *Ostdeutschland und das heutige Polen.* Składa się ono z krótkiego opisu przemian, jakie zaszły w Polsce od wybuchu pierwszej wojny światowej do chwili dzisiejszej, zaopatrzonego w aparat źródłowy, z tabeli historycznej dziejów Polski od roku 963 do roku 1952 oraz z 84 wielkich tablic, z których każda zawiera po kilka mapek i wykresów statystycznych. Stosunkowo niska jak na takie wydawnictwo cena świadczy o tym, że chodzi o książkę, przeznaczoną dla szerszej propagandy w Niemczech, a zapewne także poza Niemcami.

Już pierwsze mapy historyczne zwracają uwagę swoim charakterem bardziej propagandowym niż naukowym. By uniknąć kłopotu, mapy historyczne nie są w ogóle komentowane, a tylko podane do wierzenia czytelnikom, przy czym aż cztery mapki wbijają mu w głowę, iż około roku urodzenia Chrystusa, w 100 lat później i w 500 lat później na ziemiach Polski mieszkali Germanie. Dalej mapy dobrane są tak zręcznie pod względem czasu, że mogłoby się wydawać, iż Rzeczpospolita na Pomorzu nigdy nie dochodziła do Bałtyku. Dla okresu 1772-1815 mamy cztery mapki, ale ani jednej, przedstawiającej nam Rzeczpospolitą między rokiem 1422 a 1772. Na mapie Polski dwudziestolecia dawne granice z roku 1914 zaznaczono inaczej niż np. granice między byłym zaborem austriackim a rosyjskim. Ta metoda stosowana jest konsekwentnie nadal i wszędzie gdzie się da, na przeszło 100 mapach, granica 1914 roku jest zaznaczana, zupełnie jakby miała dziś jakieś praktyczne znaczenie. Ziemie Odzyskane nazywają się zawsze „*Ostdeutschland*".

Niezwykle obszerne są wykresy i mapy, ilustrujące stan gospodarczy Polski. Jako podstawę porównań przyjmuje się rok 1948. Prawda, że dla tego roku dysponujemy bardziej szczegółowymi danymi. Tam jednak, gdzie można by uzyskać cyfry późniejsze, autor zatrzymuje się na roku 1948. Ma to specjalny cel : chodzi o wykazanie, że Ziemie Odzyskane nie są dotychczas gospodarczo wyzyskane, że poziom wytwórczości ma być tam niższy niż przed wojną.

Rzecz jasna, że dane z roku 1948 są tu absolutnie nie miarodajne, gdyż w trzy lata po strasznych zniszczeniach, wywołanych działaniami wojennymi i wywożeniem do Rosji urządzeń przemysłowych, maszyn rolniczych i inwentarza żywego, nie mogło być mowy o pełnej odbudowie wytwórczości. Statystyka nowsza musiałaby wykazać w szeregu dziedzin wzrost produkcji w stosunku do roku 1938.

Nie to jest jednak najważniejsze w pracy Seraphima. Najważniejszy jest sposób przedstawienia przez niego ruchów ludności w czasie wojny i po wojnie.

Zachodzi paląca potrzeba ich monograficznego przedstawienia przez Polaków na emigracji. Poczynania niemieckie w tej dziedzinie mają już swoją historię i świadczą, niestety, o dość daleko idącym braku poczucia odpowiedzialności, a nieraz o świadomej grze na nieznajomości tych niezwykle trudnych i skomplikowanych zagadnień, jaka powszechnie panuje na Zachodzie.

Już w roku 1949 ówczesne władze „dwuzony" we Frankfurcie opublikowały broszurę propagandową, w której usiłowały wykazać, że Polacy wymordowali dwa miliony Niemców. Obliczenie wyglądało w sposób następujący :

W roku 1939 mieszkało na wschód od linii Odra-Nisa, osób	9.577.000
W krajach sudeckich	3.300.000
RAZEM :	12.877.000
W roku 1949 mieszkało z tej liczby w trzech strefach okupacyjnych zachodnich	6.480.000
W strefie sowieckiej i Berlinie	4.500.000
RAZEM :	10.980.000
Zginęło	1.897.000
OGÓŁEM :	12.877.000

Przez „zginęło" rozumiano straty przy przesiedleniu.

Powyższe obliczenie, nie wiadomo czy wskutek świadomej złej woli, czy po prostu przez niechlujstwo statystyków, zawierało ogromny błąd. Nie uwzględniało ono ludności autochtonicznej, która pozostała na Ziemiach Odzyskanych i w krajach sudeckich — razem około 2 miliony, tudzież nie uwzględniało strat wojennych. W proporcji do ogólnej ludności Niemiec na Ziemie Odzyskane i Kraje Sudeckie powinno było przypaść około pół miliona strat wojennych w siłach zbrojnych. Ponadto nie precyzowano bliżej okoliczności, w jakich miała zginąć część ludności Ziem Odzyskanych i krajów sudeckich.

Skoro straty ludności cywilnej w czasie powstania warszawskiego wynosiły ćwierć miliona, to oczywiście musiały być też bardzo wielkie straty przy obronie Wrocławia, Królewca, Kołobrzegu, Szczecina itd., itd. Zresztą uchodźcy niemieccy ginęli masowo i dalej na zachód, gdyż posuwali się oni ogromnymi kolumnami po bombardowanych drogach, nieraz zatrzymywali się w miastach itd. W samym Dreznie miało w czasie słynnego nalotu zginąć 250.000 ludzi, w czym około połowa uchodźców. W końcu wiadomo, że całe zagadnienie ludności części Prus Wschodnich przyłączonych do Rosji (1.150.000) winno być trak-

owane odrębnie, gdyż Rosjanie wysiedlali na wschód, a nie na achód. Wedle oświadczenia kanclerza Adenauera z 16 stycznia 952 wywieźli oni do Rosji 700.000 Niemców.

Uwzględniając te poprawki doszlibyśmy do absurdalnego wyiku, mianowicie, że nie tylko nie brakuje uchodźców z Ziem Odzyskanych, ale, że jest ich o 2 miliony za dużo, po prostu, że ie wiadomo skąd się wzięli. Ten absurd statystyczny wynika nieskoordynowanego operowania dwoma tendencyjnymi sposoami przedstawienia rzeczywistego stanu rzeczy.

Po pierwsze ogólna ilość uchodźców jest sztucznie rozdymaa przez władze dla celów propagandowych, a przez zainteresovanych dla uzyskania korzyści osobistych, jakie daje zaliczenie o kategorii ,,Flüchtlingów''.

Po drugie propaganda zmierza do wykazania, że brakuje Niemców, gdyż wymordowali ich Polacy. Do tej tendencji wrócę eszcze później, obecnie trudność zagadnienia dostrzeżemy, biorąc pod uwagę jeszcze następujące fakty :

1) Statystyka uchodźców na terenie strefy sowieckiej jest bardzo niepewna.

2) Z ogólnej liczby uchodźców na terenie Republiki Związkowej (9.100.000 według tzw. *Sonne-Bericht,* to jest sprawozdania Komisji Rzeczoznawców) przypada 1.500.000 na uchodźców ze strefy sowieckiej oraz ponad milion na uchodźców nieniemieckich z innych terenów, a więc z Polski, Rumunii, Węgier, krajów bałtyckich itp.

3) Z tej kategorii część wyemigrowała do strefy sowieckiej a część do Austrii, a nawet często wprost do krajów trzecich, część natomiast była w czasie wojny osiedlona na Ziemiach Odzyskanych i znalazła się w statystykach zachodnio-niemieckich jako wysiedleńcy z Ziem Odzyskanych.

Ta ostatnia kategoria wysiedleńców tłumaczy częściowo tajemniczą nadwyżkę około 2 milionów uchodźców, rzekomo z Ziem Odzyskanych, którzy znaleźli się w wymienionym zestawieniu władz dwuzony z roku 1949.

Te wszystkie komplikacje skłaniają nas do zwrócenia szczególnej uwagi na statystyki ruchu ludności w pracy p. Seraphima i załączonych do niej wykresach. Z prawdziwym zdumieniem stwierdzamy, że przyznając już tym razem pozostanie 1,1 miliona autochtonów na ziemiach Polski, p. Seraphim tym niemniej nie redukuje przez to ilości ,,ofiar polskich okrucieństw'', ale powiększa ją do 3.200.000. Jest to już kompletna fantazja statystyczna i najzupełniej świadoma zła wola. Seraphim pisze dosłownie :

,,3,2 miliony straciły życie w roku 1945 i w następnych latach (wybicie, polskie obozy internowanych), lub były uprowadzone do Rosji''.

Błąd, który wynosił dla Polski 1.100.000 ludzi, a dla Czechosłowacji jeszcze 800.000, został usunięty, ale równocześnie dla samych ziem polskich powiększono ilość ofiar do 3,2 milio-

nów. Poprzednie wyliczenia nie precyzowały, ile z rzekomo wymordowanych 2 milionów przypada na Polskę, ile na Czechosłowację. Teraz z tych 2 milionów 1.100.000 odżywa w charakterze „Niemców przymusowo zatrzymanych" (tak ich określa p. Seraphim), a mimo to ogólna ilość wymordowanych nie zmniejsza się, lecz przeciwnie wzrasta.

Rezultat ten osiąga p. Seraphim przy pomocy środków, jak na profesora uniwersytetu, niesłychanie prymitywnych : po prostu nie robi ogólnego zestawienia liczby uchodźców wedle miejsca pochodzenia, bardzo ryzykownego, jak pouczyło doświadczenie władz Bizonii z roku 1949.

Na stronie 17 pisze Seraphim, że z 9,5 milionów ludności Ziem Odzyskanych (z Gdańskiem) 2,7 miliony Niemców uciekło, 2,2 miliony wysiedlono, 900.000 zmusili Polacy do zapisania się na autochtonów i pozostania, wymordowano lub wysiedlono do Rosji 3.200.000, razem 9 milionów — pozostałe pół miliona, to prawdopodobnie, zdaniem p. Seraphima autentyczni Polacy i zapewne częściowo straty sił zbrojnych. Wypadałoby z tego obliczenia, że uchodźców z Ziem Odzyskanych jest na terenie Niemiec tylko 4.900 tysięcy.

Tymczasem wedle statystyki, ogłoszonej przy 23 wykresie tego samego wydawnictwa było ich, nie licząc uchodźców z Gdańska 5.645.000 już w październiku 1946 roku kiedy repatriacja nie była wcale zakończona — poważne transporty przychodziły po tej dacie. Łącznie z uchodźcami z Gdańska i ziem Polski miało być tych uchodźców 6.243.000. Otóż jeżelibyśmy do tej liczby dodali 2.800.000 Niemców wysiedlonych z krajów sudeckich, wypadłoby, że uchodźców z Ziem Odzyskanych i z Sudetów mogło być najwyżej 8.145.000, podczas gdy statystyka niemiecka z roku 1949 podaje że było ich (powtarzamy: wyłącznie z Ziem Odzyskanych i z Krajów Sudeckich) 10.980.000.

P. Seraphim z zimną krwią w wykresie 18 dodaje sobie 745 tysięcy do cyfry, którą sam ogłosił na stronie 20 (cóż to jest, dla profesora uniwersytetu i statystyka, 745.000 — drobiazg bez znaczenia), potem podaje cyfrę, która wykazuje niezgodność z danymi urzędowymi statystyki niemieckiej o 2.855.000, nic dziwnego więc, że w końcu wypada mu, iż to Polacy wymordowali 3.200.000 Niemców, podczas gdy w rzeczywistości p. Seraphim przekręcił statystykę.

Różnica w podanej liczbie uchodźców jest nawet większa, bo wynosi nie 3.200.000, lecz razem 3.600.000. Tu znowuż występuje zagadnienie przejściowych mieszkańców Ziem Odzyskanych, poprzednio wysiedlonych z krajów bałtyckich, Rumunii itd., lub też przybyłych na Ziemie Odzyskane z prowincji zachodnich. Ślady zacierania tej różnicy widzimy zresztą już przy wykresie nr 22-23, gdzie ogólna ilość Niemców na Ziemiach Odzyskanych podana jest na 9.800.000, podczas kiedy na stronie 17 tekstu Seraphim podaje, że było ich „prawie 9 milionów" (faktycznie około 8 milionów). Znów widzimy tu jeden z bardzo wielu przykładów zupełnej beztroski już nie tylko o zgodność

ʼfr z rzeczywistością, lecz również o zgodność cyfr ogłaszanych różnych częściach tego samego wydawnictwa. Poza wszystkim st to dość kompromitujące dla nauki niemieckiej.

Na stronie 16 pisze Seraphim, że około miliona Niemców, tórzy w 1939 roku mieszkali na terenie ówczesnej Polski wyedlono lub „wyniszczono", natomiast przy wykresie 23 podao, że z miliona Niemców, mieszkających na terenie Gdańska, olskiego Pomorza i Poznańskiego 598.000 wysiedlono a 402.000 marło, zostało uprowadzonych lub *pozostało*. W tekście nie względniono już tej możliwości pozostania. Po prostu: „wyedlono lub wyniszczono" (vernichtet). W tym miejscu jest odyłacz. W odsyłaczu podano źródła tej informacji: *Rocznik Staystyczny* z r. 1949 i Polnische Zeitschrift *Universum*, Nr 3, lünchen, 1949, oraz W. Essen, *Statistische Ostmitteilungen*. e zdumieniem szukam, czy w piśmie przeze mnie redagowanym yła jakaś wzmianka na ten temat, której bym nie pamiętał. Nie ıa nic. Natomiast w Nr 3 *Universum* z r. 1946 jest próba przedtawienia konsekwencji wojny, pierwszy szkic orientacyjny, któy za żadne źródło dla dziś ogłaszanych publikacji nie może chodzić. O mordowaniu Volksdojczów ani słowa. Więc po óż p. Seraphim podaje to polskie „źródło"? Czy po to, żeby oczach czytelnika zdobyć sobie opinię bezstronnego, czy po o, by wspierać swe twierdzenie o „wyniszczeniu" rehabilitowaych przez sądy krajowe Volksdojczów polskimi źródłami? I tak ikt nie stwierdzi, co to polskie źródło pisze, bo trudno o komlety *Universum* w bibliotekach, a zresztą przecież data jest mieniona!

Może przypadek — może zła wola. Mniej wątpliwości many przy ocenie motywów, dla których Seraphim w ogóle nie ıczy się z prawdą. Chodzi o to, by na kogoś rzucić niesłuszne skarżenie. Stwierdźmy więc, kogo się oszczędza, a kogo obciąża viną niepopełnioną. Prawdą jest że straty wśród ludności nieniemieckiej na wschodzie były. Jakie — trzeba sumiennie obliczyć. Nydawnictwo oficjalne *Deutschland acht Jahre danach* ocenia e na 1.550.000. Wiadomo, że Rosjanie wysiedlili do Rosji 700 ysięcy — cyfrę tę zna kanclerz Adenauer, przemilcza ją Serahim. O stratach przy obronie Wrocławia, Szczecina i innych niast, o Dreźnie już wspominaliśmy. W Zalewie Kurońskim vskutek załamania się lodów zginęły nieprzeliczone i nie dające ię przeliczyć rzesze uchodźców. Same warunki ewakuacji przed bliżającą się Armią Czerwoną były straszne. Znajdowałem się vówczas na trasie tej wędrówki ludów i widziałem jak karawany vozów, prowadzonych przez starców, kobiety i dzieci znaczyły wą drogę mogiłami.

Potem przyszła czerwona armia, której wyraźnie powiedziaıo (słynny artykuł Ehrenburga!), że znajduje się na ziemi wroa, którego trzeba ukarać. Postępowała ona z ludnością w spoób brutalny, powiększając ilość ofiar. Ofiary więc były — cyfra .550.000 jest przesadzona, ale niezbyt odległa od prawdy, jeeli weźmiemy pod uwagę, że obejmuje ona zapewne Sudety

oraz straty ludności cywilnej wskutek nalotów i działań wojennych także w latach 1944 i 1945. Przypominamy, że Seraphim podaje straty od 1945 na 3.200.000.

Spróbujmy zestawić teraz ogólną ilość uchodźców w Niemczech z danymi p. Seraphima. Wedle tzw. *Sonne Bericht* najobszerniejszego dokumentu półurzędowego niemieckiego, jaki ogłoszono w tej sprawie, ilość uchodźców niemieckich ze wschodu na terenie Republiki Związkowej i Strefy Sowieckiej ma wynosić 13.500.000.

Wedle Seraphima z Polski wysiedlono ..	2.200.000
,, ,, zbiegło ..	2.700.000
Z Czechosłowacji wysiedlono najwyżej ..	2.300.000
Razem ..	7.200.000

Cyfrę wysiedleńców z Czechosłowacji przyjmujemy na 2.300.000, gdyż w ogóle w krajach sudeckich było 3.300.000 ludności, z czego 800.000 pozostało (czeskie pochodzenie, przynależność do organizacji demokratycznych, która zwalniała od wysiedlenia), 200.000 przyjmujemy jako straty wojenne (wojsko i ludność cywilna). Pozostałoby 6.300.000 wysiedlonych z takich krajów jak Polska (bez Ziem Odzyskanych i Gdańska), kraje bałtyckie, Besarabia, Bukowina, Węgry. Otóż w ogóle na całym wschodzie nie było tylu Niemców. Ze wszystkich krajów bałtyckich i z Rumunii przesiedliło się najpierw do Polski a później do Niemiec 482.000, z Polski w dawnych granicach wyjechało 500.000, a reszta poddała się procesom rehabilitacyjnym, z miliona Niemców rosyjskich nie ma ani śladu, z Węgier mało kto zdążył wyjechać, a zresztą część z tamtejszych uchodźców pozostała w Austrii.

Skonfrontowanie obliczenia, dotyczącego ogółu uchodźców z obliczeniami Seraphima wykazuje, jak strasznie niektórzy niemieccy statystycy zaplątali się w sprzecznościach. Cyfry Seraphima, jeżeli byłyby prawdziwe, w zestawieniu z danymi o uchodźcach ze wschodu oznaczałyby, że Rosjanie pieczołowicie wywieźli wszystkich Niemców z naszych kresów, z krajów bałtyckich, znad Wołgi, Besarabii na zachód, przy czym jeszcze ilość tych Niemców okazała się znacznie większa niż przed wojną, natomiast, jak to czytamy przy wykresie 17, na Ziemiach Odzyskanych zabito 3.200.000 Niemców, a w Polsce dawnej jeszcze milion ,,zginęło i wysiedlono''.

Niemcom brak 3.200.000 lub nawet 3.700.000 ludzi niemieckiej krwi z całego wschodu (por. Gause, *Deutsch-Slawische Schicksalsgemeinschaft,* str. 288). Seraphim chce wywołać wrażenie, że te straty powstały na terenie Polski, a także że obciążają nasz rachunek. Wystarczy tu sugestia i przemilczenie, by przerzucić odpowiedzialność za ofiary nalotów, działań wojennych i wysiedleń sowieckich na Polaków. Seraphim pisze o trzech milionach, które wymarły między innymi w ,,polskich obozach

internowanych''. W jednym wypadku udało mi się stwierdzić, że dziennikarzowi zagranicznemu, pytającemu w urzędzie prasowym w Bonn co się stało z brakującymi 2 milionami Niemców (wersja 1949) odpowiedziano: za ich śmierć ponoszą odpowiedzialność Polacy. Otóż miejscem śmierci licznych rzesz Niemców były ulice bronionych, czy bombardowanych przez aliantów miast, drogi ewakuacji, ale nie ,,polskie obozy''. Tendencja do obciążania nawet Rosjan, byle obciążyć Polaków jest, co tu dużo mówić, niepokojąca dla Polaka, który przywykł od dwudziestu pięciu lat obserwować propagandę niemiecką i jej następstwa.

A teraz przypatrzymy się, co się stało z ludnością polską i żydowską w czasie wojny wedle Seraphima? Jest i na to odpowiedź. Wykres nr 17 podaje takie informacje o Żydach: ,,3,5 *milionen getötet und emigriert''*. To *,,und emigriert''* jest makabrycznym żartem. Polacy byli tępieni, ale tylko przez Rosjan: 3 miliony pozostało na wschodzie lub tam zginęło, pół miliona pozostało na zachodzie (mniej! przyp. W. Z.). 650.000 wynosił ubytek wskutek zmniejszenia liczby urodzin (na wykresie 700 tysięcy) i śmiertelności naturalnej — no i 150.000 (na wykresie 200.000) zginęło wskutek działań wojennych. Te informacje, nie poparte żadnymi solidnymi obliczeniami, podane po prostu czytelnikowi do wierzenia, są równie fantystyczne jak informacje o stratach niemieckich. Ilość pozostałych na wschodzie przesadzona wskutek tego, że Seraphim uwzględnia tylko repatriację ujętą w zorganizowane ramy, a nie uwzględnia samorzutnego ruchu na zachód w pierwszych miesiącach po zakończeniu działań wojennych, a nawet jeszcze przed zakończeniem działań wojennych. Ponadto Seraphim szacuje ubytek naturalny ludności w czasie wojny na 650.000, co jest zupełną fantazją, gdyż w ostatnich latach wojny ilość urodzeń na wsi, zwłaszcza na wsi, skoczyła silnie w górę, wzrost śmiertelności w żadnym wypadku nie mógł skompensować całej nadwyżki urodzin. Wedle szacunków polskich był w czasie wojny naturalny przyrost netto około 300.000. Różnica z obliczeniem Seraphima wynosi prawie milion.

Ale wszystkie te zabiegi — powiększenie ilości Polaków pozostałych w Rosji i na emigracji, wprowadzenie ,,ubytku naturalnego'' — służą do tego, by doprowadzić straty wojenne Polski do absurdalnej cyfry 150.000, podczas gdy w samej Warszawie zginęło blisko dwa razy więcej, nie licząc Żydów.

W ten sposób w świetle statystyk Seraphima nie było masowych mordów ludności polskiej pod okupacją niemiecką (kacety), nie było około półtora miliona ich ofiar, natomiast... Polacy wymordowali 3.200.000 Niemców.

◆

Jak już podkreśliliśmy wyżej, strona naukowa pracy p. Seraphima za poważną uchodzić nie może. Trudno jednak nie traktować poważnie jej strony politycznej, jeżeli się pamięta o pro-

pagandowym przygotowaniu zbrodni obozów koncentracyjnych w przede dniu wybuchu wojny. Doświadczenia stosunków polsko-niemieckich każą nam takie rzeczy, jak wydawnictwo p. Seraphima brać niezwykle serio. Wszystko tam budzi niepokój : tendencja do dyskretnego wybielania Rosji, a obciążania rachunku Polaków; sugerowanie, że miały miejsce jakieś masowe mordy ludności niemieckiej; zacieranie winy i odpowiedzialności wobec Polaków za obozy koncentracyjne. Wytwarza to atmosferę sprzyjającą raczej powtórzeniu wypadków, które leżały u źródła katastrofy Niemiec hitlerowskich i katastrofy Polski, a szerzej rzecz ujmując — katastrofy europejskiej.

Trzeba sobie jasno postawić pytanie, kto ponosi za owe wypadki większą odpowiedzialność polityczną i moralną? Czy degeneraci z SS, będący bezpośrednimi wykonawcami, czy też propagandyści na usługach Hitlera, którzy przez swą działalność ,,naukową''. stwarzali atmosferę, konieczną dla przeprowadzenia masowych zbrodni?

Trudno od nas wymagać, byśmy na takie zjawiska, jak praca Seraphima, nie reagowali, trudno wymagać, by nie budziły one u nas obaw. Obawy te będą szczególnie silne u tych, którzy z uporem nie chcą wykluczać możliwości wielkiej przemiany w stosunkach naszych narodów.

Wojciech ZALESKI

Książki

Powrót Saracenów

ISLAM WE WSPÓŁCZESNEJ LITERATURZE FRANCUSKIEJ

Pojawienie się w ciągu ostatnich kilku lat szeregu mahometańskich powieściopisarzy z Algerii, zwróciło uwagę paryskich miesięczników literackich na tak zwany ,,problem afrykański'' we francuskiej literaturze. W trzech kolejnych numerach ,,Nouvelle Revue Française'' z 1953 roku René Etiemble omawiał ten problem z punktu widzenia domniemanego ,,powrotu Berberów''. Mieliśmy rzekomo do czynienia z powrotem Berberów, niegdyś podległych romańskim wpływom w tym samym stopniu co ludność Hiszpanii czy południowej Francji, potem zawojowanych przez Arabów i nawróconych siłą do Islamu, na łono zachodniej cywilizacji, od której byli odcięci przez wieki jakby żelazną kurtyną.

,,Berberofilia'' jest motywem często powtarzającym się w polityce francuskiej w stosunku do północnej Afryki. W Maroku chociażby, zachęcono paszę Marakeszu — ,,El Glaui'' dla południowych szczepów berberskich — do zorganizowania i przywództwa ruchu zwróconego przeciw sułtanowi i jego otoczeniu złożonemu ze zwolenników panislamistycznego stronnictwa Istiqlal, co zakończyło się detronizacją sułtana. Również w Algerii Francuzi potrafili znacznie osłabić opozycję przez odciągnięcie żydowskiej mniejszości i najstarszej tubylczej ludności berberskiej od potomków ich arabskich najeźdźców. Już od kilkudziesięciu lat, na długo przed powstaniem Ligi Arabskiej i przed zalotami polityków Bliskiego Wschodu w kierunku Magrebu, francuska polityka kulturalna dążyła do europeizacji Kabylów, bladoskórego szczepu Berberów, często o niebieskich oczach i jasnych włosach, będących może potomkami tych germańskich Wandalów, którzy po zniszczeniu Rzymu osiedlili się w okolicy odpowiadającej dzisiejszej wschodniej Algerii i północnej Tunizji.

Francuzi są osadzeni w Algerii od 1830, w Tunizji od 1881, w Maroku od 1912. Każda z tych części Magrebu wykazuje nie tylko różny stopień emancypacji spod feudalnego Islamu, ale również różne koncepcje zarówno życia islamicznego jak i zadań i celów mocarstwa kolonialnego. W Tunisie na przykład wpływ ottomańskiej Turcji był stosunkowo silny i jest dotąd widoczny w stylu życia wyższych klas mahometańskich w stolicy. W Maroku feudalny Islam arabskich najeźdźców przechował się niemal nietknięty, podobny do stosunków w samej Arabii. W Algerze utworzyło się zepsute i chaotyczne państwo arabskie, w teorii zależne od cesarstwa ottomańskiego, w praktyce oddane piractwu na morzach i bandytyzmowi.

W Algerii, Francuzi postawili sobie za zadanie przerobienie na długą metę Żydów i Mahometan, Arabów i Berberów na oświeconych obywateli racjonalnej i liberalnej francuskiej demokracji, nie uznającej autorytetu żadnego wyłącznego kościoła i nie robiącej rozróżnień w stosunku do wyznania, rasy czy koloru. W protektoracie tuniskim, Francuzi pozostawili każdemu obywatelowi do wyboru czy woli stać się francuskim obywatelem, czy też woli czekać aż dojrzeje koncepcja autonomicznej Tunizji. W Maroku nie ma podobnego wyboru i każdy musi czekać, pod francuskim protektoratem, aż wykluje się samodzielne państwo marokańskie.

Francuska literatura Magrebu odzwierciadliła w ostatnich latach wiele z tych indywidualnych czy zbiorowych procesów spowodowanych zmiennymi prądami społecznymi, kulturalnymi czy gospodarczymi w tak bardzo złożonych społeczeństwach. Powieści o życiu w północnej Afryce przez szereg lat były głównie dziełem pisarzy, będących z pochodzenia francuskimi osadnikami. ,,Kolor lokalny'' był ich ulubioną nutą, na tle orientalizmu z gatunku handlarzy dywanów i z posmakiem tak zwanych ,,tajemnic Islamu''. Kilku mahometańskich pisarzy, między innymi zarabizowany Berber z Fezu, Ahmed Sefrioui, autor *Le Chapelet d'Ambre* (Julliard, Paris, 1952), zbioru dość uroczych, lecz nieco pretensjonalnych szkiców lokalnych, kontynuuje tę tradycję, która oczywiście przypada do gustu prowincjonalnych estetów i przemysłu turystycznego. Lucienne Favre, powieściopisarka i autorka dramatyczna, zamieszkała w Algerii, przed dwudziestu laty pierwsza podeszła do życia północno-afrykańskiego w sposób mniej romantyczny. *Prospère,* jej kolorowa sztuka o mętach algerskiej Kasby, miała duże powodzenie w Paryżu. Ale dopiero Albert Camus i Emmanuel Roblès, zwłaszcza po roku 1944, wnieśli do literatury francuskiej napięcie, gwałtowność i rozpacz, cechy, które wydają się nam dziś specjalnie afrykańskie, podobnie jak w amerykańskiej literaturze pokrewne cechy są właściwe dziełom Faulknera i kilku innych pisarzy z południa. W pewnym sensie, Afryka stała się w ostatnich latach we francuskiej literaturze odpowiednikiem amerykańskiego południa, i — mimo wszelkich francuskich wysiłków aby tego uniknąć — w wielu północno-afrykańskich książkach — tak samo zresztą

jak w życiu tych wielkich miast francuskiej metropolii, w których osiadła liczna grupa północno-afrykańskich robotników — zaczyna dziś przebijać problem ,,koloru'' — w pewnym sensie kwestia ,,rasowa''.

Camus i Roblès wydobyli z północno-afrykańskiej atmosfery wyostrzoną świadomość kontrastów i konfliktów. Obaj byli poza tym bardzo pomocni wszystkim młodym pisarzom z północnej Afryki — obojętnie czy Europejczykom, Mahometanom czy Żydom — w wydaniu ich książek i stworzeniu zainteresowania publiczności tą literaturą.

Wśród pisarzy mahometan, Mouloud Mammeri, młody Kabyl z Algerii wydał jedną powieść *La Colline Oubliée* (Plon, Paris, 1953) i kilka nowel po miesięcznikach. Język rodowity Mammeri — to kabylski, dialekt berberski z silną domieszką arabskiego. Francuskiego nauczył się on w szkole, po opuszczeniu swej wioski. Rodzice jego są względnie zamożnymi właścicielami ziemskimi, i stąd *La Colline Oubliée* nie zawiera żadnego posłannictwa społecznego czy politycznego. Jest to rodzaj afrykańskiego ,,Grand Maulnes'' : ta sama nostalgia szczęśliwego dzieciństwa zanim przyjdą rozczarowania i konflikty. W idyllicznym świecie dzieciństwa Mammouri, społeczeństwo które opisuje było jeszcze samowystarczalne. Zamożniejsi posiadacze ziemscy opiekowali się biedniejszymi krewnymi i sąsiadami. Było dość pracy dla wszystkich, dość młodych mężczyzn by poślubić wszystkie dziewczęta, dość żywności dla całej wioski. Później, bezrobotni zmuszeni byli szukać pracy w odległych kopalniach czy fabrykach Francji, pozostawiając pola leżące ugorem, puste meczety i niezamężne dziewczyny. Wreszcie przyszła, jak przekleństwo, wojna i głód, rozkład całego społeczeństwa i jego kultury.

Mouloud Feraoun, również Kabyl z Algerii, zwraca więcej uwagi na problemy społeczne i psychologiczne, niż na poezję sielskiego świata i jego rozkładu. Jest on synem fellaha, biednego chłopa, który kilka razy musiał emigrować na robotę do Francji aby móc utrzymać rodzinę. Dzięki osobistemu zainteresowaniu francuskiego nauczyciela, Feraoun otrzymał stypendia, pozwalające mu na studia. Dziś jest dyrektorem gimnazjum w Fort National w Algerii. Zeuropeizowana elita Kabylów wzoruje swe życie, jak się wydaje, na francuskich nauczycielach, oficerach i urzędnikach, zazwyczaj wykształconych, ale skromnych i nieco prowincjonalnych w upodobaniach. Kabylowie nie mają feudalnej tradycji Arabów i wydają się zadowoleni z życia społecznego i kulturalnego, które grawituje wokół jakiegoś Café du Commerce. Pierwsza książka Feraouna, *Le Fils du Pauvre* (Editions du Seuil, Paris, 1953) jest głównie autobiograficzna. Kanwą jej jest jego życie jako biednego ucznia, gorycze i ambicje syna berberskiego fellaha, dla którego stanowisko nauczyciela wydaje się szczytem marzeń. Kiedy ją czytałem, uderzyło mnie wielkie podobieństwo do włoskiej szkoły ,,werystów'' z południa. Berberscy fellahowie Feraouna są właściwie braćmi ,,caf-

fonów'' Silonego z górskich Abruzzów, chłopów i mieszczan opisanych przez Vergę czy Pirandella w ich sycylijskich powieściach, wydziedziczonych mieszkańców miasteczek Lukanii czy Apulii, których opisał Carlo Levi. Na południe od Neapolu i na północ od Sahary, czy na lądzie włoskim, na wyspach, czy też w Afryce, krajobraz, trudy, wierzenia, miłości, nienawiści, przesądy i ,,vendetty'' wydają się identyczne.

Mohammed Dib, młody pisarz arabski ze starego islamistycznego centrum jakim jest miasto Temcen, wydał już kilka nowel i obecnie pracuje nad trylogią, której pierwsza część ,,*La Grande Maison* (Editions du Seuil, Paris, 1953) jest opowieścią nędzy, przeludnienia i głodu w najbiedniejszej dzielnicy miasta. Jego bohater, Omar, jest chłopcem żyjącym w jednym pokoju wielkiego arabskiego ,,funduku'' (rodzaj olbrzymiego budynku mieszkalnego) razem z owdowiałą matką i dwiema siostrami. Matka jest wciąż przepracowana i zrozpaczona, dzieci wiecznie głodne. Żyją w strasznej atmosferze goryczy, strachu, zazdrości, brutalności, a jednak zdobywają się na irracjonalne gesty szczodrości wobec bardziej jeszcze wydziedziczonych. Książka Diba jest serią żywych szkiców. Kończy się na wybuchu wojny w roku 1939, wypadku niezrozumiałym dla Omara i jego towarzyszy, ale który daje im poczucie czegoś niezwykłego i kończy ich dzieciństwo.

Cynizm zawarty w książce Diba odnajdziemy w powieści Alberta Memmi, *La Statue de Sel* (Corréa, Paris, 1953). Jest to znów rzecz autobiograficzna, opisująca życie w przeludnionym żydowskim ghetcie Tunisu . Memmi opisuje wysiłki młodego intelektualisty, czynione by wyrwać się z nędzy i upokorzeń ghetta. Wysiłki te są dodatkowo utrudnione fanatyzmem arabskim i nazistowską okupacją Tunizji, wahaniami i brakiem odwagi zwyciężonych Francuzów. A więc będzie to pogrom w Tunisie w roku 1939, obozy pracy przymusowej dla tuniskich Żydów za okupacji niemieckiej, odmowa uwolnionych Francuzów przyjmowania żydowskich ochotników z Tunizji do wojska.

Mohammed Dib, Arab z wielkiego miasta, do którego dotarła już świadomość własnej ohydnej nędzy i obietnic pan-islamistycznego nacjonalizmu, i Albert Memmi, Żyd mgliście marzący o sjonizmie, ale tymczasem będący pierwszą ofiarą każdego konfliktu czy to pomiędzy Francją i Niemcami, czy pomiędzy Francją i arabskimi nacjonalistami, są obaj o wiele bardziej świadomi politycznych zagadnień niż Mammeri czy Feraoun. Czytelnik nie znający północnej Afryki mógłby nawet przypuścić, czytając te cztery książki, że większość ludności, z wyjątkiem miejskiego proletariatu arabskiego i mieszkańców żydowskiego ghetta, jest właściwie zadowolona z własnego losu. Doktryną, pociągającą proletariat arabski byłby nacjonalizm, Żydów zaś — sjonizm, skoro zarówno Dib jak i Memmi nie wspominają nawet o komuniźmie. Ale do jakiego stopnia istnieje arabski nacjonalizm bez komunistycznej infiltracji ?

Czy Islam stanowi rzeczywiście skuteczną zaporę przeciw komunizmowi? Pobożny mahometanin musi oczywiście wierzyć, że jego wyznanie jest jedynie prawdziwe, że chrześcijaństwo i judaizm są pełne błędów, wszystkie zaś inne wiary całkiem fałszywe; powinien odrzucać komunizm równie zdecydowanie jak agnostyczny pozytywizm czy pragmatyzm, na którym wydaje się dziś opierać cywilizacja zachodnich demokracji. Ale czy mahometanie z Afryki północnej czy zachodniej są istotnie tak głęboko przywiązani do swej wiary i głusi na pokusy innych form kultury — czy to z Moskwy, czy z Zachodu?

Présence Africaine, miesięcznik wydawany w Paryżu przez zachodnio-afrykańczyków poświęcił ostatnio specjalny numer młodym pisarzom i ankiecie pt. ,,Głos mają czarni studenci'', która przedstawia punkty widzenia studentów Murzynów z całego świata. Wśród tych zachodnio-afrykańczyków, nie mahometanie wydają się podatniejsi na wpływy, z jednej strony chrześcijaństwa czy zachodniego pragmatyzmu, z drugiej zaś strony komunizmu czy afrykańskiej nacjonalistycznej ideologii typu Mau-Mau. Wyznawcy proroka wydają się bardziej zabezpieczeni przed obcymi wpływami ideologicznymi. Przykładem dużej równowagi duchowej i politycznej jest powieść Camara Laye, Murzyna z Guinei, pt. *L'Enfant Noir* (Plon, 1953). Jest to wyraz społeczeństwa tradycjonalistycznego, o całkowitej dotąd integracji.

Wszyscy pisarze afrykańscy, nawet ci, którzy tak jak Dib czy Memmi, zachowali nieco goryczy, są jednak ostatecznie członkami nowej uprzywilejowanej klasy ,,specjalistów'', są szeroko rozgłaszanymi dowodami ,,demokratyzacji'' polityki kolonialnej. Są to ci przedstawiciele ,,nowej'' Afryki, których wozi się samolotami na różne bursy po zagranicznych uniwersytetach, którzy reprezentują tzw. ,,terytoria zależne'' na zjazdach i konferencjach różnych UNESCO czy FAO. Sam fakt że przyjmują oni te przywileje już ich siłą rzeczy odcina od pozostałych członków społeczeństwa. I może dlatego właśnie piszą oni przeważnie o własnej idyllicznej przeszłości, a tak rzadko o obecnych rozczarowaniach czy nadziejach na przyszłość.

Ciekawe są reakcje francuskich krytyków w stosunku do tych ,,powracających Saracenów''. Można ich podzielić na cztery grupy. Pierwsza, to prawicowi krytycy, starający się wykorzystać te książki jako dowód mądrości i powodzenia francuskiej polityki kolonialnej i asymilacji kulturalnej. Druga grupa, złożona ze snobów literackich i purystów, zignorowała ich całkowicie, lub zdyskwalifikowała jako naiwnych nudziarzy. Trzecia grupa, lewicowych estetów antykolonialnych jak René Etiemble, wychwalała każdego z nich jako wyraz woli mas afrykańskich osiągnięcia wolności politycznej i gospodarczej. Wreszcie czwarta grupa, wokół *Les Temps Modernes* Sartre'a i ,,progresywnego'' *Observateur* potępiła wszystkich tych pisarzy afrykańskich z wyjątkiem jednego Albert Memmi, jako konformistycz-

nych niewolników reżymu kolonialnego, korzystających z tego reżymu.

Wielu z nas, co prawda, ma nadzieję, że powstanie kiedyś książka, którą mógłby może napisać Mohammed Dib raczej niż Mouloud Mammeri czy Camara Laye: dzieło epiczne w tradycji „Voyage au Bout de la Nuit", które by oddało tragedię biednego robotnika afrykańskiego, zmuszonego przez nędzę i nieokreśloną żądzę przygód do porzucenia swych stad u stóp Atlasu aby przenieść się w przemysłowe piekło kopalni północnej Francji czy paryskich przedmieść. Robotnika, który po miesiącach koczowania po piwnicach, żywienia się odpadkami, niewinnie przyłącza się do jakiejś demonstracji w dzień czternastego lipca — jak chociażby w roku 1953 — i widzi jak policja paryska bije lub strzela do demonstrantów arabskich, zostawiając w spokoju francuskich komunistów. Istotnie, bezpieczniej jest zawsze bić wydziedziczonych emigrantów, których osierocone rodziny nie potrafią wywołać politycznego skandalu, czy presji w komisariatach policji. Ale masy afrykańskie reagują bardzo gwałtownie na wieść o tych „rzeziach". I paryska policja słusznie się dziś obawia powstania gigantycznej piątej kolumny, złożonej z setek tysięcy północnych Afrykańczyków, zamieszkałych w Paryżu, jeśli wypadki się zaostrzą w Magrebie. I nawet uprzywilejowani pisarze północnej Afryki, „laudatores temporis acti", którzy dotąd głosili niemal wyłącznie swe sielskie dzieciństwo, zaczynają sobie zdawać sprawę, że oczekują ich bardziej tragiczne i aktualne tematy.

Edouard RODITI

(*Tłumaczył A. N.*)

Notatki wydawnicze

Tibor Mende, emigrant węgierski, publicysta i ekonomista, traktuje problemy geograficznie, na skalę światową. Jego książki, „La Révolte de l'Asie" (P.U.F., 1951) i „L'Amérique Latine entre en scène" (Editions du Seuil, 1952) zawierały bystrą analizę kontynentów. *Regards sur l'Histoire de Demain* (Editions du Seuil, 1954), to próba uniwersalnej syntezy. Mende obserwuje zmiany ośrodków ciężkości na naszej planecie, przechodząc od atlasu naszych dziadków i kończąc na próbie przewidzenia jaki będzie atlas naszych wnuków. Jest on zwolennikiem koncepcji Bevana i twierdzi, że jedynie forsowne inwestycje dążące do uprzemysłowienia krajów gospodarczo zacofanych mogą uratować zachodnią cywilizację. Liberalny anty-Burnham, Mende dobrze reprezentuje rozsądne i idealistyczne tendencje najlepszych ekspertów „Point IV", „Planu Colombo" i „Technical Assistance" O.N.Z., których wiary w możliwy postęp ludzkości nie zachwiał nawet irracjonalizm własnych rządów, z którym stykają się co dzień.

Henry Miller należy do tych rzadkich pisarzy, którzy *są swoim włas-ym stylem*. Stałe odkrywanie świata na nowo, stałe przywracanie do we-nętrznej równowagi wszystkich elementów zewnętrznego absurdu — nikt e współczesnej literaturze nie jest tak świetnym spadkobiercą Rabelais Montaigne'a. Ta alchemia psychiczna jest tak ożywcza, że nawet pozor-ie błahe strony Millera wydają się fascynujące. *Le Cauchemar Climatisé* Gallimard, 1954) jest dziennikiem z włóczęgi po Ameryce, do której Mil-er powrócił po latach pobytu w Europie. Uwagi jego mają inną wymowę siłę od różnych europejskich wyrzekań na Coca-Colę i „brak kultury". le Miller, mimo zasadniczego pesymizmu, woli współczuć (czuć wspólnie innymi), niż się oburzać. I dlatego może najlepsze partie „Koszmaru" — to spotkania z żyjącymi ludźmi, którzy się nie poddają zewnętrznej egzys-encji — etapy w licznych „oazach" Ameryki.

Le Sourire au Pied de l'Echelle (Corréa, Paris, 1954) jest bajką Millera, a zarazem wizją jego wewnętrznego mitu. Mitem tym jest postać lowna, o którym Henry Miller mówi to, co moglibyśmy może powiedzieć nim samym : „Clown pociąga mnie głęboko (choć niezawsze zdawałem obie z tego sprawę), właśnie dlatego że oddziela go od świata śmiech. Nie jest to nigdy śmiech homeryczny. Jest to cichy śmiech pozbawiony wesołości. Clown uczy nas śmiać się z siebie samych. A śmiech ten rodzi ię z łez..."

◆

Bałkany były długo dla Francji jednym z rezerwatów operetki, farsy „pochade'y". Sprowadzano z nich Wielkie Księżne Geroldstainu i królów Dragomirów. Orient-Express wzbogacił literacką topografię tych krajów prze-wożąc przez nie w sleepingach międzynarodowych agentów, śpiewaczki o fio-etowych oczach i handlarzy kokainą. Pierwsza powieść Bernard Minoret, *La Camarilla* (Plon, Paris, 1954) znaczy nową ewolucję jednego z geogra-ficznych mitów literatury. Na znaną od dzieciństwa Rurytanię codzienna prasa rzuca cień rewolucji, wprowadza komunistów, Titów, Dymitrowów, Dyktator Minoreta jest zresztą Titem, który nie przeszedł przez komunizm, rodzajem bałkańskiego Franco czy Perona. Rezultat — na tle melodii Offen-bacha, złagodzone „Les Mains Sales" Sartre'a. Minoret zręcznie, choć nieco powierzchownie skondensował losy dyktatorów i dyktatur. *La Camarilla* jest żywym scenariuszem filmowym, zabarwionym lekką erudycją, o przebłyskach inteligencji.

(j)

Przegląd miesięczników

Majowy numer *Preuves* zawiera analizę nowego wydania sowieckiego „Małego Słownika Filozoficznego" (1954). W porównaniu z wydaniem z roku 1952, artykuł o Stalinie został zredukowany o jedną trzecią. Nowe wydanie wzmiankuje również dwóch nowych „filozofów" sowieckich — Żdanowa i Kalinina, którzy za życia nie dostąpili tego zaszczytu. Chodzi niewątpliwie o wykazanie, że Stalin nie był, w niedalekiej przeszłości, je-dynym przedstawicielem współczesnej filozofii rosyjskiej. Drugi sensacyjny fakt : nie ma w nim mowy o żadnym żyjącym filozofie rosyjskim, podczas gdy Mao Tse Tungowi „Słownik" poświęca aż osiem stron. Widać nie

zdecydowano jeszcze czy wielkim filozofem jest Chruszczow czy Maleńkow (a jeśli zasada ,,rządów kolektywnych" ma być utrzymana — wchodzą jeszcze w grę Kaganowicz, Mikojan i inni).

Nadzwyczaj ciekawe są zmiany w artykule poświęconym Stalinowi w zestawieniu z poprzednim wydaniem.

Przede wszystkim, niezliczone zmiany i skreślenia, dotyczące zwłaszcza pierwszych lat rewolucji. I tak, Stalin nie był założycielem ,,Prawdy"; usunięto wszystkie rzekome pochwały Lenina dla Stalina; usunięto całkowicie panegiryczny ustęp o roli Stalina w rewolucji październikowej (jak wiadomo sam Stalin pisał w roku 1918, że główną rolę odegrał w niej Trocki...); zamilczono ,,nieocenione zasługi" Stalina w wojnie sowiecko-polskiej i innych walkach w pierwszych latach po rewolucji.

Usunięto całą stronę peanów w związku z drugą wojną światową, które zaczynały się w wydaniu z roku 1952 od słów : ,,W najprzykrzejszych latach wojny Stalin był natchnieniem armii i narodu" i zawierały legendę Stalingradu.

Wydanie z roku 1952 przypisywało oczywiście Stalinowi autorstwo ,,Krótkiej Historii K.P. Z.S.R.R. : ,,Historia naukowa bolszewizmu, napisana przez J. W. Stalina, potężna broń ideologiczna itd." W roku 1954 dziełko to jest ,,Historią naukową bolszewizmu, opracowaną przez komisję wyznaczoną przez Komitet Centralny K.P. Z.S.R.R. i zatwierdzoną przez Komitet Centralny..." Tak więc Stalin nie jest autorem książki, która w dziesiątkach milionów egzemplarzy sprzedawana była pod jego nazwiskiem, od której pobierał prawa autorskie... Wszyscy o tym wiedzieli, ale przyznanie się oficjalnie do tego kłamstwa, kiedy nazwisko fałszywego autora nadal figuruje na egzemplarzach sprzedawanych w księgarniach całego świata, jest jednak dość sensacyjne.

◆

Pius Servien jest wybitnym rumuńskim uczonym, profesorem na paryskiej Sorbonie, matematykiem światowej sławy. Podobnie jak jego rodak Matilla Ghyka, Servien odznacza się rzadką dziś uniwersalnością umysłu. Obok ważnych odkryć matematycznych, zawdzięczamy mu dzieła poświęcone syntezie nauk ścisłych i estetyki. Majowy numer *Table Ronde* zawiera świetny esej Serviena o ,,Umyśle Uniwersalnym". Erudycja i czystość stylu są tu rzeczywiście koniecznym dopełnieniem rozważań o bazach nauki, poezji i języka. Myślę o ,,Rubis d'Orient" Hostowca : jakaż wymowa w fakcie, że trzej współcześni uczeni, którzy najgłębiej dziś może obejmują całość problemu kultury są synami pokrewnej nam kresowej cywilizacji : Servien, Ghyka i Eliade...

◆

W majowym numerze *Encounter* Arthur Koestler kreśli przejmującą sylwetkę największego poety współczesnych Węgier, Attily Jozsefa. Jozsef, syn robotnika rolnego i praczki był, słowami Koestlera, ,,współczesnym Villonem, którego życie i poezja krążyły wokół dwóch zdradliwych biegunów naszego wieku : Marxa i Freuda". Życie w nędzy, gwałtowna, rewolucyjna poezja, czynny udział w partii komunistycznej, tragiczne zerwanie z partią,

nienawiść do stalinizmu i samobójstwo — oto etapy życia Jozsefa. Komunistyczne Węgry przywłaszczyły sobie dziś tę postać, czyniąc z niego standardowego poetę partii. Gdyby na chwilę Jozsef powrócił do życia, mówi Koestler, „podkręciłby wąsik i rzuciłby się ze śmiechem w dysertację o dialektycznie słusznym wyborze momentu własnej śmierci..."



Istnieją książki, które nie są wielkimi dziełami literackimi, ale stanowią cenny surowiec wyobraźni. Kilka lat temu odkryto, że Lautréamont wstawił w „Les Chants de Maltodor" całe strony z „Histoire Naturelle" Buffona, zmieniając jedynie zakończenia niektórych zdań. *Figaro Littéraire* zamieściło artykuł krytyczny, dowodzący na podstawie licznych cytat, że „surowcem" wielkiego poematu Rimbaud „Le Bateau Ivre" jest znana wszystkim z dzieciństwa powieść Jules Verne'a „Vingt Mille Lieues sous les Mers". Niektóre wiersze z poematu są dosłownymi cytatami zdań, którymi kapitan Nemo opisuje czar podmorskiego królestwa.

(j)

Nadesłane nowości wydawnicze

LITERATURA

PAPINI. *Le diable*. Pp. 315. (Ed. Flammarion, Paris, 1954, frs 550).

MORAND (Paul). *Hécate et ses chiens*. Pp. 169. (Ed. Flammarion, Paris, 1954, frs 375).

DOS PASSOS (John). *Numéro un*. Pp. 291. (Ed. Gallimard, Paris, 1954. Frs. 550).

MINORET (Bernard). *La Camarilla*. Pp. 254. (Ed. Plon, Paris, 1954. Frs. 495).

CASSOU (Jean). *Trois poètes*. Rilke — Milosz — Machado. Pp. 119. (Ed. Plon, Paris, 1954, Frs. 330).

BOSWELL (James). *Vie de Samuel Johnson*. Traduit de l'anglais par J.-P. Le Hoc. Pp. 421. (Ed. Gallimard, Paris, 1954. Frs. 900).

MULLER (Henry). *Six pas en arrière*. Pp. 252. (Ed. La Table Ronde, Paris, 1954. Frs 490).

GIONO (Jean). *Voyage en Italie*. Pp. 260. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs 450).

POEZJE

LORCA (Frederico Garcia). *Poésies*. I. Livre de Poèmes. Premières chansons — Chansons — Poème du Cante Jondo. Traduit de l'espagnol par A. Belamich et P. Darmangeat. Pp. 262. (Ed. Gallimard, Paris, 1954, Frs. 520).

WIERZYŃSKI (Kazimierz). *Siedem podków*. Poezje. Str. 92. (Wyd. Roy Publishers, New York, 1954).

LASKOWSKI (Jerzy). *Wyświechtane cytaty*. Poezje. (Londyn-New York).

CZUCHNOWSKI (Marian). *Fiołki z Warszawy*. Sztuka teatralna w 3 aktach. Str. 64. (Wyd. w Londynie, 1954).

KARPENKO-KRYNICA (Pietro). *Poemy*. Str. 46. (Wyd. „Prometej", Detroit, USA, 1954).

DOKUMENTY CHWILI

SANDWELL (B. K.). *La nation canadienne.* Pp. 164. (Ed. du Rocher, Monaco, 1954).

ROMEUF (Jean). *Le niveau de vie en U.R.S.S.* Préface d'Alfred Sauvy. Pp. 138. (Ed. Presses Universitaires de France, Paris, 1954, Frs. 540).

Le Japon et ses morts. Ces voix qui nous viennent de la mer. Lettres recueilles, adaptées et présentées par Jean Lartéguy. Pp. 274. (Ed. Gallimard, Paris, 1954. Frs. 550).

DORMONT (Alexis). *La nouvelle armée allemande est là.* Préface du Général Béthouart. Pp. 220. (Ed. Amiot-Dumont, Paris, 1954).

WAŃKOWICZ (Melchior). *Polacy i Ameryka.* Str. 180. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Anglia, 1954).

HISTORIA

ARIÈS (Philippe). *Le temps de l'histoire.* Pp. 325. (Ed. du Rocher, Monaco, 1954).

JASPERS (Karl). *Origine et sens de l'histoire.* Traduit de l'allemand par Hélène Naef avec la collaboration de W. Achterberg. Pp. 359. (Ed. Plon, Paris, 1954. Frs 840).

HITLER (Adolf). *Libres propos sur la guerre et la paix.* Recueillis sur l'ordre de Martin Borman. Vol. II. Pp. 365. (Ed. Flammarion, Paris, 1954. Frs. 700).

Les Archives Secrètes de la Wilhelmstrasse. Vol. V. Livre I.: *L'Allemagne et la Pologne. Les petites puissances de l'Europe.* Juin 1937-Mars 1939. Pp. 667. (Ed. Plon, Paris 1954. Frs. 1725).

RÓŻNE

GUILLEMIN (Henri). *Hugo et la sexualité.* Pp. 146. (Ed. Gallimard, Paris, 1954, Frs. 300).

WIERZYŃSKI (Kazimierz). *Życie Chopina.* Str. 384. (Wyd. Roy Publishers, New York, 1954).

KORD (Jan). *Akt Zjednoczenia.* Objaśnienia. Str. 37. (Wyd. w Londynie, 1954. Cena 1 sh.).

MACKIEWICZ (Stanisław-CAT). *O sąd obywatelski nad handlarzami śmiercią.* Str. 12. (Powielone i wydane przez Autora. Londyn, maj 1954).

Monte Cassino. W dziesięciolecie bitwy. Opracował Jan Bielatowicz, redaktor Zofia Kasprzycka. Str. 66. (Nakł. Stow. Pol. Kombatantów i Komitetu Obchodu Dziesięciolecia bitwy, Londyn, 1954).

DIAMAND (Władysław). *Południowa Ameryka w obliczu pokoju lub wojny.* Str. 21. (Wyd. w Curitibie, Brazylia, 1954).

TUREK (Victor). *Poles among the De Meuron Soldiers.* Str. 16. (53-68). Reprint from Papers read before the Historical and Scientific Society of Manitoba, Series III, Number 9, 1954.

WAŃKOWICZ (Melchior). *Było to pod Monte Cassino.* Str. 106. (Nakł. Komitetu Obchodu Dziesięciolecia Bitwy o Monte Cassino, Londyn, 1954. Cena 7 sh. 6 d.).

KULIKOWICZ (Mikoła). *Biełaruskaja Muzyka.* Str. 64. (Wyd. Białoruski Instytut Nauki i Sztuki, New York, 1953).

DONCOW (D.). *Rik 1918, Kiiw.* Str. 128. (Nakł. Wydawnictwa Homin Ukrainy, Kanada, 1954).

Pius XII a Polska. 1939-1949. Przemówienia ,listy, komentarze. Opracował Kazimierz Papée. Str. 178. (Nakł. Editrice Studium, Rzym, 1954).

Generał Sikorski. W dziesiątą rocznicę śmierci. Str. 84. (Wyd. Instytut Historyczny im. Gen. Sikorskiego, Londyn, 1954. Cena 5 sh.).

HRYSZKO (W. I.). *Ukraina siohodni i my.* Str. 108. (Nakł. Wyd. „Mołoda Ukraina", Toronto-New York, 1954. Cena 0.75 dol.).

Złota Księga Zjednoczenia Polsko-Narodowego. 1903-1953. Str. 336. Nakładem Zjednoczenia Polsko-Narodowego, New York 1953).

A.B.C. instytucji międzynarodowych

Według przepowiedni Proudhon'a wiek XX miał być wiekiem federacji. Jeżeli ocena jego nie okazała się zupełnie ścisła, jeżeli wiek nasz nie jest jeszcze wiekiem federacji, to jest on niewątpliwie wiekiem organizacji międzynarodowych.

Rozwój tych organizacji, już dosyć wyraźny po pierwszej wojnie światowej, wzmógł się nieporównanie po ostatnim wielkim konflikcie, wprowadzając zasadnicze zmiany w formach życia międzynarodowego.

Dyplomacja klasyczna ustępuje powoli miejsca temu, co można by nazwać dyplomacją organizacji międzynarodowych. Dotychczas dyplomacja polegała przede wszystkim na dyskusji dwustronnej, dotyczącej każdorazowo określonego zagadnienia, jakie wynikało pomiędzy partnerami. Dzisiaj działalność dyplomatyczna w ramach organizacji międzynarodowych polega na nieustannym i wielostronnym kontakcie przedstawicieli państw.

Ta forma stosunków międzynarodowych bardziej odpowiada wymogom doby współczesnej. W chwili obecnej rokowania między państwami nie dotyczą już niemal wyłącznie tylko, jak to miało miejsce w XIX wieku, spraw politycznych i wojskowych, ale obejmują wszystkie dziedziny życia poszczególnych społeczeństw jak sprawy społeczne i gospodarcze, kulturalne, techniczne itd.

Poniższe przedstawienie najważniejszych organizacji międzynarodowych ma za zadanie podkreślenie znaczenia nie tylko międzynarodowych organizacji oficjalnych (między-rządowych), ale także organizacji nieoficjalnych (społecznych), których znaczenie wzrasta stale w ciągu ostatniego dwudziestolecia.

Coraz większe rozszerzenie kompetencji funkcjonariuszy międzynarodowych powoduje reakcje opinii społecznych, które domagają się bardziej bezpośredniego wpływu na pobierane decyzje. Wyrazicielami tej opinii społecznej są właśnie międzyna-

rodowe organizacje nieoficjalne (społeczne). Organizacje te, dzięki rosnącemu ich wpływowi, uzyskują coraz częściej uprawnienia doradcze w międzynarodowych organizacjach oficjalnych.



Organizacje uwzględnione w niniejszym opracowaniu podzielone zostały na następujące kategorie :

I. *Organizacje Narodów Zjednoczonych.*
II. *Organizacje Atlantyckie.*
III. *Organizacje Europejskie.*
IV. *„Międzynarodówki" (Międzynarodowe organizacje polityczne).*
V. *Organizacje komunistyczne oraz pozostające pod wpływami komunistycznymi.*
VI. *Różne.*

— Podział na organizacje oficjalne (między-rządowe, czyli te, które powstały na mocy układu między rządami państw uczestniczących) i organizacje nieoficjalne (społeczne, czyli te, które powstały z inicjatywy czynnika społecznego), został uwidoczniony przez odpowiednią wzmiankę przy nazwie każdej organizacji.

— Nazwy i skróty organizacji są podane w językach angielskim i francuskim w wypadkach, kiedy istnieją w obydwu tych językach; nazwy polskie, poza nielicznymi wypadkami, gdy brzmienie ich jest ustalone, są tłumaczeniami autora.

— Cele organizacji są tłumaczeniami (w streszczeniu) określeń podanych w ich statutach.

UNITED NATIONS — U.N.
ORGANISATION DES NATIONS UNIES — O.N.U.
ORGANIZACJA NARODÓW ZJEDNOCZONYCH — O.N.Z.

(organizacja między-rządowa)

Siedziba: Nowy Jork.

Data założenia: 26 czerwiec 1945.

Cele: Utrzymać pokój i bezpieczeństwo międzynarodowe; rozwinąć przyjazne stosunki między narodami; wzmocnić współpracę międzynarodową przez rozwiązanie zagadnień międzynarodowych w dziedzinie gospodarczej, społecznej, intelektualnej i przez rozwijanie poszanowania dla praw człowieka i wolności zasadniczych; koordynować wysiłki, które czynią narody dla zrealizowania tych celów.

Członkowie: Członkami-założycielami O.N.Z. jest 51 następujących państw: Arabia Saudycka, Argentyna, Australia, Belgia, Boliwia, Brazylia,

Kanada, Chili, Columbia, Costa-Rica, Kuba, Dania, Egipt, Ekwador, Stany Zjednoczone, Etiopia, Francja, Grecja, Gwatemala, Haiti, Honduras, Indie, Irak, Iran, Liban, Liberia, Luksemburg, Meksyk, Nicaragua, Norwegia, Nowa Zelandia, Panama, Paragwaj, Holandia, Peru, Polska, Republika Dominikańska, Rep. Filipińska, Białoruś, Ukraina, Wielka Brytania, Salwador, Syria, Turcja, Z.S.S.R., Unia Południowo-Amerykańska, Urugwaj, Wenezuela, Jugosławia.

Sześciu nowych członków zostało przyjętych do organizacji : Afganistan, Izrael, Islandia, Szwecja, Pakistan, Sjam, Jemen, Burma, Indonezja.

Stosunek do innych organizacji międzynarodowych :

a) Organizacje między-rządowe. — Następujące agencje specjalne są ściśle związane z O.N.Z. : Międzynarodowa Organizacja Pracy (International Labor Organization), Organizacja N.Z. dla spraw Wyżywienia i Rolnictwa (Food and Agriculture Organization of the U.N.), Organizacja N.Z. dla spraw Oświaty, Nauki i Kultury (U.N. Educational Scientific and Cultural Organization), Międzynarodowa Organizacja Lotnictwa Cywilnego (International Civil Aviation Organization), Międzynarodowy Bank Rekonstrukcji i Rozwoju (International Bank for Reconstruction and Development), Międzynarodowy Fundusz Monetarny (International Monetary Fund), Światowa Unia Pocztowa (Universal Postal Union), Światowa Organizacja Zdrowia (World Health Organization), Międzynarodowa Organizacja Uchodźców (International Refugee Organization), Międzynarodowa Unia Telekomunikacji (International Telecommunication Union).

b) Organizacje społeczne. — Kontakty z organizacjami społecznymi o charakterze międzynarodowym mają miejsce za pośrednictwem Rady Gospodarczej i Społecznej (Economic and Social Council), która jest jednym z najważniejszych organów Narodów Zjednoczonych.

Struktura :

Najważniejszymi organami O.N.Z. poza Zgromadzeniem (General Assembly) są :

1° Rada Bezpieczeństwa (Security Council),
2° Rada Gospodarcza i Społeczna (Economic and Social Council),
3° Rada Mandatowa (Trusteeship Council),
4° Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości (International Court of Justice).

Uwagi :

Głównym sukcesem O.N.Z. było przeciwstawienie agresji w Korei i doprowadzenie do zawieszenia broni. Innym sukcesem było zapobieżenie wojnie w Kaszmirze i zakończenie walki w Palestynie. Specjalna komisja na Bałkanach dopomogła do utwierdzenia niepodległości i jedności w Grecji.

O.N.Z. oddała szereg usług poprzez swe agencje specjalne w dziedzinie pomocy technicznej, pomocy gospodarczej, ułatwień dewizowych, usług w dziedzinie zdrowia, wyżywienia, spraw uchodźców, telekomunikacji, transportu, oświecenia i informacji naukowej.

W dziedzinie politycznej, system veto w Radzie Bezpieczeństwa sparaliżował działalność O.N.Z., która nie zdołała rozwiązać ani problemu rozbrojenia ani kontroli energii atomowej.

Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości szczęśliwie rozwiązał parę drobnych spraw ale nie jest w stanie zajmować się poważnymi konfliktami.

O.N.Z. stało się (poza dziedziną techniczną) głównie trybuną propagandową, na której toczy się znaczny odcinek „zimnej wojny".

INTERNATIONAL BANK FOR RECONSTRUCTION AND DEVELOPMENT BANK
BANQUE INTERNATIONAL POUR LA RECONSTRUCTION ET LE DEVELOPPEMENT
MIĘDZYNARODOWY BANK ODBUDOWY I ROZWOJU

(Organizacja między-rządowa)

Siedziba : Waszyngton.

Data założenia : grudzień 1945.

Cele : Popieranie odbudowy i rozwoju państw uczestniczących, poprzez ułatwianie inwestycji produkcyjnych.

Członkowie :
50 państw świata zachodniego.
Stosunek do innych organizacji międzynarodowych :
Bank jest Agencją Specjalną O.N.Z. Współpracuje z innymi agencjami Narodów Zjednoczonych. Nie utrzymuje żadnych oficjalnych kontaktów z międzynarodowymi organizacjami społecznymi.

Uwagi :
Do grudnia 1952 roku suma pożyczek banku wyniosła 1.226.783.000 dolarów.

ECONOMIC COMMISSION FOR EUROPE E.C.E.
COMMISSION ECONOMIQUE POUR L'EUROPE C.E.E.
KOMISJA GOSPODARCZA DLA SPRAW EUROPY

(Organizacja między-rządowa)

Siedziba : Genewa.

Data założenia : 1947.

Cele : Koordynacja wysiłków mających na celu odbudowę ekonomiczną Europy, i nawiązywanie i rozwijanie stosunków gospodarczych pomiędzy Europą i innymi krajami.

Członkowie : 17 państw europejskich w tym państwa bloku sowieckiego.

Stosunek do innych organizacji międzynarodowych : Komisja Gospodarcza dla spraw Europy jest jedną z trzech komisji regionalnych Rady Gospodarczej i Społecznej (Economic and Social Council) Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Uwagi : Komisja ta jest jedyną instytucją o charakterze ekonomicznym, w której zasiadają zarówno państwa zachodniej Europy jak i państwa bloku sowieckiego. Komisja Gospodarcza dla spraw Europy może być więc uważana w pewnym stopniu za barometr rozwoju stosunków gospodarczych między Wschodem i Zachodem.

ECONOMIC AND SOCIAL COUNCIL — E.C.O.S.O.C.
CONSEIL ECONOMIQUE ET SOCIAL — C.E.S.
RADA GOSPODARCZA I SPOŁECZNA
(Organizacja między-rządowa)

Siedziba : Nowy Jork.

Data założenia : 1945.

Cele : Gada Gospodarcza i Społeczna jest ciałem wykonawczym Organizacji Narodów Zjednoczonych w kwestiach gospodarczych, społecznych, kulturalno-wychowawczych, kwestiach dotyczących zdrowia i problemów związanych z wyżej wymienionymi.

Członkowie : Rada składa się z 18 członków wybieranych na okres trzyletni przez Zgromadzenie Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Stosunek do innych organizacji międzynarodowych : Organ Narodów Zjednoczonych.

Uwagi : Działalność Rady polega na studiowaniu zagadnień, które leżą w jej kompetencji i opracowywaniu zaleceń do państw, które są członkami Narodów Zjednoczonych i do Agencji Specjalnych, takich jak U.N.E.S.C.O., F.A.O., I.L.O. Oprócz tego Rada opracowywuje projekty układów międzynarodowych i przedstawia je Zgromadzeniu Narodów Zjednoczonych (np. Karta Praw Człowieka). Zwołuje ona również konferencje międzynarodowe na tematy w których jest kompetentna.

Organizm ten posiada dobrze rozwinięty system konsultacji z międzynarodowymi organizacjami społecznymi.

W działalności swej Rada opiera się na całym szeregu komitetów specjalnych takich jak : Komisja Praw Człowieka, Praw Kobiety, Komitet Opium, Fundusz Pomocy Dzieciom (UNICEF), Komitet wolności prasy itd.

TRUSTEESHIP COUNCIL — T.C.
CONSEIL DE TUTELLE — C.T.
RADA MANDATOWA
(Organizacja między-rządowa)

Rada jest organem O.N.Z. Składa się z 12 przedstawicieli-państw, którym powierzona jest opieka (mandat nad terytoriami kolonialnymi.

INTERNATIONAL COURT OF JUSTICE
COUR INTERNATIONAL DE JUSTICE
MIĘDZYNARODOWY TRYBUNAŁ SPRAWIEDLIWOŚCI
(Organizacja między-rządowa)

Trybunał jest organem O.N.Z. Przejął działalność Stałego Trybunału Międzynarodowej Sprawiedliwości powstałego w 1919 roku. Rozstrzyga sprawy powierzone mu przez układy międzynarodowe.

INTERNATIONAL MONETARY FUND I.M.F.
FONDS MONETAIRE INTERNATIONAL F.M.I.
MIĘDZYNARODOWY FUNDUSZ MONETARNY
(Organizacja między-rządowa)

Siedziba : Waszyngton.

Data założenia : Grudzień 1945 jako wynik Konferencji Finansowej i Monetarnej Narodów Zjednoczonych (Bretton Woods 1944).

Cele : Polepszenie międzynarodowej współpracy monetarnej i rozwój handlu światowego. Stopniowe zniesienie ograniczeń celnych i dewizowych w wymianach międzynarodowych. Oprócz oddziaływania na ustawodawstwo celne i dewizowe krajów, które są jego członkami, I.M.F. ułatwia wymiany międzynarodowe przy pomocy rezerwy złota i dewiz narodowych będącej w jego posiadaniu.

Członkowie : 49 państw (Państwa bloku sowieckiego nie należą do I.M.F.).

Stosunek do innych organizacji międzynarodowych : Fundusz jest organizacją Narodów Zjednoczonych o kompetencji specjalnej. Nie utrzymuje ona żadnych stosunków z międzynarodowymi organizacjami społecznymi.

Uwagi : Rezerwa F.M.I. wynosi około 8.000.000.000 dolarów (1 miliard 500.000.000 w złocie i 5.500. 000.000 w dewizach).

WORLD FEDERATION OF UNITED NATIONS ASSOCIATIONS W.F.U.N.A.
FEDERATION MONDIALE DES ASSOCIATIONS POUR LES NATIONS UNIS F.M.A.N.U.
ŚWIATOWA FEDERACJA STOWARZYSZEŃ DLA SPRAW NARODÓW ZJEDNOCZONYCH
(Organizacja między-rządowa)

Organizacja ta ma za zadanie koordynację organizacji społecznych, które stawiają sobie za cel popieranie działalności O.N.Z.
Posiada ona organizację młodzieżową (I.S.M.U.N.).

INTERNATIONAL REFUGEE ORGANISATION I.R.O.
ORGANISATION INTERNATIONAL DE REFUGIÉS O.I.R.
MIĘDZYNARODOWA ORGANIZACJA UCHODŹCÓW
(Organizacja między-rządowa)

Siedziba : Genewa.

Data założenia : Sierpień 1948.

Data likwidacji : 1952.

Cele : Pomoc uchodźcom w repatriacji i emigracji. Obrona praw uchodźców.

Członkowie : 18 państw zachodnich.

Stosunek do innych organizacji międzynarodowych : I.R.O. jest Agencją specjalną. Liczne kontakty z organizacjami społecznymi.

Uwagi : I.R.O. przejęło w 1948 roku funkcje U.N.R.R.A. (United Nations Relief and Rehabilitation Administration). Zostało rozwiązane 31. grudnia 1951 roku. Od 1947 roku do 1951 organizacja ta repatriowała albo dopomogła w emigracji około milionowi osób (repatriowanych 72.045).

Funkcje I.R.O. zostały przejęte przez Komisarza Z.N. dla Uchodźców (High Commissioner for Refugees).

INTERNATIONAL LABOR ORGANISATION I.L.O.
ORGANISATION INTERATIONALE DU TRAVAIL O.I.T.
MIĘDZYNARODOWA ORGANIZACJA PRACY

(Organizacja między-rządowa)

Siedziba : Genewa.

Data założenia : Kwiecień 1919 (Statut I.L.O. , pod nazwą ,,Międzynarodowego Biura Pracy'' był częścią Traktatu Wersalskiego).

Cele : Podniesienie stopy życiowej na świecie, zwalczanie niesprawiedliwości społecznej, polepszenie warunków pracy i dążenie do pełnego zatrudnienia.

Członkowie : 64 państwa, w tym państwa bloku sowieckiego, oprócz Rumunii i Z.S.S.R. (Z.S.S.R. poczyniła ostatnio kroki w celu wstąpienia), Niemcy Zachodnie są członkami.

Stosunek do innych organizacji międzynarodowych : I.L.O. jest Agencją specjalną Organizacji Narodów Zjednoczonych. Ma ona dobrze rozwinięty system konsultacji z całym szeregiem międzynarodowych organizacji społecznych takich jak na przykład Międzynarodowa Konfederacja Wolnych Związków Zawodowych (International Confederation of Free Trade Unions).

Struktura : Konferencja złożona z dwóch przedstawicieli rządu, jednego przedstawiciela związków zawodowych i jednego reprezentanta pracodawców). Międzynarodowe Biuro Pracy.

Uwagi : Organizacja działa poprzez konwencje międzynarodowe, których projekty przedstawia do ratyfikacji zainteresowanym państwom. Przy końcu 1952 roku przeszło 1.200 ratyfikacji 98 konwencji zostało złożonych w siedzibie organizacji.

WORLD HEALTH ORGANIZATION W.H.O.
ORGANISATION MONDIALE DE LA SANTÉ O.M.S.
ŚWIATOWA ORGANIZACJA ZDROWIA

(Organizacja między-rządowa)

Siedziba : Genewa.

Data założenia : 1946.

Cele : Stworzenie jak najlepszych stosunków zdrowotnych na świecie.

Członkowie : W lipcu 1951 roku 78 państw było członkami W.H.O. W końcu tego samego roku państwa bloku sowieckiego zgłosiły swoje wycofanie się z organizacji. Niemcy Zachodnie są jej członkami.

Stosunek do innych organizacji międzynarodowych : W.H.O. jest Agencją specjalną O.N.Z. Około 25 organizacji społecznych jest w stałym kontakcie (oficjalnym) z organizacją.

Uwagi : W.H.O. ma za sobą cały szereg niezmiernie pożytecznych osiągnięć zarówno w dziedzinie statystyki zdrowia i prac naukowych, jak i w zwalczaniu chorób w wypadkach kiedy państwa uczestniczące zwracają się do niej o pomoc (organizacja kampanii przeciw epidemiom itd.).

FOOD AND AGRICULTURAL ORGANISATION OF THE UNITED NATIONS F.A.O.
ORGANISATION DES NATIONS UNIES POUR L'ALIMENTATION ET L'AGRICULTURE F.A.O.
ORGANIZACJA NARODÓW ZJEDNOCZONYCH DLA SPRAW WYŻYWIENIA

(Organizacja między-rządowa)

Siedziba : Rzym.

Data założenia : Październik 1945. F.A.O. jest spadkobiercą przedwojennego Międzynarodowego Instytutu Rolnictwa.

Cele : Podniesienie poziomu wyżywienia ludności świata i jej stopy życiowej przez zwiększenie wydajności produkcji i lepszego rozdziału środków żywnościowych i rolniczych.

Członkowie : 66 państw przystąpiło do F.A.O. Państwa bloku sowieckiego nie są członkami. Wśród członków organizacji są także Niemcy Zachodnie.

Stosunek do innych organizacji międzynarodowych : F.A.O. jest jedną z Agencji specjalnych Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Uwagi : Środkami działalności organizacji są między innymi: wymiana nowych gatunków roślin, rozpowszechnianie nowoczesnej techniki rolniczej, zwalczanie epidemii zwierzęcych, pomoc w razie katastrof rolniczych itd.

UNITED NATIONS EDUCATIONAL AND CULTURAL ORGANIZATION U.N.E.S.C.O.
ORGANISATION DES NATIONS UNIES POUR L'EDUCATION, LA SCIENCE ET LA CULTURE U.N.E.S.C.O.
ORGANIZACJA NARODÓW ZJEDNOCZONYCH DLA SPRAW OŚWIATY, NAUKI I KULTURY U.N.E.S.C.O.

(Organizacja między-rządowa)

Siedziba : Paryż.

Data założenia : Listopad 1945.

Cele : Przyczynić się do utrzymania pokoju i bezpieczeństwa międzynarodowego przez zbliżenie narodów poprzez oświatę, naukę i kulturę i przez wzmocnienie ich wzajemnej współpracy mającej na celu uszanowanie praw człowieka, wymienionych w Karcie Praw O.N.Z.

Członkowie : 65 państw bez bloku sowieckiego (który obecnie zgłasza przystąpienie). Niemcy Zachodnie są członkiem. Hiszpania została przyjęta po długich dyskusjach w 1953 roku.

Stosunek do innych organizacji międzynarodowych : U.N.E.S.C.O. jest Agencją specjalną O.N.Z. Ma ona stały kontakt z około 200 organizacjami międzynarodowymi nierządowymi. 95 z nich posiada uprawnienia konsultatywne.

Uwagi : U.N.E.S.C.O. posiada 9 regularnych publikacji wydawanych w kilku językach : Official Bulletin, U.N.E.S.C.O. Courier, Fundamental Education — a Quarterly Bulletin, Impact, International Social Science Bulletin, Copyright Bulletin, Bulletin for Librairies, Museum, i wydawany corocznie : Study Abroad, International Handbook, Fellowships, Scholarships, Educational Exchange.

TECHNICAL ASSISTANCE BOARD T.U.C.
RADA POMOCY TECHNICZNEJ

(Organizacja między-rządowa)

Stworzona w 1949 roku Rada jest członkiem O.N.Z. Ma za zadanie polepszenie sytuacji gospodarczej krajów o niskiej stopie rozwoju. Ściśle współpracuje z Radą Gospodarczą i Społeczną O.N.Z.

Jerzy RENCKI

(*c. d. n.*)

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z artykułem p. M. Feldhuzena, zamieszczonym w numerze listopadowym 1953 roku ,,Kultury", znieważającym i oszczerczym w stosunku do pamięci śp. Ojca mego, oraz ze względu na dalszą korespondencję w tej sprawie uwłaczającą memu śp. Ojcu, ukazującą się w dalszych numerach ,,Kultury", uprzejmie proszę o zamieszczenie w piśmie Panów następującego oświadczenia :

1) Artykuł ,,Kultury" pt. ,,Rubens miał filię w Szkocji" zawiera kłamliwe i zmyślone opisy wydarzeń, odnoszących się do śp. kpt. Władysława Korkiewicza. Zamieszczona tam ocena osoby śp. Ojca mojego jest oszczerstwem.

2) Meldunki o przekroczeniach władzy na terenie obozu dyscyplinarnego w Shinafoot, w Szkocji, wywołały dochodzenia polskiego sądownictwa polowego, które w roku 1941 wydało pięć wyroków skazujących.

3) W toku rozpatrzenia reszty meldunków w tej sprawie, odbyła się w Perth w dniach 7, 8, 9 i 10 kwietnia 1942 roku rozprawa główna 11. Sądu Polowego, w wyniku której wyrok, wydany w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej orzekł, że kpt. Korkiewicz Władysław został uniewinniony. Ten wyrok uniewinniający został zatwierdzony przez Zwierzchnika Sądowo-Karnego w dniu 30. IV. 1942.

4) Śp. kpt. W. Korkiewicz, urodzony w 1894 roku był w latach 1915-1918 czynnym członkiem Polskiej Organizacji Wojskowej. Później, po skończeniu podchorążówki piechoty, pełnił zawodową służbę wojskową, przechodząc różne stopnie dowodzenia. Odznaczony był Medalem Niepodległości, Srebrnym Krzyżem Zasługi i Medalem za Wojnę 1918-1920.

5) Zastrzegam sobie prawo dochodzenia na drodze sądowej obrony czci śp. Ojca mojego, znieważonej przez p. M. Feldhuzena i przez dalsze wzmianki w tej sprawie w ,,Kulturze".

Z poważaniem

Witold KORKIEWICZ

Londyn, dnia 5 maja, 1954. (45B, Courtfield Gdns., S.W.5)



Szanowny Panie Redaktorze,

Pozostanie zasługą zasadniczej wagi p. M. Feldhuzena wyciągnięcie na forum wolnej prasy polskiej kwestii ,,obozu dyscyplinarnego" W. P. w Szkocji w latach 1940-1941.

Byłem aresztantem ,,obozu" od sierpnia do 25 grudnia 1940 w następstwie ,,scysji" z oficerem sztabowym na ,,górce" w Douglas bezpośrednio po przyjeździe z Francji.

Jest faktem powszechnie znanym, że genezą obozu i wszelkich spraw ,,dyscyplinarnych" w owym czasie były : a) zachowanie się niektórych do-

wódców (zwłaszcza tych „bez przydziału") wobec żołnierzy w czasie ewakuacji z Francji, a po przyjeździe do Anglii — „zbieranie" sobie wojska, aby móc się wykazać, że się przyjechało z oddziałem, oraz b) brak pracy dla licznych oficerów „informacyjnych", którzy na gwałt szukali sobie „przydziałów" i interesowali się dosłownie głupstwami. Był to gorzki dla żołnierza okres po przegranej kampanii i wtedy to ukuło się przezwisko „leśnych dziadków"...

Sam fakt 14-toletniego milczenia o tej haniebnej sprawie, w krajach gdzie panuje wolność słowa i powszechne poszanowanie prawa, to jest gdzie przed prawem generał i szeregowy czy cywil są równi — co ważniejsze gdzie na szczęście istnieje wolna prasa polska — jest znamienny...

Dlatego dyskusja o historii obozu w prasie polskiej Zachodu dobrze zrobi naszym „sferom" wojskowym jak i samej emigracji.

Skądinąd wszyscy już dobrze wiemy, że w pewnych środowiskach wynik śledztwa zależy od tego kto i w jakiej atmosferze je prowadzi...

Ponieważ na szczęście były dowódca W. P. w Szkocji zechciał nareszcie zabrać głos i pozbawił się „kadry" Bogackich i Korkiewiczów, jak również i cieni „słupków" — pozwolę sobie pewne fakty z wyjaśnienia generała dr Kukiela bliżej naświetlić.

Wprawdzie wojskową karierę skończyłem tylko jako kpr. pchr. lekarz na żołdzie starszego strzelca, tym niemniej nie potrafię zrozumieć jak mogło „dochodzenie" i sąd wykazać, że były policjant M. Przybylski „użył broni w wykonaniu obowiązku służbowego!"

Za mego pobytu w obozie w klatce z podwójnych zasieków z drutów kolczastych byli przeważnie ludzie z uniwersyteckim wykształceniem (około 80 procent), lekarze, inżynierowie, prawnicy, studenci różnych uniwersytetów i znany powszechnie a obecnie już nieżyjący polski artysta-malarz J. Adler.

O tych aresztantach rozpowiadano okolicznej ludności, że są oni piątą kolumną, komunistami lub szpiegami.

Jak mi wiadomo nikt z tych ludzi w śledztwie nie został przesłuchany w sprawie zabójstwa szeregowego E. Jakubowskiego.

Czy strzelanie do bezbronnego żołnierza w areszcie spoza zasieków podwójnych z drutów kolczastych, choćby pod silną prowokacją znanej w wojsku obelgi o „matce" jest wykonywaniem prawnym obowiązków służby wartowniczej ? Jeśli tak, to należałoby powystrzelać połowę kadry podoficerskiej i wielu oficerów, nawet sztabowych, każdej armii na świecie z „obowiązku służbowego".

Prowadzenie śledztwa w atmosferze „słupków" i sądy w namiotach w ich cieniu są sprzeczne z polskim kodeksem karnym — a za kadry swoje są odpowiedzialni dowódcy, choćby nie znali ich wyczynów...

Próby otrzymania informacji i przywiązywanie wagi do rozmów „w cztery oczy" są bardzo naiwnym argumentem i nikt, kto był w wojsku, nie może tego traktować poważnie !

O ekscesach przeciw prawu administracji obozu wiedział doskonale dowódca OBOZU, który spacerował sobie dokoła klatek parę razy na dzień w towarzystwie swego podkomendnego — dowódcy kompanii wartowniczej.

Wiedziano o tym również na różnych szczeblach w sztabie... bo gdy za przepustką, już z cywilizowanego 14-go pułku ułanów Jazłowieckich — udałem się jako były współpracownik przedwojennego tygodnika „Młodzi idą" na kongres Trade-Unionów w Edynburgu w charakterze gościa w mundurze, dostałem się w kuluarach pod ogień pytań przywódców kongresu, znanych powszechnie parlamentarzystów.

W owym czasie obóz był już w Abernethy, ale trudno mi było poskromić ich słuszne oburzenie... a mnie samemu trudno było ukryć wstyd za tę brudną historię...

Z rozmów wynikło, że niektórzy „sztabowcy" podawali się za długoletnich „active democrates or socialists" w zaprzeczeniach o istnieniu obozu.

Jak później ustaliłem, zamknięcie obozu spowodował były członek Rady Narodowej poseł Adam Ciołkosz, którego ówczesny szef Home Office, p. H. Morrison, kilkakrotnie o Shinafoot indagował. Po otrzymaniu listu od jednego ze zwolnionych marynarzy marynarki handlowej, poseł A. Ciołkosz na jednym z posiedzeń Rady Narodowej walił pięścią w stół i wręcz zagroził przedstawicielom Centralnych Władz W. P. osobistym sprowadzeniem szefa Home Office do obozu w ciągu 24 godzin... wtedy dopiero „władze centralne" przyznały się do swego „skarbu" w Shinafoot.

Ilość nadużyć w obozach podana przez dr. Kukiela jest nieścisła, jako, że nie wszystkie dotarły do sądu, bo prawie codziennie zdarzały się jakieś historie.

Gdy niektórzy z aresztantów na głos protestowali przeciw katowaniu, z miejsca zjawiali się oficerowie informacyjny i oświatowy i notowali sobie nazwiska dla wiadomych celów...

Większość administracji obozu to byli psychopaci ze skłonnością do sadyzmu ,a co do tej diagnozy nie mam żadnej wątpliwości.

Jedynym zacnym człowiekiem był ksiądz dr Starostka, który nie zawahał się jawnie stanąć po stronie maltretowanych żołnierzy — toteż w końcu zabroniono mu dostępu do aresztantów.

Dr A. SKOWRONEK

Londyn, N.W.11.

◆

Szanowny Panie Redaktorze,

Artykuł p. Zbyszewskiego „Polscy pisarze są bez szans" jest kanciastym uproszczeniem sytuacji istotnie trudnej. Dajmy początek przede wszystkim sami poświęcając więcej uwagi takim kulturom i literaturom jak np. ukraińska czy portugalska. Właśnie niedawno nękałem pewnego młodego polonistę-„ibberystę" o studium o „Luizjadach" (ukazały się dwa lata temu w prozaicznym przekładzie angielskim W. Atkinsona). Rozproszenie dzisiejsze powinno — świeży wiatr — dać nam specjalistów od literatur „mniejszych„ abyśmy się trochę odczepili od wyłączności przekładowej i zainteresowaniowej literatur wielkich. Czy z tego coś i dla naszej literatury wyjdzie ? Chyba tak.

Stanisław WESTFAL,
Glasgow.

◆

Szanowny Panie Redaktorze,

Z prawdziwą satysfakcją czyta się każdą rzecz p. K. A. Jeleńskiego nie tylko dla pięknej, młodzieńczej pasji jaka przepaja jego artykuły i dla jego pisarskiej swady, ale i dla szerokiego oczytania i erudycji jaką autor ten okazuje w swoich esejach. Tym bardziej jest przykro, jeżeli tak obiecujący autor popełnia „chlapnięcia" utrzymane w tonie Wiecha, tonie, który przyjął się w naszej publicystyce i kazi niejednokrotnie doskonałe skądinąd opracowania. I tak np. w numerze marcowym „Kultury" p. Jeleński w artykule „Półświatek Don Camilla" powiada, że film osnuty na tle powieści

„Gone with the Wind" — „zmusił miliony ludzi do przebrnięcia przez tasiemcowate „Przeminęło z wiatrem!". Zaraz potem p. Jeleński klasyfikuje powieść „Miczelówny" jako rodzaj amerykańskiej „panny Mniszech". Sądzę, że chodzi mu o autorkę „Trędowatej" noszącej nazwisko Heleny Mniszkówny; domyślam się również, że pod wiechowską formą „Miczelówna" kryje się Miss Margaret Mitchell, autorka bardzo wybitnej powieści „Gone with the Wind".

P. K. A. Jeleński traktując tak lekceważąco „Gone with the Wind" trafił jak kulą w płot: otóż faktem pozostaje, że powieść amerykańskiej autorki uzyskała olbrzymie nakłady zarówno w Stanach jak w rozmaitych krajach świata (w Polsce zdobyła sobie ona przed wojną dużą poczytność), a n i m jeszcze wyprodukowano film pod tym samym tytułem. Film przyniósł przypuszczalnie nową falę poczytności „Gone with the Wind", ale na pewno nie ustalił ani popularności, ani rangi pisarskiej Margaret Mitchell. Ostrożność w ferowaniu wyroków jest zawsze wskazana.

Zbigniew GRABOWSKI
Londyn

„P. S. — W artykule p. K. Zbyszewskiego w kwietniowym zeszycie „Kultury" zaszła zasadnicza pomyłka co do dwu głośnych autorów amerykańskich. Oto p. Zbyszewski pisze o „dwóch Sinclairach" — podczas gdy w rzeczywistości mamy do czynienia z pisarzem nazwiskiem Upton Sinclair, autorem powieści „Nafta" i innych sążnistych powieści-traktatów oraz z pisarzem o nazwisku Sinclair Lewis (Sinclair jest tutaj *imieniem*), który otrzymał nagrodę literacką Nobla i pozostawił po sobie kilka znakomitych powieści między innymi „Główna Ulica", „Dr Arrowsmith" itd.

◆

Łaskawy Panie Redaktorze,

Słyszymy wołania o między-emigracyjną armię i sejm przy NATO, o kompromis Polski Emigracyjnej z Niemcami Adenauera itp., itp. To jeszcze *fikcje*, ostatnie z nieprzerwanego rzędu polskich fikcji politycznych. Pomijając niezliczone, od czasów niezrozumianego Władysława IV, fikcje przed i po-rozbiorowe, pierwszą fikcją lat 1918-1921 była trwałość odrodzonego państwa bez jednomyślnego poparcia, więcej niż lwowskich orląt, Petlury z Piłsudskim na wschodzie. Fikcją przedwrześniową była „równowaga" do upadłego, poparta rozumowaniami typu „guzikowego", przy czym jedyny trzeźwy Polak, Studnicki, uchodził za wariata. Wojenną aberracją było „do" w platonicznej ekspektatywie „ut des" połączone ze zgrywaniem się na Paryż gdy dyspozycja konfliktem leżała w Londynie, na Londyn gdy leżała już w Waszyngtonie a na Waszyngton po oddaniu jej Moskwie. Powojenną fikcją jest zaważenie Polski *Emigracyjnej* w rozgrywce 2 bloków.

Tak jak szanse zaważenia w zeszłej wojnie dać nam mogło tylko rozpoczęcie jej w roli najsilniejszego satelity Niemiec (co przesądzało los Rosji nie uwalniając Niemiec od możliwości klęsk z powietrza), tak w razie nowej wojny jedyną szansą naszego „zaważenia" wobec Zachodu będzie odporność na jego wabienia dywersyjne i moc Polski czerwonej w roli pierwszego satelity Sowietów (co przesądzi los Niemiec nie uwalniając Rosji od możliwości klęsk z powietrza). Dobry Zachód nie zwykł odstępować od kanonu polityki, że płaci się tylko tym, których się *nie ma* w ręku (to jest dysponentom, a nie np. emigrantom oferującym Nadodrze).

Dla nas, wtłoczonych na terytoria poniemieckie (już kwestionowane z Zachodu) oraz odepchniętych w obręb Wschodu i już buntowanych z Zachodu) szansą przetrwania i zaważenia jest, wojna czy pokój, tylko w przykrej roli *pierwszego i wolnego od dywersji* satelity Sowietów. Bo najsłodszym cukierkiem, który nam Zachód ofiarować może będzie : 1) w wojnie — dywersja polska na rzecz Niemiec wzorem znanej nam, z lat 1941-1945, dywersji polskiej na rzecz Rosji; 2) w pokoju — wojna psychologiczna alias szczucie zza płotu zmniejszające, w miarę efektu, nasze siły i ,,cenę''. Naszą potencjalną cenę na ewentualność prawdziwej okazji odstępstwa od Rosji utrzymamy tylko w miarę nieprzyjmowania powyższych, zęby trujących, cukierków.

Powyższe uwagi, wyłącznie polityczne, nie przesądzają elementów najważniejszej walki spirytualizm versus materializm toczącej się po obu stronach kurtyny (materializmy zachodnie woaluje filisterstwo).

Nie wykluczają i konfliktu między interesem obszaru polskiego a interesem ,,cywilizacji zachodniej''. Wówczas wybór będzie wartościowaniem : nawet inteligentny i prawy człowiek może świadomie woleć zdemolować kraj i żyć pod Niemcami by ratować Europę (co lepsze od nieświadomych decyzji z lat 1939-1944 pt. niszczmy Kraj by i żyć pod Rosją i pogrążyć Europę).

Wreszcie nie są atakiem na istnienie zorganizowanej emigracji. Są atakiem na fikcje karmiące emigracyjne ,,Ruchy'' i partie-widma pod zasiłkową batutą dywersyjnych dwójek, fikcje niebezpieczne dla szans przetrwania obszaru polskiego. Znając naszych protagonistów trudno przypisać im motywy poprzedniego alinea.

Emigracja mogłaby żyć bez fikcji i rezerwując *dalszą* przyszłość z zadaniami : 1) opieki i edukacji; 2) hamowania dywersji; 3) krytyki materializmów; 4) rozwijania wolnej literatury oraz gromadzenia ludzi, dokumentów i argumentów ośmieszających obskuranckie przesądy i uprzedzenia panujące między narodowościami Europy Środkowej (tu należy się ukłon ,,Kulturze''). Z placówek, Watykan i Madryt, warte są drobnego wydatku — są to niemal jedyne centra dość wolne od mgławicy wschodnio-zachodnich sloganów, które gdzie indziej przenikają się w najprzeróżniejszych odcieniach pod wspólnym mianownikiem rozbratu mózgów z rzeczywistością (dowodem opinia przyjaciela, który list ten uznał za wariant... sloganów wschodnich).

Łączę uprzejme wyrazy

Jerzy KRZECZUNOWICZ

Addis Ababa, 25 kwietnia 1954.

RÉSUMÉ EN LANGUE FRANÇAISE

KULTURA a attaqué, dans son numéro de janvier, les thèses de M. Samuel L. SHARP, auteur d'un livre paru en Amérique, intitulé *Poland - White Eagle on a Red Field.* M. Sharp y disait que la Pologne représente pour la Russie un intérêt « vital » et qu'elle n'est qu'un objet d'intérêt « secondaire » pour les Etats-Unis. M. Sharp répond aux articles publiés par KULTURA en maintenant sa position, mais sans insister sur le rôle de « pays mauvais garçon » qu'il attribuait à la Pologne dans son livre.

Pawel HOSTOWIEC étudie — à travers deux livres parus récemment en Pologne — l'attitude présente des intellectuels polonais envers la classe ouvrière et paysanne. Il y découvre facilement, sous une couche superficielle d'origine plus récente, des formes de sentimentalisme et de culpabilité héritées du XIXe siècle.

Zdzislaw BRONCEL nous donne, à propos de la nouvelle pièce de Charles Morgan, *The Burning Glass,* une étude de l'étroit conservatisme victorien qui transperce à travers de nombreux slogans concernant « la défense du monde libre » ou « la fidélité à notre civilisation ».

Jozef LOBODOWSKI continue son étude de la poésie ukrainienne contemporaine.

Le Communisme de Dionys Mascolo est pour Witold GOMBROWICZ l'expression « de ce qu'il aurait pu si facilement penser lui-même ». C'est bien cette affinité avec Mascolo qui lui permet de donner de ce livre une pénétrante analyse psychologique.

Stanislaw ZARZEWSKI s'attaque aux mythes qui déterminent l'action — ou l'inaction — de l'émigration politique polonaise. Il dénonce le manque de contenu politique et idéologique de la récente « union » politique des exilés et il s'oppose à une conception bureaucratique d'un « Etat » à l'étranger. L'action concrète étant par la force des choses niée à toute émigration, que lui resterait-il si elle se refusait à devenir un laboratoire d'idées et de conceptions politiques ?

Juliusz MIEROSZEWSKI étudie — à propos du dernier livre de James Burnham, *The Web of Subversion* — le climat politique des Etats-Unis du point de vue des possibilités d'une infiltration communiste. Il ne partage pas l'optimisme de Burnham quant à l'efficacité absolue du système d'enquêtes. Selon Mieroszewski, c'est plutôt en fonction d'une conception politique américaine que la diversion communiste peut agir ou être réduite à l'inaction. Tant que l'Amérique se cantonne dans des versions différentes d'une politique passive du *Containment,* les portes resteront ouvertes à l'inspiration communiste.

Une correspondance de Vienne nous révèle des informations et des impressions provenant directement de Pologne quant à l'atmosphère politique après le dernier Congrès du parti communiste polonais. On y signale la faiblesse et la ruse de Bierut qui lui vaut la confiance de l'U.R.S.S.; le manque de « purges » à l'intérieur du parti; l'ascension récente de certains partisans de Gomulka; l'apathie générale de la population.

A.J. ZIELICKI décrit le triste déclin des excellentes écoles polonaises en Grande-Bretagne, qui n'ont pu être sauvées à cause de l'indifférence de diverses organisations polonaises en exil.

KULTURA publie une mise au point de M. John PELENYI, Président de l'Université de l'Europe Libre à Strasbourg, qui répond à deux articles publiés par KULTURA concernant l'Université. Les auteurs de ces deux articles, MM. ROZYCKI et ZALESKI, répondent à leur tour à M. Pelenyi.

Andrzej VINCENZ résume l'activité passée et présente de la Société Szewczenko, une société savante ukrainienne, qui a été durant quatre-vingts ans le centre intellectuel de la vie ukrainienne et qui continue son excellent travail à Sarcelles, près de Paris.

KULTURA introduit une « revue allemande ». K.A. JELENSKI y parle de cinq romans allemands récents qui lui semblent tous des formes différentes de « recherche d'une liberté perdue ». Wojciech ZALESKI démasque, page par page, la malhonnêteté et l'impudence d'un livre allemand publié en 1952 et consacré à la pologne : *Ostdeutschland und das heutige Polen* de P.H. Seraphim.

Edouard RODITI nous parle des romanciers nord-africains de langue française. Il étudie les implications mythiques, sociales et politiques de ce « retour du Sarrasin » en littérature.

Jerzy RENCKI passe en revue les organisations internationales qui fonctionnent dans le monde actuel. Dans le présent numéro, il se limite à celles qui sont liées aux Nations-Unies.

Stanislaw WESTFAL continue son analyse de la langue polonaise médiévale qui est — avec ses éléments de grammaire, de poésie, d'histoire — plutôt un essai d'érudit.

Wydawca : Edition et Librairie „LIBELLA",
12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris-(IVe).

Directeur-gérant : Mme Christiane Karasiewicz
Dépôt légal : 2e trimestre 1954

KULTURA

REDAKTOR — JERZY GIEDROYC

◆

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (S. et O.)
Telefon: Maisons Laffitte (S. et O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata ½-roczna	Prenumerata Roczna
FRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 5 th. St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
RGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, «Składnica żki Polskiej», Serrano 2076, Buenos Aires	10 peso	60 peso	120 peso
USTRALIA: «Vistula» (Australia) PTY Ltd., Pitt Street, Sydney	5 sh. (a.)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6.
ELGIA i KONGO BELG.: Janina Korab Brzo-ska-Csaky, 62, Vandrekindere, Bruxelles-e, Nr konta pocztowego 7315-20	30 frb.	145 frb.	260 frb.
RAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: **Barcińska,** r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio aneiro, oraz **Zofia Kietlińska,** Av. Batel 1514, tiba, Parana; **Hanna Lekszycka,** rua Guiarâ 139, Pompeia, Sao Paulo	25 cruz.	150 cruz.	250 cruz.
RYT. AFRYKA WSCH. (Kenya, Tanganyka, Ugan- **Roman Królikowski,** POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
RANCJA: «Libella», 12, rue St-Louis-en-l'Ile, s-IV°	180 fr.	900 fr.	1.800 fr.
ANADA: Krystyna Krakowska, 2290 Av. Mar-N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; **L. Lemański,** 570 Aberdeen Ave., Winni-/Man.; **H. R. Radomski,** 107 Rose Park Drive, onto/Ont., Tel.: HY-0829; **Stanisław Zybała,** 9 Queen St. W., Toronto/Ont.; **„Związko-c"** (Pol. Alliance Press, Ltd.), 700 Queen St. Toronto/Ont.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
IEKSYK: Victor Stanisławski, Apartado Postal, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
IIEMCY: «Ostatnie Wiadomości», 17a, Mann-n-Schoenau, 4094 LSCO Schoenau, U.S. Zone **Mikiciuk,** Seehamer-Str. 4, Baracke 16B/2, nchen 54	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
ZWAJCARIA: Maria Wasung, 2, rue Thalberg, ève, Tél. 2-32-92	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
ZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kaliskärsgatan V, Stockholm	3 kr.	15 kr.	28 kr.
JRUGUAY: Jerzy Pałuski, Calle Itu 2060, ntevideo-Malvin	75 cent.	4 dol.	6 dol.
J.S.A.: Józef Białasiewicz, 1165, Milwaukee, Chicago 22, Ill.; **W. Bieńkowski, «Gryf** l.», 615, Henry St., Utica, N.Y.; **L. Dudarew-etyński,** 28471 Ventura Blvd, Agoura, Cali-nia; **S. Dziarczykowski,** 3216 W.—15 St., Los geles 19, California; **M. K. Dziewanowski,** 27 rdeen Ave., Cambridge, Mass.; **Christian M. towicz,** 2109 Robinwood Ave., Toledo 2, Ohio; **drzej Pleszczyński,** P.O. Box 750, Santa Bar-a, California; **M. Szyprowski,** 11 Cooper Street, w York 34, N.Y.; **Kazimierz Trojanowski,** 8805 al St., Detroit 14, Michigan; **S. Sokołowski,** 9 E. Indiana St., Philadelphia 34, Pa.; **Polish Ame-an Book Center,** 2300 Caniff St., Detroit 12, Mich.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA: «Gryf» Publications Ltd., 169 l, Battersea Church Road, London, S.W.11	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
WŁOCHY: Ewa Wierusz-Kowalska, Corso Trie-130/5, Roma, tel. 859632.	300 lir	1.750 lir	3.000 lir

◆

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedyńczego numeru : 30 frs.

◆

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: **Jerzy GIEDROYC,** 1, Av. Corneille, **Maisons-Laffitte** (S.-et-O.)

Cena ogłoszeń: cała strona 12.000 fr.; 1/2 str. 7.000 fr. fr. (okładka +50%)

Cena 180 frs.

Imprimerie RICHARD, Paris-18e